

*Antologia opowiadań  
fantastycznych*



STOJĄC PO KOSTKI  
W ZAPACHU RYB

## Audiodeskrypcja okładki

Okładka przedstawia dwie ryby o łuskach, których odcienie wahają się między żółtawym, złotawym, zielonkawym i miejscami brązowawym. Leżą po przekątnej kadru, ogonami przy prawym górnym narożniku, łbami przy lewym dolnym.

Oczy obu ryb są wyłupiaste i mętnobiałe, bez źrenic. Osobnik znajdujący się wyżej ma rozwidlony ogon i długą, złożoną z pięciu segmentów płetwę grzbietową, nieco kojarzącą się z grzebieniami waranów. Płetwa grzbietowa dolnego osobnika jest znacznie krótsza, a końcówka ogona płaska i bez rozwidleń. Z boku dolnej ryby odstaje na bok płetwa lub płat skóry, leżąc na podłożu. Górna ryba nie posiada podobnego fragmentu ciała, za to odróżnia się płetwą brzusznią, podobną do grzbietowej, ale składającą się z większej liczby, za to węższych segmentów. Łuski obu zwierząt mają kształty zbliżone do kwadratowych i prostokątnych.

Wąska przestrzeń pomiędzy rybami jest niebieska, od strony ogonów przechodząca w granat, od strony głów siniejąca, by przed ich głowami nabrać koloru sinawej mgły.

Podłoże, na którym leżą ryby, jest pocięte siecią niemal prostych linii, głównie pionowych i poziomych, część jednak biegnie pod skosem. Ma kolor brązowy, w zależności od miejsca w różnych odcieniach, od ciemnego, niemal czarnego, po brunatny, czasami wpadający w tonacje przywołujące skojarzenia z odcieniem zakrzepniętej krwi. W prawym dolnym narożniku kolorystyka przechodzi w bardzo ciemny granat.

Cała scena w zależności od tego, na których elementach skupi się uwagę,

przywołuje dwa skojarzenia.

W przypadku koncentracji na sieci linii, niebieski pas między rybami przypomina rzekę lub kanał, a kolorystyka i rozłożenie łusek oraz pociętego liniami podłoża przywołuje na myśl dachy zabudowań w ubogich, przyporowych słamsach. Segmenty płetwy grzbietowej dolnej ryby i brzusznej górnej układają się na kształt pomostów i mól.

Jeśli jednak główny nacisk zostanie położony na obserwację linii, obraz ujawnia drugą możliwą interpretację. Podłoże kojarzy się wtedy z brunatnymi kafelkami ściany lub podłogi, na które rzucono dwie ryby. Jaśniejsze odcienie brązu na łuskach przypominają wtedy krew, a część linii budzi konotacje z siecią.

W lewym górnym rogu znajduje się mały napis „Antologia opowiadań fantastycznych”. Na dole, z wyrównaniem do lewej, duży napis „Stojąc po kostki w zapachu ryb”.

**Tytuł:** Stojąc po kostki w zapachu ryb – antologia opowiadań fantastycznych

**Wydawca:** Ryby, antologia.ryby@gmail.com

**Autorzy:** Aleksandra Bednarska, Sandra Dąbrowska, Lidia Gręda, Piotr Gruchalski, Grzegorz Kałużny, Natalia Klimaszewska, Paulina Klimentowska, Marcin Bartosz Łukasiewicz, Krzysztof Marciński, Wiktor Matyszkiewicz, Mika Modrzyńska, Mateusz Pawlak, Radek Puchała, Iwona Serej, Marcin Ścibura

**Ilustracje:** Krzysztof Bendinger, Lidia Gręda (do opowiadania Litryb)

**Okładka:** Krzysztof Bendinger (obraz), Natalia Klimaszewska (projekt i wykonanie)

**Redakcja:** Sandra Dąbrowska, Paulina Klimentowska

**Korekta:** Mika Modrzyńska

**Weryfikacja:** Marcin Bartosz Łukasiewicz

**Skład:** Natalia Klimaszewska

**Przygotowanie wersji na czytelniki:** Michał Rybiński

**Redaktor prowadzący:** Marcin Bartosz Łukasiewicz

**Przedmowa:** Marcin Bartosz Łukasiewicz

**Audiodeskrypcja:** Marcin Opolski

**Konsultacja ekspercka audiodeskrypcji:** Magdalena Rutkowska

**Dystrybucja:** Agile IT Michał Rybiński, [www.antologia.smolec.pl/opencart3](http://www.antologia.smolec.pl/opencart3)

**ISBN:**

**PDF:** 978-83-966833-0-4

**EPUB:** 978-83-966833-1-1

**MOBI:** 978-83-966833-2-8

**Wydanie I,** Zielona Góra 2023

© 2023, Agile IT Michał Rybiński. Wszystkie prawa zastrzeżone: fragmenty książki, teksty i ilustracje nie mogą być reprodukowane i redystrybuowane bez zgody wydawcy bądź bezpośredniej zgody autorów tekstów i ilustracji. Autorzy tekstów i ilustracji udzielili Agile IT Michał Rybiński zgody na opracowanie i dystrybucję utworów.

Wszystkie postaci i zdarzenia prezentowane w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do postaci i wydarzeń rzeczywistych jest całkowicie przypadkowe.



# Spis treści

Przedmowa .....	6
Marcin Ścibura. <b>Łuski</b> .....	8
<i>weird fiction</i>	
Lidia Gręda. <b>Listy do rzeźbiarza</b> .....	23
<i>opowiadanie epistolarne</i>	
Mateusz Pawlak. <b>Jak minął dzień?</b> .....	29
<i>magical girl</i>	
Krzysztof Marciński. <b>Litryb</b> .....	45
<i>horror humorystyczny</i>	
Paulina Klimientowska, Radek Puchała. <b>Jebany chlorek magnezu</b> .....	57
<i>postapo</i>	
Aleksandra Bednarska. <b>Wieczna służba</b> .....	72
<i>jiangshi fiction</i>	
Sandra Dąbrowska. <b>Zegar wspomnień</b> .....	81
<i>steampunk</i>	
Wiktor Matyszkiewicz. <b>Chwała Stwórcy</b> .....	96
<i>science fiction mitologiczne</i>	
Piotr Gruchalski. <b>Miasto, które nie widzi</b> .....	111
<i>grimdark fantasy</i>	
Grzegorz Kałużny. <b>Jaś i mała Zosia</b> .....	122
<i>posthorror</i>	
Iwona Serej. <b>Baśń o rybach bucikach</b> .....	135
<i>baśń</i>	
Mika Modrzyńska. <b>Tak trzeba żyć, stary</b> .....	143
<i>space opera</i>	
Natalia Klimaszewska. <b>Uważaj, co mówisz o rybach</b> .....	151
<i>slasher fantasy</i>	
Marcin Bartosz Łukasiewicz. <b>Sen życia z miłosnym tańcem dwóch jednakowych Michałów w tle</b> .....	166
<i>bizarro</i>	
Podziękowania .....	177

## Przedmowa

Kłaniam się uniznienie. Dziwna nazwa tej antologii, prawda? I do tego spis treści z różnymi gatunkami.

Zostałem wypchnięty przed szereg, żeby wytłumaczyć i odpowiedzieć na pytania. Przynajmniej na te, na które odpowiedzią nie jest pies<sup>1</sup>.

Cała zabawa zaczęła się od piszącej grupy znajomych. W jednej z rozmów padło hasło **Stała po kostki w zapachu ryb**. Hasło zostało podrzucone dwóm Marcinom: mi (Łukasiewicz Marcin Bartosz, znany wichrzyciel) oraz Marcinowi Ściburze (nie zamierzam publicznie szkalować<sup>2</sup> tak dostojnego kolegi). Podrzucone na zasadzie zabawy: jeden pisze na podstawie hasła opowiadanie weird, a drugi bizarro. Jedziemy.

Uznałem wtedy, że samemu nie będę pisał, czy też raczej: dwóch Marcinów to za mało. Potrzeba więcej. Więcej piszących, nie Marcinów. Błyskawicznie zaczęli się zgłaszać kolejni chętni, którym przydzielaliśmy inne gatunki (żeby było ciekawiej), a oni wciągali do akcji kolejne osoby i przydzielali im jeszcze dziwniejsze gatunki (tak po złości, bo sami dostali jakieś kurioza). W efekcie pojawiły się oryginalne, miejscami dość zabawne połączenia (np. horror humorystyczny).

Wtedy też stwierdziliśmy, że lepsze niż samo napisanie będzie napisanie i wydanie, choćby w formie pamiętki. W pewnym momencie zorientowałem

<sup>1</sup> Pies jest miłością, przez co jest odpowiedzią na wszystko - przyp. red.

<sup>2</sup> Szkalowancko: ulubiona zabawa fantastów-hobbystów, uświęcona tradycja plemienna przypisywania czynów i cech bezecnych szkalowanemu w celach rozrywkowych - przyp. red.

się, że trzeba to wszystko skoordynować. Wyzaczyliśmy osoby odpowiedzialne za redakcję, korektę, skład, wersję elektroniczną oraz resztę spraw niezbędnych przy wydawaniu antologii. Wszyscy uczestnicy napisali opowiadania, potem dostali po głowie podczas redakcji i po łapach przy korekcie. Ja na sam koniec weryfikowałem teksty, ale nikogo przy tym nie biłem<sup>3</sup>.

Dzięki temu powstała jedna z najdziwniejszych, ale też najwspanialszych w swojej dziwności antologii, jaką widział świat.

Każdy dostał hasło oraz gatunek. Każdy dostał informację, że może z owym hasłem i gatunkiem zrobić, co mu się żywnie podoba: być wiernym aż do przesady, albo potraktować wszystko jako pretekstowy punkt wyjścia. Dzięki temu teksty wyszły kompletnie, zupełnie, całkowicie, totalnie, absolutnie różne. Są poważne, humorystyczne, krótkie, długie. I fantastyczne, bo obecność fantastyki była zasadą sine qua non.

Nie chwałę się już dłużej znajomością łaciny, której nie znam, i zapraszam do lektury.

Naprawdę warto.

*Marcin Bartosz Łukasiewicz*

*Zielona Góra, coś pomiędzy marcem a grudniem 2022*

---

<sup>3</sup> Dobra, dobra, niby nie biłeś, a siniaki były - przyp. red.

# Łuski

Marcin Ścibura

Tafla wody wygląda jak beton. Brakuje mi wiatru, który jeszcze wczoraj smagał plecy, przypominając, gdzie jestem. Szarość dopiero przepycha nocny mrok i czeka na pożarcie przez nikłe promienie późnojesiennego słońca.

Ale do tego jeszcze daleko.

Wtapiam się w mglisty pejzaż jako nieruchoma, nieco ciemniejsza część tła. Mięśnie przestały drętwieć, w zasadzie zupełnie ich nie czuję, jakby utrwaliły się na wzór wody. Ściskam wędkę, choć nie potrafię określić, czy przedmiot w moich dłoniach wciąż jest tylko narzędziem, czy częścią mnie – jakbym zapuścił korzenie ku ziemi, a wiązki nerwów wniknęły głęboko w martwy trzon wędziska.

Szelest. Chlupot kilka metrów ode mnie, jakby coś desperacko chciało wyrwać się z wody lub do niej wejść. Prawie puszczam wędkę i rzucam się w pogoń. Napomnienie przychodzi od jeziora, wzburzona woda dosięga i niemal paraliżuje niezamoczone wcześniej części ciała.

To coś jest zbyt ciche na człowieka, za małe, aby przejść niezauważone, ponadprzeciętnie zwinne. Zaciskam zęby, cierpliwie próbuję wyrównać oddech, opanować drżenie, aby na powrót wrosnąć w ten skrawek świata.

Odgłos narasta gdzieś za mną. Powoli. Zbliża się, przerywany sapnięciami, cichym klekotem sprzętu, drobnymi przekleństwami, zanim jego źródło zdołało wejść na ścieżkę. Nie poruszam się, kiedy obserwuje mnie z przyczajki, zapewne nieświadomy, że doskonale zdają sobie sprawę z jego obecności.

– Biorą? – pyta. Może z ciekawości. Może dlatego, że się zreflektował i głupio było mu po prostu iść dalej. Znam ten głos. Spotkałem go wczoraj. Albo przedwczoraj.

Ryba szarpie się w siatce. I tak już pewnie na nią patrzy, widzi zbiór zde-



cydowanie większy od średniej zasiadki. Cóż, przypadkiem. Jakoś same złapały haczyk, nawet jeśli nie chciałem ich mieć.

– Nie bierze. – Mógłby odejść. Ręce znów zaczynają drżeć. Tylko w ciszy mogą trwać, nie zważając na ból.

Gość splunął na ziemię.

– Pierdolony świr. – Wypuszcza powietrze przez nos. Nie mógł ukierunkować frustracji. – A w tej siatce to co?

– Złapały haczyk, to musiałem zdjąć. – Mam ochotę wzruszyć ramionami, ale zburzyłbym równowagę, do której zdołałem powrócić. – Jak chcesz, to sobie węź.

– To po chuj je trzymasz?! – Klekoczący sprzęt niemal zagłusza jego słowa.

– Właśnie na takie okazje.

Patrzę w dal na stopniowo zanikającą mgłę, z nadzieją, że coś tam zobaczę. Naprawdę nie mam już siły. Drętwieją mi ręce, a gdy wyjdę z wody, nie zdołam na powrót do niej wejść. Trzęsę się, choć próbuję widzieć w sobie posąg, niezłomny, nieczuły. Wieczny.

– Powinieneś się leczyć. – Zagarnia sprzęt, nie zwracając uwagi na hałas, który wywołuje.

O tej porze zawsze robi się głośno, więc przywykłem. Kątem oka widzę grubą, oddalającą się sylwetkę z wystającymi, zbyt długimi rękawami czerwonego polaru.

Wzdycham, mimowolnie poruszając ręką. Adrenalina porywa mnie przy pierwszym, mocniejszym szarpnięciu. Niemal znajomym.

Serce tłucze jak oszalałe, kiedy próbuję z nim walczyć. Nadzieja znów się tli i choć szanse są nikłe... to wciąż są. Stoję po kolana w wodzie, a żyłami przeciska się czysty lód. Nie mam siły, ale coś nie pozwala mi się poddać.

Fortunne przecucie lub nadzieja desperata, stopniowo przeradzająca się w obsesję. Ale teraz się cieszę. Teraz płacę ze szczęścia, bo nareszcie coś stawia opór.

Realny opór.

\*\*\*

Otworzyłem drzwi, cicho stając na płytkach przedpokoju i... przez moment chłonałem ciepłe powietrze. Cieszyłem się ulgą, jakby druga, ciepła warstwa skóry obrosła ciało. Uśmiechnąłem się, zadrzałem, gdy wychodziły ze mnie resztki zimna.

– I jak?

Myślałem, że będzie spała, gdy wrócę. Powinna spać.

– Coś nawet złowiłem. – Wziąłem herbatę, którą mi podstawiła. Musiała słyszeć, jak podjeżdżam samochodem. – Nawet w rozmiarze. Dziś ryba na obiad.

– Nie dość, że kucharz, to jeszcze teraz wędkuje. – Uśmiecha się, choć ostatnio to raczej rzadkość. – Patelnie zacznij robić, będziesz samowystarczalny.

– Dobry pomysł... Wyspałaś się? – Rutynowe pytanie, w zasadzie nie musiała odpowiadać.

Pokręciła głową.

– Jak się czujesz? – Obdarowała mnie spojrzeniem, które znałem. Chciała wiedzieć, czy skłamię. I nie mogę się dziwić. Oboje kłamiemy.

– Zmęczony jestem, ale się wyciszyłem, to rzeczywiście pomaga. Siedzisz. Czekasz. Trochę myślisz, trochę nie myślisz. Momentami miałem wrażenie, że świat zastyga... – Podobnie jak teraz, zamyka się w tych kilku ścianach, ogranicza do tylko jednej czynności. Lub osoby. Mój cały świat siedział przede mną, zgarbiony od ciężaru codzienności, ścisnął sztywnymi palcami kubek i unikał mojego wzroku. – A ty co robiłaś?

– Pracowałam... – Zniżyła ton, pochylając się nieco bardziej.

– Miałaś... – Wziąłem wdech, zanim zdążyłem rzucić czymś nieodpowiednim. – Miałaś trochę się odciąć. Jak długo?

– Kilka godzin, zaraz jeszcze muszę usiąść, bo mam niedokończone zlecenie.

– Sobota jest. Nie przesadzasz? – Patrzyłem przez okno, tylko żeby nie widziała wyrazu twarzy. – Na kiedy to zlecenie?

– Kończę już. – Wzdycha, odstawia kubek.

– Na kiedy?

– Nie wiem, za tydzień albo dwa. – Głos jakby stwardniał, słowa stały się ostrzejsze.

– Obiecaliśmy sobie coś. – Stałem zeszytywniały, bo to w jakiś sposób ograniczało złość. – Ile jeszcze tak wytrzymasz? Dwa lata? Trzy? Musimy trochę...

– A ty nie wytrzymasz?! – Odstawiła kubek. Niemal cisnęła go na stół. – Ty nad sobą pracujesz, tak?!

– No... a skąd wracam? – Zerknąłem na sprzęt za oknem. – Jakbyś...

– Pierwszy raz! Pierwszy raz wyszedłeś w wolny weekend, zamiast iść nagle do pracy. Zapierdalasz na tygodniu po dziesięć, czasem dwanaście godzin dziennie, choć nie musisz i mnie pouczasz?! – Przyłożyła dłonie do skroni. – Żartujesz.

– Bo ty niby pracujesz krócej?! I masz rację, ale przynajmniej... – Wciążam powietrze. – Zaczynam nad sobą pracować.

– Ja też próbuję! – krzyknęła, głos jej się nieco załamał.

– Jakoś tego nie widać! – Wypadło mi z ust, samo, z potrzeby odbicia piłeczki. Uciekła, przeciskając się między mną, a ścianą. Nawet nie mogłem się zbliżyć, bo tego nie cierpi, gdy jest roztrzęsiona.

Poszedłem za nią. Usiadłem obok. Nie patrzyliśmy na siebie, ale złość zniknęła dzięki samej obecności. Tak łatwiej pogodzić się z myślami.

– To był pierwszy dzień od lat... ale całkiem mi się podobało – mówię cicho, jakbym nie chciał zburzyć bezgłośnej harmonii. – Będę częściej chodził.

Pokiwała głową.

– Nie wiem, co robić poza pracą. – Odwraca się do mnie, szklą jej się oczy. – Próbowalam dziś rano, ale i tak w końcu usiadłam do zleceń. Nie jestem w stanie myśleć o niczym innym.

– Terapia nie pomaga? – Przynuram się bliżej, opadła mi na ramię.

– Pomaga... chyba, ale niewystarczająco. Nie wiem, co robić po prostu. – Ucichła na moment. – Nie mam z niczego przyjemności. Z pracy też, bo się chyba wypalam, a przez to próbuję jeszcze bardziej.

– Ja też dużo o tym myślałem na rybach, ale wtedy jakoś mnie nie ciągnęło. – Uśmiechnąłem się delikatnie.



– Tracimy się.

– Bardziej zatracamy, ale za jakiś czas wyjdzie na jedno.

Nie odpowiedziała. Ja też nie szukałem więcej słów. Zasnęliśmy w takiej pozycji na prawie pół godziny, a to... okazało się czymś nowym. Całkiem przyjemnym, o ile zdoła się stłumić poczucie pozornie zmarnowanego czasu.

Oporządził ryby. Pierwszy raz od miesiący odpowiedziałem szefowi, że nie mogę robić nadgodzin. Że mam swoje życie. Ona też nie ruszyła klawiatury nawet na moment. Razem

ugotowaliśmy obiad.

– Dobrze – powiedziała po raz trzeci. – Rewelacja, naprawdę, nie spodziewałam się, że będzie taka dobra.

– Ryba jak ryba. Może nieco lepsza. – Obserwowałem przez moment jak zapycha usta. – Spokojnie, nikt ci nie zabierze. Cieszę się, że smakuje.

– Nie jadłam nigdy czegoś tak wspaniałego, kochanie. – Pochłaniała kolejne kawałki fileta.

– Nie przesadzaj.

Nie słuchała, jakby po pierwszym żołądku otworzył się drugi, trzeci i czwarty. Jadła niby schludnie, używała noża i widelca, nic nie spadało na stół.

– Nigdy nie miałaś takiego apetytu. – Jedzenie mi wystygło, ale zdążyłem o nim zapomnieć. Ona momentami nawet nie gryzła, porcje znikały z talerza w sekundy.

Przeżuła ostatni kęs, nie zauważyłem momentu przejściowego, ale znów mogłem nadażyć.

– Przesadziłam chyba trochę... – Wypiła szklanekę wody. – Przepraszam.  
– W porządku. – Wcisnąłem w siebie suche kawałki ryby. Prawie nie miały smaku, mięso było gumowate, jakbym żuł pasek. – Dobrze, że ci smakowało.

Po takiej ilości protein nie powinna się ruszać. Powinna opaść na kanapę z wielką oponką i iść spać, ale wydawała się jeszcze szczuplejsza niż zazwyczaj, jakby mięso wcale nie trafiło do żołądka, tylko natychmiast rozeszło się po całym ciele i zniknęło pod skórą. Pozmywała po jedzeniu, później próbowała wymyślić, jak się zrewanżować za obiad.

Wiele rzeczy zrobiłem tamtego dnia, jednak moje myśli wciąż krążyły wokół tego, jak jadła. Wypadałoby się cieszyć. W końcu to nasz pierwszy dzień, kiedy jakoś odcinamy się od pracy i żyjemy. Pierwszy dzień, kiedy wory pod jej oczami wydają się nieco płytsze, a twarz wyraźniejsza. Wypadałoby się cieszyć...

Nie mogłem.

\*\*\*

Zimno szarpało naskórek, próbując wdrzeć się do środka. Temperatura chłodni nieco mniej rozbudzała, ale i tak najbardziej marzyłem o odrobinie snu. Westchnąłem.

Poprosiła mnie o zrobienie ryb. Migawki z obiadu prześladowały mnie w drodze do pracy i do sklepu, a między alejkami stały się wyraźniejsze. Pytałem sprzedawcę o najświeższe kawałki, mieląc w myślach ostatnie wydarzenia.

Dawno nie widziałem jej tak żywej, jakby ktoś odwrócił świat do góry nogami.

Gotowałem ledwo stojąc nad kuchenką, kiedy ona kończyła zlecenie. Widziałem niemal jednostajny ruch, tak szybki, że nie mogłem nadążyć za znikającym w ustach jedzeniem. Trzęsły mi się dłonie.

Dlaczego mnie prześladowuje? Był po prostu szybki... zwinny... kurwa, normalny, tylko na poczwórnych obrotach. Wmówiłem to sobie. Pewność, że sam stworzyłem ten obraz obezwładniała prawie tak bardzo jak strach.

Prawie coś spaliłem. Nie pamiętam już co. Nie pamiętam, co w ogóle miałem na talerzu. Oczekiwanie i budowanie kolejnych warstw scenariusza, tylko te czynności istniały ponad całą resztą. Nie mogłem nawet kontrolować oddechu.

Tak jakby ten wieczór miał potwierdzić, że jeszcze nie zwariowałem. Krzywiła się nieco, pogrążona w nieustannym cyklu wpychania jedzenia do ust jedną dłonią, kiedy druga chwytiała wypadające resztki. Ryba stawała mi w zaschniętym na wiór gardle. Poszedłem po wodę, trochę się chwiałem, ale trudno określić czy to zmęczenie, obawy, czy skrajny głód. Nie jadłem od kilku godzin, ale podczas gotowania apetyt znika.

Może znika od patrzenia na nią. Nie wiem. Trudno ubrać to w jakiegokolwiek emocje, bo ich fale wzajemnie się wygaszają. Ona zachowuje się dziwnie, ale w końcu jest żywa. Pozytywne i negatywne sygnały wyrównują się, więc dostrzegam tylko fizyczność, która przybrała postać skrajnie wydętego brzucha jak na tak małą sylwetkę. Przez chorobę do niedawna zawsze kończyła w łazience z bólem, gdy zjadła tylko odrobinę za dużo.

Trudno powiedzieć, czy to dobrze. Stawiam przed nią szklankę wody, zerkam na lampki z winem, o których zdążyłem zapomnieć.

– Dziękuję... – szepnęła, znów wyglądała schludnie, mimo straszego zmęczenia. – Kocham cię.

– Muszę sobie znaleźć choć jedną rzecz, żeby zabić wyrzuty. – Uśmiech powoli przepelnia jej twarz, kiedy wstaje i podchodzi. Wydęty brzuch... wciąż tam był, ale wydawał się maleć. Kurczył się z każdą chwilą, kiedy na moment traciłem koncentrację.

Objęła moje dłonie, a ciepło oplotło rozstrzelone myśli, stłumiło drżenie. Chciałem coś powiedzieć, kilka różnych rzeczy, słowa tylko plątały się na języku, a niewyartykułowane zdania rozmywały się, zanim próbowałem wypowiedzieć je na nowo.

Miałem tyle pytań. Zamiast je zadać, cieszyłem się, że wróciła.

\*\*\*

Dostałem sms w drodze z pracy. Skarżyła się, że zaszkoziła jej wędlina



ze śniadania, więc przepchnęła ją trzema puszkami przetworów rybnych.

Wtedy zrozumiałem, że łatwiej wytrzymuję w robocie, bo ta wcale nie straciła goryczy przemęczenia. W pracy po prostu nie czekało nic zaskakującego. Chyba. Nie pamiętam już, jak zarabiałem.

Oparłem głowę na kierownicy. Emocje dalej wzajemnie się neutralizowały. W ciągu dnia wysłała mi kilka linków z przepisami na owoce morza, więc robiła coś innego poza pracą. Tylko...

Tym razem ja nabawiłem się paranoi.

Strach brał górę. Nie tyle strach przed tym, ile będzie w stanie zjeść, tylko przed nagłą utratą apetytu. Nagłym powrotem do stanu poprzedniego. Dlatego bałem się gotować. Dlatego bałem się kupować i siedziałem od pół godziny przed sklepem, zanim do niego wszedłem.

Wziąłem trochę świeżych krewetek i opakowanie mrożonych filetów z łososia. Kręciłem się między alejkami, w słuchawkach nieustannie leciały przepisy. Czasem przystawałem, ale wzrok wciąż szukał. Nie mogłem się skupić, a dłonie jakby same wrzucały produkty do koszyka. Miałem pomysły. Dzieśiątki pomysłów, a każdy wymagał czegoś innego.

Pracownik gapił się na mnie, gdy biegałem z kąta w kąt, wrzucając słoiki do koszyka. Niosła mnie euforia. Gdzieś z tyłu głowy dobijała się świadomość, że dostanę zjebę po powrocie za tak duży, niepotrzebny wydatek, ale musiałem. Przepisy do mnie mówiły, wylewały się na podłogę.

Wywaliłem paragon, żeby nie musieć na niego patrzeć. Myślałem, że w samochodzie ten przedziwny haj ze mnie zejdzie, ale nie. Dusilem gaz, aby tylko szybciej dojechać i dorwać się do garów.

Usłyszałem, jak zbiega po schodach, gdy tylko otworzyłem drzwi.

– Chodź, pomożesz mi przynieść zakupy z samochodu. – Odstawiłem trzy wielkie siatki.

Powitała mnie zarumieniona twarz, błysk w oku i brak worów pod oczami, które kiedyś wydawały się wrastać w skórę.

– Co się tak patrzysz? – Uniosła brew.

– Cieszę się, że wróciłaś.

– Ja też. To kupiłeś coś jeszcze?

– Ta... Całkiem dużo, a wszystko na obiady. Mam tyle pomysłów... na ryby.

Rzuciła mi się na szyję, pocałowała i pobiegła do samochodu. Rozpakowywała siatki, kiedy ja zabrałem się za gotowanie. Zrobiłem wszystkiego po trochu, żeby sprawdzić, co najbardziej nam posmakuje. Wyszedł obiad dla przynajmniej czterech osób.

– Skóra mnie swędzi. – Nie wiem, jak potrafiła mówić tak wyraźnie z ustami pełnymi jedzenia.

– To się podrap. – Znow nie miałem apetytu, żułem trochę od niechcenia.

– Śmieszne. Tak inaczej mnie swędzi, nie wiem... zaraz pod skórą i jak się drapie, to w ogóle nie przechodzi, albo jak przejdzie, to się przesuwa gdzie indziej. Nie mogę wytrzymać.

– Zjadę do jakiejś apteki jutro.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Irytowało mnie coś. Wgryzało się w żołądek, rozpierało od środka. Zapomniałem o czymś? Nie. Ona wolniej jadła. Znacznie wolniej i mniej.

– Nie smakuje ci.

– Nie, jest super, wspaniale, tylko... – Nałożyła sobie więcej. – Ta złowiona była jakaś inna. Rozpływała się w ustach, rozgrzewała całe ciało. Nigdy czegoś takiego nie jadłam. Nie mogę przestać o niej myśleć.

Dyszała, trzymając drżący widelec przed twarzą. Przymknęła oczy, jakby próbowała wyobrazić sobie inny kawałek mięsa.

– Nigdy nie jadłam czegoś tak dobrego i chyba znow potrzebuję tej ryby.

– Drapała się, kiedy akurat nie próbowała łowić z talerza.

– W sobotę spróbuję coś złapać. – Serce mi rosło, kiedy widziałem ten uśmiech, ale zarazem coś we mnie małało, jakbym z każdym przejawem działania oddawał kawałek siebie. Jakby nasze splecione historie powoli się rozplątywały i mimo że sprawiałem radość ukochanej, równocześnie ją traciłem.

– Nie rozumiem, to nie uzależnienie, ale do tej pory tak nie myślałam o jedzeniu. Kiedy zobaczyłam, że z nimi wracasz... kiedy mi je zrobiłeś i wszystko obgadaliśmy... – Pociągnęła nosem, a lzy zebrane w oczach drgnęły. Machinalnie rozdrapywała skórę do czerwoności. – Czułam taką ulgę. W końcu

uwierzyłam, że może się wszystko znów poukładać trochę sensowniej, a priorytety można zmienić.

– Widzę, że odżywasz, kochanie. – Przesuwałem wzrokiem od jej poruszonej twarzy do skrajnie pobudzonego ciała. – Dobrze się czujesz?

– Ja ciągle o nich myślę. – Widzę, jak pod paznokciami zalegają jej kawałki naskórka. – O rybach.

– Może teraz skoczę po masć? – Dotykam jej pleców, ale odsuwa się jak poparzona.

– O nich i o tobie, ale już nie wiem o czym bardziej. – Zacisnęła pięści, żeby zaraz je otworzyć. Przesuwała nimi po ramionach, dalej podrażniając skórę.

– Zadzwońię do lekarza. – Kłąłem pod nosem, nie mogąc znaleźć numeru, chciałem ją przytrzymać, ale jakimś sposobem ciągle się wyslizgiwała. – Kochanie, spokojnie... spróbuj przez chwilę się nie...

– Zrobisz mi je? Obiecaj, że zrobisz... – Zaczęła drapać uda.

– Nie miałaś nigdy takich odruchów... kurwa, co ci... – Wytrąciła mi telefon. – Zrobię! Zrobię...

– Dziękuję. – Przestała walczyć. Ścisnąłem jej nadgarstki, ale nie próbowała ich uwolnić. – Kocham cię.

– Co?

– Przestało swędzieć – sapnęła, podtrzymując nad stołem poharatane ręce. Skrzywiona od bólu próbowała na mnie zerkać, oderwać wzrok od skóry. – Nie wiem, co się dzieje. Do teraz nic nie czułam.

– Mocno rozdrapałaś? – Delikatnie dotknąłem przedramienia, tak skrajnie suchego w miejscach, gdzie nie wypłynęła krew. – Spróbuj może połać wodą utlenioną, ja pojedę do apteki, za kilka minut wracam.

Siedziałem w samochodzie z bandażami, z lekami, z pobrzękującym radiem, bezskutecznie próbując znaleźć powód, żeby jeszcze chwilę tu zostać.

Czekał na mnie pusty przedpokój i szum prysznic, który wydawał się na swój sposób kojący.

– Wróciłem! – Rozłożyłem na stole bandażę, otworzyłem masć. – Słyszysz?

Uchyliłem drzwi. Stała w kabinie jak słup, woda ściekała po całym ciele,

nagromadzona niemal wylewała się poza brodzik.

– Jak skóra?

Brak reakcji. Trwała niewzruszona, choć ciecz miała zaledwie kilka stopni. Westchnęła, kiedy musnąłem jej szyję.

– Chodź, zrobimy coś z ranami.

Kiwnęła głową. Patrzyła na mnie inaczej, a może w jej oczach czaiło się coś nieznanego. Miałem wrażenie, że próbuje widzieć coś dalej, wzrokiem przeniknąć moją czaszkę.

– Jak się czujesz? Pokaż ręce. – Fragmenty naskórka, których nie zdrapała wcześniej, odchodziły, kiedy nakładałem maść. Miała twarde ciało, cholerne twarde, jakby tuż pod skórą ukształtowała się jakaś szorstka powłoka. Reakcja mięśni na ból?

– Lepiej. Trochę. Przynajmniej już tak nie swędzi, tylko mam wrażenie, że skóra mi cały czas wysycha. Dziękuję... przepraszam.

– Nie przepraszaj, nie masz za co przecież. Tylko idź jutro do lekarza. – Jakoś dałem radę mówić spokojnie, jakoś opanowałem drżące dłonie, niepełny oddech i zbyt szybkie bicie serca. Cieszyłem się, że zamknęła oczy, gdy zakładałem bandaż i nie widziała, jak powoli tracę kontrolę.

Oddalała się.

\*\*\*

Zwyrodniały metabolizm nie zwalniał, dalej pochłaniała niewyobrażalne ilości jedzenia, jakby kilkukrotnie zwiększone zapotrzebowanie kaloryczne ledwo wystarczało jej do funkcjonowania. Warzywa wywoływały odruch wymiotny, mięso inne od rybiego przyjmowała z rezerwą.

Chciałem ją zabrać do lekarza, ale przez uszkodzenia skóry nie bardzo mogła się ruszać. Do tego doszedł kaszel i duszności, rano miała też gorączkę, którą zabiła lodowatym prysznicem. Stałem przy garach, od kiedy wróciłem z pracy...

Tylko przyćpanie uspokajaczami pozwalało mi ustać na nogach. Teleporada niewiele pomogła, a gdy próbowałem zadzwonić po karetkę, wyrwała mi

telefon. Przestałem walczyć. Chciałem tylko, żeby jej przeszło.

Więc gotowałem najlepiej jak mogłem, więc smarowałem maściami jej jeszcze twardszą i bardziej chropowatą skórę, więc wstawałem w środku nocy i słuchałem rwanego oddechu, świstu w płucach, duszności.

Gdy się przebudziła, oparła o ścianę, próbując złapać oddech, zapytałem, czy mógłbym dla niej zrobić coś jeszcze.

\*\*\*

Ciężko było wyjść z domu, ale zaczynała sobie radzić. Skóra bolała mniej, ataki gorączki prawie się nie zdarzały, nawet trochę znów pracowała.

Nad stawem nie było nikogo. Przyszedłem wcześniej nawet jak na rybaków, żeby jak najszybciej też wrócić. Łowienie jest kojące w pewien sposób, można się wyciszyć, zapomnieć o problemach...

O ile ryby nie są z nimi związane. Zazwyczaj nie są. Brały wszystkie, które kojarzę, oprócz tej jednej. Wszedłem trochę w wodę, bez przekonania, że to cokolwiek da. I czekałem. Gdyby jej tak bardzo nie chciała, już dawno dałbym spokój.

Czekałem.

\*\*\*

Nie odzywała się. Mam wrażenie, że nawet wtedy nie mruczała, nuciła, gwizdała, nie wydawała żadnego ludzkiego dźwięku, tylko kiwała głową. Darowałem sobie komentarze, w zasadzie zapomniałem o wszystkim, kiedy zobaczyłem jej euforyczną reakcję. Szkoda tylko, że całkowicie skupioną na rybie.

– Powiesz... mi... jak op-p-rawić? – wyszeptała chropowato, jakby wyszło jej gardło.

– Zbadasz się? – Nie mogłem się wyklócać, liczyła się tylko ta ryba, więc ją wykorzystałem.

– Ob-bb-iecuję.

– Jutro.

Instruowałem ją na bieżąco podczas krojenia składników. Prawie pokaleczyłem palce, nie mogąc zapanować nad dłońmi. Wypadła z łazienki.

– Prosz... – Wręczyła mi dwa filety, z czego jeden był... nadgryziony. Z ust śmierdziało jej surowym mięsem.

Poszła do pokoju. Drgnąłem, kiedy posłała mi jeszcze ostatni uśmiech, zanim zamknęła drzwi. Mnie albo osobie, która miała przyrządzić jej ukochaną rybę. Rzuciłem się do szafki z lekami. Gotowałem na lekkim haju. Tak było łatwiej.

Żuła ości, których nie zdołała wyciągnąć, a ten pierdolony metabolizm spalał wszystko w ciągu kilku minut. Mówiła wyraźniej i bez chrypki, ale znaczenia słów tylko odbijały mi się od uszu. Chciałem widzieć w niej swoją żonę. Ona wciąż gdzieś tam była, patrzyła zza przeszkłonych oczu, które łzawiły od przytłaczającej euforii. Robiło się duszno.

Wziąłem głębszy wdech, ale z pokoju jakby zniknął tlen. Coś śmierdziało. Rybą i siarką, zgnilizną. Poderwałem się, ale straciłem równowagę, przytrzymałem się stołu, zanim wyrzniętem na ziemię, a ona...

Ona dalej jadła.

\*\*\*

Wilgoć muskała policzki, mokre włosy unosiły się na wodzie. Ości płynęły ku grzbietom, na których nie została nawet odrobina mięsa. Smród był...

Ledwo byłem w stanie oddychać, brakowało mi sił, żeby się podnieść i z początku tylko wpatrywałem się w drzwi, spod których nieustannie napływała woda.

Ona. Moja... moja, zapomniałem jej imienia, jakby została wymazana z rzeczywistości. Zdołałem wstać. Zatoczyłem się w stronę łazienki, odpychając od ściany do ściany, cały przemoknięty. Ubrania przeszły smrodem na wskroś. Próbowiałem kopnąć w drzwi, ale byłem tak słaby, że tylko oparłem na nich stopę.

Chciałem ją zawołać, ale z ust wypadł bełkot, którego sam nie rozumiałem. Naparłem na klamkę i wpadłem do środka, lądując w strumieniu lejącej



się spod prysznic wody.

Stała po kostki w zapachu ryb, a ości dryfowały wokół jej łydek. Strumień wody stopniowo odrywał fragmenty ludzkiej skóry, odsłaniając łuski. Obwisała twarz nie przypominała niczego ludzkiego.

Zobaczyła mnie, ale nie rozpoznała. Wskoczyła spod prysznic i wyśliźnęła się, gdy pokracznie próbowałem ją objąć.

Pobiegła nad staw. Tam na pewno wskoczyła do wody. Wiedziałem, że wskoczyła. Widziałem... wyobrażałem... widziałem ją, kiedy mdlałem kilkanaście metrów od drzwi.

\*\*\*

Łapię rybę, zwykłą, dość przerośniętą, ale tak cholernie zwykłą. Z płetwami i w ogóle. Stoję po kostki w lodowatej wodzie, a zapach ryb, które być może zdechły od ścisku w siatce, łaskocze nos.

Utopiłem w wodzie obrączkę. Rzuciłem na zanętę ubrania, buty, obrazy, zdjęcia, jej telefon, laptop. Nawet nie pamiętam kiedy.

Wrosłem w jezioro. Mam wrażenie, że chwilami mój umysł bardziej pasuje do rośliny, że nogi po części się rozpuściły, zmieszały z wodą. Powinienem zdechnąć z wyziębienia, ale staw tego nie chce. Nie pozwala.

Coraz trudniej mi zebrać myśli, mającę i rzadko wracam do domu, w którym wilgoć wybiła panele, a wszystko zarosło grzybem.

Nie mam jej. W ogóle jej nie mam. Każda rzecz z nią związana wylądowała na dnie stawu. Zmyśliłem tę historię...

To już tak samo prawdopodobne, bo nie istnieją żadne dowody. Może od tygodni mam majaki, od tygodni staw nie chce mnie wypuścić, każe mi łowić. Każe mi wyłowić coś dużego.

Pociągam nosem. Chciałbym mieć pewność, że jeszcze niedawno byłem szczęśliwy, ale nie mam dowodu.

Krzak obok zaszeleścił, zobaczyłem kawałek czerwonego, dość ciemnego polaru ze zbyt długimi rękawami.

– Przepraszam pana za wcześniej... trochę mnie poniosło, się nie roz-

budziłem jeszcze... – głos dociera do mnie rozmyty, jakby uszy odoczyły się rozpoznawać słowa. – Jak pan ma tyle ryb i ich nie chce, to może...

– Bierz pan wszystkie.

– Dziękuję! – Widzę jego uśmiech, też się tak wcześniej uśmiechałem. – Bardzo dziękuję, naprawdę.

– Tylko czapkę weź.

– Co? – mruży, wyciągając ryby z siatki.

– Zimno tu jest strasznie w nocy.

Wyklina pod nosem, jednak mnie obchodzi tylko ona. Muszę złowić to, co staw mi odebrał... lub to, co staw chciał, abym wyłowił. Nie mam już dowodów. Żadnych dowodów.

Dwa dni później, w środku nocy słyszę, jak ktoś wskakuje do wody. Małe fale wzbierają, rozbijają się o moje mniej znieczulone kolana, jednak oczy nie mogą już dojrzeć, co weszło do stawu. Po kilku godzinach przychodzi mężczyzna w czerwonym, dość ciemnym polarze ze zbyt długimi rękawami. Wrzuca do wody jakieś przedmioty, a te mniejsze zaczepia na haczyk i bardzo się przy tym szamota. Płacze, uderza rękami w ziemię, gada do siebie.

Nie pamiętam, żebym tak robił, ale w zasadzie niewiele pamiętam.

Dzień później inny człowiek podbiera nam ryby, aby następnego dnia, za ledwie kilka metrów dalej wrzucać przedmioty jako zanętę. Po tygodniu jest nas ośmiu. W miesiąc otaczamy zbiornik, a duża część umiera z wyziębienia.

Nie wiem, w czym jestem lepszy, że staw pozwala mi przeżyć. Nie obchodzi mnie to. Stoję po kolana w zimnej wodzie, czasem czując, jak ryby ocierają się o moje kostki.

# Listy do rzeźbiarza

Lidia Gręda

*List dostarczony przez Poczta Polską*

Kochany Sebastianie!

Trochę się niepokoję. Nie odpowiedziałeś na mój ostatni list. Może zawieruszył się gdzieś na poczcie? Pisanie piórem ma swoje wady. Lecz nie zrozum mnie źle – to jest słodkie i chcę tak dalej!

Randka była wspaniała! Mam nadzieję, że wkrótce znów się spotkamy. Jeszcze raz dziękuję za prezent! Rzeźby, które wykonujesz, są niesamowite. Cieszę się, że mogłam zabrać do domu małą próbkę Twojej twórczości. Ta rybka jest cudna. Wygląda jak żywa. I pachnie jak żywa!

Mam nadzieję, że prezentowi ode mnie jest u Ciebie dobrze. Jesteś taki romantyczny! Nie chciałeś niczego, pragnąłeś tylko, żebym oddała Ci moje serce.

Nie mogę się doczekać, by ponownie ujrzeć kolekcję Twoich posągów. Są szczególnie. Zostałbyś milionerem, gdyby ktoś się nimi zainteresował. One... wydaje mi się, że mają dusze.

Wyznam Ci coś. Czasem zostawiałeś mnie samą z posągami, by przynieść wino albo odebrać telefon. Zawsze smutniały, gdy je opuszczales. Raz nawet... płakały! Dostawnie z oczu kapata im woda!

Wierzę, że u Ciebie wszystko w porządku. Podejrzewam, że masz wiele zajęć. Wiem! Pewnie zacząłeś kolejny posąg. Tak, tak, artysta musi się czasem zaszyć sam na sam ze sztuką. Potrzebujesz dużo czasu. Zatem nie będę Ci go zabierać i zasypywać kolejnymi listami. Pocz-

kam, aż odpiszesz. Po prostu odpowiedz w wolnej chwili, dobrze? Na pewno jesteś teraz w stanie tego swojego natchnienia. Czuję ciepło, gdy wyobrażam sobie Twoją uduchowioną twarz... Ale musisz przecież robić sobie co jakiś czas przerwy na tak przyziemne rzeczy jak jedzenie, spanie czy odpisywanie na listy. Więc poczekam.

Niech natchnienie Ci sprzyja!

Buziaki,  
Twoja Sabina

### *Pomięta kartka wsunięta pod drzwi*

*Mój miły Sebastianie!*

*Wybacz, że ten list jest napisany tak niechlujnie, ale piszę go lewą ręką. Nie odpowiadasz już tak długo. Przyjechałam do Gdańska, do Twojego mieszkania, ale mi nie otworzyłeś. Jeśli tam jesteś, daj znać. Proszę! Martwię się!*

*Nocuję w hotelu tuż obok dworca. Zostanę tu jeszcze tydzień. Jeśli będziesz chciał się ze mną skontaktować, przyjdź do hotelu, pokój 311.*

*Zabrałam ze sobą rybkę od Ciebie. Jakos nie mogłam się z nią rozstać. Mam wrażenie, że coraz intensywniej pachnie.*

*Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale ta woń stała się mocniejsza, odkąd pewnego dnia obudziłam się i odkryłam, że nie mam prawej dłoni. To było bardzo dziwne. Nie widziałam krwi, ale poszłam do łazienki i owinięłam rękę ręcznikiem. Gdy wracałam, zauważyłam, że rybka ma naprawdę silny zapach. Była też lekko śliska.*

*Następnego dnia obudziłam się bez obu dużych palców u stóp. Nie miałam też jednego ucha, a cały pokój był przesiąknięty wonią rybki.*

*Nie wiem, co się dzieje i jestem zagubiona. Chciałabym znów Cię zobaczyć, spojrzeć w Twoje turkusowe oczy i poczuć na talii Twoją dłoń. Dlatego znów przyjechałam aż z Krakowa. Gdzie jesteś? Czemu zamykasz przede mną drzwi?*

*Czy nadal tworzysz te samą rzeźbę? Czy stoisz nad nią w natchnieniu, formując kolejne fragmenty jednej, doskonałej całości? Nadajesz kształty dłoniom, udom i pierśiom? Czy właśnie powstaje coś tak pięknego i cudownego, że*



nie sposób przejść obok tego obojętnie? Czy powołujesz do życia kolejny posąg, który za Tobą zapłacze?

Chciałabym go zobaczyć. Wiem, że tam jesteś. Chciałabym ujrzeć, jak tworzysz, jak formujesz, jak doskonalisz i jak dajesz życie martwemu materiałowi. Wpuść mnie, proszę. Nie będę przeszkadzać. Tylko popatrzę. Chce widzieć piękno, które wychodzi spod Twoich rąk.

Chciałabym także zobaczyć, jak ma się moje serce. Choć wiem, że wszystko z nim w porządku, bo musi być dobrze, w końcu opiekujesz się nim właśnie Ty. Lecz chciałabym je ujrzeć. Tak po prostu. Tak żeby się upewnić. Chociaż, co ja piszę, wcale nie muszę się upewniać..

Wiesz, mam takie specyficzne uczucie, gdy myślę o moim sercu. Jakby coś ciągnęło mnie w jego stronę. I czuje też wtedy jakiś taki dziwny zapach, jak coś z dzieciństwa.. Domowe ciasto, porzeczki i ciepło stonca na półeczku. I właściwie, gdy myślę o mojej dłoni, która zniknęła, a także o innych fragmentach ciała, których zostałam pozbawiona, mam podobne wrażenia.

Chciałabym zapytać, czy one są.. u Ciebie? Tak jak serce? Czy to Ty mi je zabierasz? Ech, co za absurd. Wiem, że to by było niemożliwe. Niby po co miałbyś mi je kraść? Przepraszam, ale musiałam zapytać.

Niecierpliwie czekam na kontakt z Twojej strony. Przyjdź albo napisz,

*póki jestem w hotelu. Wystarczy cokolwiek. Jedno słowo. Takikolwiek znak, że żyjesz. Żeby nie czuć już tego rozpaczliwego niepokoju. Jedynę, czego teraz potrzebuje, to ulgę, jaką mi da wiadomość od Ciebie. Nie chce nawet mojego serca czy dłoni. Tylko tej ulgi. Jednego małego liściku.*

*Odezwij się, błagam!*

*Catuje mocno jak cholera,  
Twoja Sabina*

### *E-mail, który wylądował w folderze ze spamem*

Drogi Sebastianie!

Wybacz, że łamię nasze przyrzeczenie i wysyłam list elektroniczny zamiast tradycyjnego, ale zniknęło mi także kilka palców lewej dłoni i teraz nie mogę pisać piórem.

Nie mam już właściwie większości siebie. Zniknęły moje stopy, nogi, pośladki i brzuch. Poruszam się teraz na rękach. Rybka pachnie jeszcze mocniej. Mam wrażenie, że to ona zabiera te wszystkie części ciała. Że wciąga je wargami, które wyrzeźbiłeś. Że zamieniają się w pył i rozplývają, kruche i niestabilne jak słoneczne refleksy na wodzie, po czym zmieniają swój stan na gaz, który wpływa prosto do wnętrza rybki.

I w niej wszystko się miesza – palce, nogi, inne członki – i nic już nie jest tym, czym było pierwotnie, wszystko obraca się w proch i jest jednym tworzywem.

To samo się dzieje w mojej głowie i wszędzie wokół mnie – granice obiektów się zacierają albo falują, rzeczy zmieniają kształty, mutują; drzewa są teraz domami, a domy drzewami, okno to tak naprawdę oko tej staruszki, co mieszka naprzeciwko, a na podłodze leży nie dywan, a sflaczałe ciało dostawcy jedzenia, który spieszył na swoim skuterku po Drodze Mlecznej.

Mrugam i wszystko miesza się jeszcze bardziej. Teraz kolory są kształtami, dźwięki – wybuchami, a wonie – płynami. Zapach rybki ma postać płynną, widzę, jak skapuje na podłogę i podtapia biurko, obmywa też nogi łóżka i dół szafy. Gdybym miała stopy, to mogłabym je w nim zanurzyć.

Ale nie mam. Mam tylko to uczucie, jak o nich myślę, uczucie zapachów



i kolorów z dzieciństwa. I nagle widzę moje stopy, znów je mam, lecz nie mogę nimi ruszyć, są dziwnie ciężkie. W dodatku nie jestem już w moim pokoju, a w jakimś niewyraźnie oświetlonym pomieszczeniu, którego nie poznaję.

Zapach rybki jest i tutaj, również jako płyn. Obmywa mi stopy, jest ciepły i sprawia przyjemność, kiedy łaskocze w palce. Potem nagle zamienia się w galaretę i mocno przyciska do moich stóp. Staje się twardy jak stal i już nie jest tak przyjemnie, bo za mocno ściska stopy, niemal je miażdży. Później nagle wracam do pokoju i wszystko znowu wskakuje na swoje miejsca, kształty znów są kształtami, a zapachy – zapachami. I tylko rybka jest jakby inna, jakby bardziej oślizgła i galaretowata, bardziej śmierdząca, staje się niemal miękka.

Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Już mam tego dość. Mam takie momenty, odkąd wróciłam z Gdańska. Dlaczego się nie odezwał? Dlaczego wciąż nie odpisujesz? Przecież nadal masz moje serce. Ono nadal jest u Ciebie. Chcę je odwiedzić.

I chcę też zobaczyć Twoje turkusowe oczy.

Tęsknię,  
Sabina

### *Kilka słów wyszeptanych śpiącemu do ucha*

Sebastianie,

Mnie już nie ma. Zostały mi zabrane wszystkie części ciała. Nie mam już rąk, nóg i głowy. Teraz jestem tylko myślą unoszącą się w chaosie świata. Już nie mogę czuć, kochać i tęsknić. A jednak wciąż chciałabym wiedzieć, co się dzieje z moim sercem. Co u niego? Powiedz, proszę.

Sabina

### *List pisany szybko wysychającymi łzami*

*Znów mam nogi, dłonie, głowę, a nawet serce. Wszystko jest na swoim miejscu. A na ustach czuję Twój smak – przed chwilą mnie pocałowałaś.*

*Potem poszedłeś na górę, zostawiając mnie wśród posagów kobiet, które po Tobie*

plakaty. W moich oczach też wezbrała teraz tęsknota.

Nie mogę się ruszyć. Widzę przed sobą rzeźbioną rybkę, dokładnie taką samą, jaką mi podarowałaś, lecz nieco większą. Jej gardło jest głębokie niczym studnia.

Chcę spojrzeć na swoje dłonie, swoje ciało, ale nie mogę nawet spuścić oczu. Są jak dwa kamienie. Cała jestem jak kamień. Jestem twardą i niewzruszoną górą.

Czuję, jak rybka przede mną pachnie coraz mocniej. Znowu wszystko się miesza. Znow kształty są barwami, a zapachy mają płynny stan skupienia. Zapach rybki spływa na podłogę i otacza moje kostki. Jest ciepły, czuję jakbym moczyła stopy w nagrzanym słońcem morzu.

Właściwie jest dobrze. Trochę poczekam, a Ty zaraz tu wrócisz i znow będę cała Twoja. I tylko z oczu mi ciekną ulotne, gorące łzy.

# Jak minął dzień?

Mateusz Pawlak

Radość posiadania nowego „M” zawsze rozbija się o sąsiadów. W przypadku Marysi Kupagi, poczciwej staruszki o przemiłej aparycji, magia przysła, gdy drzwi windy otworzyły się na parterze. Po drugiej stronie zobaczyła Jana Uszkę.

– Kupaga – warknął.

Marysia zmarszczyła brwi.

– Bęcwał – wycedziła.

Mierzyli się wzrokiem. Drzwi windy rozdzieliły ich, staruszka uderzyła w przycisk otwierania i ponownie się nastroszyła. Jan stał jak wcześniej. Siłowanie na spojrzania nie trwało nawet pięciu sekund – winda znów się zamknęła i Marysia wcisnęła guzik drugiego piętra.

Wpadła do mieszkania. Otworzyła szafę i z samego dna wygrzebała drewnianą, podłużną skrzynkę. Uchyliła wieczko, wyciągnęła zakurzoną różdżkę. Zważyła ją w dłoni i machnęła na próbę. Nie mogła już czuć się bezpiecznie. Nie, jeśli mieszkał tu ten bałwan, czarownik od siedmiu boleści – jej stara szkolna miłość.

\*\*\*

Dopiero kilka dni później dowiedziała się, gdzie dokładnie mieszka Uszko. Akurat przeklinała w duchu pana Karpia, mężczyznę w sile wieku, w okularach o cienkich, okrągłych oprawkach, który uśmiechał się spod kaszkietu na wszystkich materiałach promujących mieszkania na jej osiedlu. Wizerunek właściciela firmy deweloperskiej Karpex sp. z o.o. stanął Marysi przed oczami, gdy próbowała upchnąć na zbyt małym balkonie dwa krzesła. Wreszcie dokonała cudu; na jednym usiadła, na drugim wyciągnęła nogi i z herbatą

w ręku rozkoszowała się wiosennym porankiem.

Idylę zburzył powiew wiatru. Zaśmierdziało... rybą. Marysia zmarszczyła nos. Z góry usłyszała przekleństwa, widocznie fetor nie tylko jej przerwał sielankę.

*Skąd w mieście taki odór?* – pomyślała.

Chwilę później ten sam wiaterek przywiał na balkon peta, rzuconego z piętra powyżej. To przelało czarę goryczy. Marysia chwyciła niedopałek i wypadła z mieszkania z zamiarem wsadzenia go winowajcy w dowolny otwór ciała. Odnalazła docelowy lokal i kilkakrotnie grzmotnęła w drzwi pięścią. Otworzył jej Uszko we własnej osobie. Oboje zmrużyli oczy i zmarszczyli brwi.

– Jeszcze raz rzucisz peta na mój balkon, to...

– To co? – przerwał Jan, wyciągając z tylnej kieszeni różdżkę.

Czarownica poczerwieniała – swoją zostawiła w przedpokoju.

Z mieszkania obok wyszła para młodych ludzi i prześlizgnęła się obok Marysi, trwoźnie bąkając „dzień dobry”.

– To pożałujesz – wysyczała, rzuciła petem w twarz Uszka i ruszyła z powrotem do siebie. Szła za sąsiadami Jana – patykowatym chłopaczkiem we flanelowej koszuli, idącym w towarzystwie szczupłej dziewczyny w dzinsach i rasta-bluzce. W głowie Marysi rodził się plan.

– Młodzieńcze – zagadnęła. Para odwróciła się, w oczach wciąż mieli strach. – Byłbyś tak miły i pomógł mi skonfigurować... telewizor? Może dziś po południu?

Chłopak nerwowo popatrzył na swoją dziewczynę i pokiwał głową.

\*\*\*

Mieszkanie Marysi przestało być oazą spokoju. Wydawało się, że Jan Uszko poświęcał każdą chwilę na stepowanie, przesuwanie szaf, toczenie metalowych kul i podkręcanie basów w głośnikach. Na to czarownica miała swoje sposoby, ale zaczęła od projektów priorytetowych.

Otworzyła skrzynkę z zielarskimi zapasami, wybrała kilka ziół i sprawdziła aromat. No tak – specyficzny zapach z pewnością rozejdzie się po całym bloku

i w najgorszym przypadku sprowadzi funkcjonariuszy wydziału narkotykowego.

Wyskoczyła do pobliskiego warzywniaka i przytargała składniki na kapuśniak, bigos i gołąbki. Nawet ten wstrętny rybi smród ustąpił. Nic nie snuje się po blokowiskach tak, jak aromat gotowanej kapusty.

\*\*\*

Sąsiad Uszki przyszedł pod wieczór. Marysia wskazała mu karton z telewizorem, który pospiesznie zapakowała przed jego przyjściem, i rozpoczęła rytuał parzenia herbaty. Chłopak podwinął rękawy flanelowej koszuli i wziął się do roboty.

– Panie Marcinku...

– Jestem Łukasz.

– ...napije się pan herbatki? – zapytała Marysia.

– Nie, dziękuję, to zajmie mi tylko chwilę.

– Proszę wypić, bo wystygnie. Ziołowa – powiedziała tonem niecierpiącym sprzeciwu.

Wysiorbał łyk i już chciał odstawić kubek, ale Marysia odchrząknęła i chłopak posłusznie wypił do dna.

Zakończył konfigurację telewizora, wstał i... zdziwiony spojrzał na swoje krocze.

– Ja chyba już pójdę – wystękał zgięty wpół. Z czoła popłynęła mu strużka potu.

– Och, gorąco panu, panie Marcinku?

Pokiwał głową, idąc pokracznie w stronę drzwi.

– Proszę otworzyć sobie w domu okno!

Gdy zatrzasnęła za chłopakiem drzwi, uśmiechnęła się, myśląc o Janie-bęcwał. Stary impotent powinien mieć niezły koncert przez całą noc.

\*\*\*

Wieczór nad blokowiskiem wypełnił się jękami rozkoszy. Czarownica na-

wet u siebie słyszała niosące się po ścianach miarowe postukiwanie, które przybierało na sile. Z uśmiechem dzikiej satysfakcji wyszła na balkon, myśląc o tym, jak Uszko – stary zboczeniec – wściekły wysłuchuje zabawiających się tuż za ścianą sąsiadów.

Uderzył w nią smród ryb, jeszcze mocniejszy niż wcześniej. Zmarszczyła brwi. Skąd taki fetor? Co prawda na tyłach osiedla był niewielki staw, którym deweloper chwalił się na każdym kroku, ale żeby cuchnęło jak w sklepie rybnym po awarii klimatyzacji?

Pociągnęła nosem. A teraz co? Papierosy? Popatrzyła na boki, w górę, w dół. Na prawie każdym balkonie stał pałacy mężczyzna. Pomarańczowe punkciki co chwila jarzyły się to tu, to tam. W końcu dobry seks to taki, po którym palą również sąsiedzi.

\*\*\*

Marysia Kupaga wyszła na zakupy dopiero w południe. Tuż przed klatką minęła patykowatego sąsiada-rozpustnika. Szeroko stawiał stopy, a w ręce niósł worek z lodem. Jego twarz przy każdym kroku wykreślał grymas bólu.

– Panie Marcinku! A co ma pan takie podkrążone oczy?

– Łukasz jestem – szepnęła.

– Słucham? Pan się nie przejmuje, jakby trzeba było ziółek zaparzyć, to wie pan, gdzie mnie znaleźć. I gdyby tak pan znów chciał... – Mrugnęła.

Łukasz stanął jak wryty. Widać było, że przetwarza informacje, ale zmęczenie odciska piętno nie tylko na jego aparycji, ale też zdolnościach poznawczych. W końcu uśmiechnął się szeroko.

– Gdyby miała pani jeszcze jakiś telewizor do konfiguracji, to ja pomogę.

– Z pewnością – powiedziała i minęła sąsiada.

Kilka kroków dalej poślizgnęła się na chodniku. Spojrzała w dół. Psia kupa została rozsmarowana po kostce brukowej i jej świeżo wypastowanych butach. Zakłęła w myślach, jednocześnie zachodząc w głowę, jak mogła prze-gapić taką minę. Wytarła podeszwę w trawnik i ruszyła dalej.

Plask! Wdepnęła w kolejną kupę. Z góry doszedł ją śmiech. Odwróciła

się i zerknęła w tamtą stronę. Na balkonie stał Uszko i kwiczał z uciechy. Po chwili wycelował różdżką w trawnik obok Marysi, wykonując subtelne ruchy. Czarownica spojrzała w bok, by zobaczyć, jak psie gówno unosi się w powietrzu, a następnie skręca, przyspiesza i z impetem uderza w jej płaszcz. Uszko ryknął na cały głos.

Marysia nie wytrzymała, wyszarpnęła swoją różdżkę zza pazuchy i posłała czerwoną, iskrzącą się smugę wprost w czarownika. Ten ledwo zdążył postawić zakłęcie obronne.

– Kupagówna! Ty sobie uważaj!

– Kupagówna?! Ja ci dam Kupagówna, bęćwa! – Strzeliła jeszcze dwa razy.

Uszko i tym razem sparował pociski, po czym schował się w środku. Marysia zauważyła, że patrzy na nią co najmniej dwójka sąsiadów. Sprawnym ruchem trafiła ich zakłęciami niepamięci i poszła na zakupy.

Gdy wracała, spojrzała na osiedle. Coś się nie zgadzało, ale nie potrafiła powiedzieć co.

\*\*\*

W oparach gotowanej kapusty Marysia upichciła eliksir wzmacniania telemekyzy. Dobrała proporcje składników tak, by przesunąć duży obiekt o jakieś pół metra.

Przy zachodzącym słońcu wyszła na zaśmiecony petami balkon i zlustrowała parking pod blokiem w poszukiwaniu kadetta Uszki. Jest! Niegdyś białutki opel przypominał teraz krowę w rdzawo-brązowe łaty. Wypiła eliksir i skupiła na pojeździe czarownika całą swoją uwagę. Drgnął. Powolutku, pomalutku przesunął się tak, że dwa koła znalazły się na linii odgradzającej miejsca parkingowe.

*Wystarczy* – pomyślała Marysia i poszła spać.

Po przebudzeniu od razu wyjrzała na zewnątrz. Przytknęła do oczu lornetkę – tak jak się spodziewała, na Jankowego opla ponaklejano karne kutasy. Zaparzyła herbatę, usadowiła się na krzesłach balkonowych i czekała.

Niespełna godzinę później Jan wyszedł z klatki, pogwizdując pod wąsem.



Kilka metrów od samochodu stanął jak wryty, potem podbiegł, obszedł auto dookoła, zatrzymał się naprzeciwko i podrapał w głowę. Czterdzieści lat minęło, odkąd widok tego barana ucieszył Marysię tak, jak teraz.

Uszko zrozumiał. Wlepił wzrok w staruszkę i ruszył pod balkon z ręką schowaną za pazuchą. Czarownica szczyrzyła zęby, jednocześnie nie kryjąc trzymanej w ręce różdżki.

– Ee, bęcwał! Może kupić ci kolorowankę, żebyś nauczył się nie wyjeżdżać za linie?

– Zabawnaś, Kupagówna! – wycedził tak, by go usłyszała. – Dość tego! Nie będziemy się bawić w żadne podchody, będziemy się... – Marysia nie dosłyszała, bo jakiś sąsiad przygazował swoją yamahą. Tymczasem Jan rozejrzał się konspiracyjnie. – Dziś o dziesiątej wieczorem z tyłu osiedla, za stawem.

Kupaga zmrużyła oczy, a usta zacisnęła w cieniutką kreskę. Kiwnęła głową.

Uszko poszedł odklejać kutasy, a czarownica wróciła do środka i otworzyła pudełko, w którym wcześniej trzymała różdżkę. W środku, pod drugim dnem, ukryty był naszyjnik z rubinem. Założyła go po raz pierwszy od kilkunastu lat.

\*\*\*

Marysia wyszła z bloku. Szła powoli, sprawdzając co chwilę, czy różdżkę da się łatwo wyciągnąć zza pazuchy, a rubin bezpiecznie zwisa u jej szyi.

Jakiś mężczyzna trącił ją ramieniem, próbując wyprzedzić. Nawet nie przeprosił, rzucił jedynie ukradkowe spojrzenie spod kaszketu i zniknął za rogiem budynku. No tak, szła środkiem chodnika, jak przystało na osiedlową staruszkę.

– Weź się w garść, Kupaga – warknęła na siebie i jeszcze raz dotknęła naszyjnika.

Poczuła delikatne mrowienie w palcach – moc w kamieniu wciąż była silna. Głęboko westchnęła i przyspieszyła kroku.

Okna mieszkania Marysi wychodziły na przednią część osiedla, toteż widok za blokiem nieco ją zaskoczył. Była przekonana, że wybudowano tu jeszcze trzy inne budynki, tymczasem zobaczyła tylko jeden. Jednak wszystkie myśli wypłoszył smród ryb – tutaj znacznie intensywniejszy. Mijając staw, zastanawiała się jak to możliwe, że tak niewielki zbiornik może roztaczać taki fetor.

I wtedy ujrzała Jana. Ten człowiek był niereformowalny! Tak jak się spodziewała, przybrał postać swojego altera – postawnego młodzieńca z bujną czupryną, o zadziornym spojrzeniu – ale gęstego, postrzępionego wąsa zostawił. Marysia miała ochotę złapać się za głowę.

Jednak nie miała na to czasu. Prawą ręką wyciągnęła różdżkę, a lewą chwyciła za rubin i wyuczonym ruchem zawirowała na jednej nodze. Poczuli, jak przepelnia ją energia, a pomarszczona skóra naciąga się na jędrnych mięśniach. Dwie długie kitki smagnęły ją po karku, a płaszcz zamienił się w obcisłą sukienkę, w którą z pewnością nie wcisnęłaby swojego prawdziwego ciała. Jako alter stanęła przed Uszkiem, mierząc go spod ciemnej grzywki.

Odplącił się takim samym spojrzeniem i zakręcił wąsem.

– Do pierwszej krwi czy powalenia? – warknął.

– Zobaczymy, czy powstrzymam się przed wypruciem ci flaków.

Skinął głową i machnął różdżką. Pomiędzy nimi w powietrzu zawisły cyfry pokazujące godzinę. Do dziesiątej zostało dwadzieścia pięć sekund.

Oboje przyjęli pozycję bojową – na wpół ugiętych nogach, w lekkim rozkroku, z różdżkami wyciągniętymi przed siebie.

Staw zabulgotał i Marysia znów poczuła rybi fetor.

*Skup się na walce* – pomyślała i zerknęła na zegar.

Trzy, dwa, jeden.

Nie zaatakowała od razu, chciała go wyczekać. Zmrużyła oczy. Uszko strzelił raz i drugi. Marysia odskoczyła. *Przewidywalne* – pomyślała z pogardą, ale poczuła adrenalinę w żyłach. Posłała kilka snopów czerwonych iskier. Uszko wyczarował tarczę. Szlag! Pociski rozpląnęły się w powietrzu.



Czarodziejka wrzasnęła bezsilnie i posłała jeszcze jedną salwę. Na próżno. Zauważyła, że Uszko rusza biegiem dookoła. *O, nie, nie okrążysz mnie.* Zrobiła dwa kroki. Jan wystrzelił powolną żółtą kulę, niecelnie. Partacz. Złożyła się do kolejnego strzału, gdy pocisk Czarodziejki eksplodował na pobliskim drzewie. Marysia pisnęła, zasłoniła głowę rękami. Zgubiła krok. Na sekundę straciła przeciwnika z oczu. Wystarczyło. W ostatniej chwili zauważyła pędzące w jej strony iskry. Nie było czasu na postawienie tarczy. Z ledwością sparowała pocisk w stronę stawu. Zatoczyła się. Czowała, jak pot sływa jej po twarzy. Wycelowała w Uszkę, już miała strzelać, ale... ten patrzył gdzieś w bok.

Podążyła za jego wzrokiem. Wrzasnęła przerażona. Staw bulgotał coraz bardziej, w nozdrza uderzył ich intensywny smród ryb.

Nagle ze zbiornika wystrzelił olbrzymi, łuskowaty kształt. Wzniósł się ponad dachy bloków i zwrócił w stronę budynków. Wyglądał jak gigantyczna kobra o głowie karpia. Na jego grzbiecie coś siedziało. Marysia wyteżyła wzrok – to był człowiek.

Stwór otwierał paszczę, która rosła z sekundy na sekundę. Wkrótce zasłoniła pół nieba. Wężowy karp nakrył gębą najbliższy blok. Coś chrupnęło, gruchnęło i nagle potwór uniósł się, zostawiając na ziemi jedynie fundamenty i kilka sterzących prętów zbrojeniowych. Jakiś mężczyzna, obładowany siatkami pełnymi zakupów, patrzył przerażony na monstrum, które zjadło jego mieszkanie.

Karp zwrócił się w jego stronę, ułożył usta w dzióbek i zbliżył do niebezpiecznika. Zassał powietrze i ofiara została wciągnięta jak paproch do rury odkurzacza. Potwór głośno beknął i zaczął powoli zanurzać się z powrotem w stawie. Marysia skupiła wzrok na tajemniczym jeźdźcu. Zauważyła jedynie, że nosił kaszkiet i okulary. W końcu zniknął pod powierzchnią wody razem z gigantyczną rybą.

Jan i Marysia spojrzeli po sobie.

– Zawieszenie broni, Uszko – powiedziała czarodziejka.

Popatrzyła w stronę osiedla. Kiedyś była przekonana, że stoją tu cztery bloki. Teraz przed sobą mieli tylko jeden – ich własny. Jan też to zauważył.

– Jesteśmy następni? – zapytał.

Marysia tylko wzruszyła ramionami. Pociągnęła kilka razy nosem.

– Nie czuć ryb – stwierdziła.

– Trzeba wrócić do starych dobrych czasów i dać łupnia tej maszkarze.

Marysia spojrzała mu w oczy. Uśmiechnęła się lekko.

– Chyba mam trop.

\*\*\*

Wrócili do mieszkania staruszki w swoich normalnych postaciach. Marysia uruchomiła laptopa.

– Rzadko widuję mężczyzn w okularach i kaszkiecie, ale jeden wrył mi się w pamięć...

Weszła na stronę Karpeksu – dewelopera budującego ich osiedle. Wszystkie wizualizacje przedstawiały cztery budynki, tak jak zapamiętała. Jeszcze dziś wieczorem stały dwa. Przystudiowali wszystkie informacje. Wynikało z nich, że

ten pożarty nosił oznaczenie „D”. Blok Marysi i Jana nazywany był „A”.

– Co się stało z „B” i „C”? – zastanawiała się czarownica.

– Wejdz w aktualne oferty lokali.

Zobaczyli wszystkie cztery budynki, ale tylko link do „A” był aktywny. Kliknęła. W ich bloku wciąż na sprzedaż był jeden lokal usługowy na parterze. Marysia wróciła na stronę główną, ukazał się wielki napis: Już wkrótce oferty mieszkań w kolejnych budynkach.

– Jeszcze przed chwilą tego nie było – powiedział Uszko.

Wpatrywali się w ekran z szeroko otwartymi oczami.

– Czyli... Karpex sprzedaje mieszkania, a gdy już wyprzeda wszystko... – zawiesiła głos Marysia.

– ...zjada budynek – dokończył Jan. – I na jego miejsce buduje kolejny. A to oznacza...

– ...że jesteśmy następni.

– Jakim cudem nikt się nie zorientował?

Marysia wzruszyła ramionami.

– Teraz te osiedla co chwilę się zmieniają, trudno nadażyć.

– Ale...

– Dlaczego ich nie pamiętamy? Nie ma policji? Zgłoszeń od bliskich? – Westchnęła. – A pamiętasz jak w ogóle wyglądały te bloki? Kogoś, kto tam mieszkał?

Uszko chwilę się zastanowił i pokręcił głową. Marysia znów wzruszyła ramionami.

– Zatem magia.

\*\*\*

Kolejne dni spędzili na przygotowaniach do bitwy, a co wieczór szli nad staw i tam spędzali długie godziny, gapiąc się w nieruchomą taflę wody. Zaczęli nawet rozmawiać. Uszko zaskakująco szybko oduczył się używać słów „dupa”, „cycki, hehe” oraz wszelkich określeń męskich i żeńskich dróg rodnych. Po tygodniu Marysia ze zdziwieniem stwierdziła, że te posiedzenia

sprawiają jej... przyjemność. Wtedy też Jan zauważył:

– Dawno nie czułem smrodu ryb.

Skinęła głową.

– Czekamy i czekamy, a tymczasem nic się nie dzieje. – Westchnęła głośno. – Blok „B” ma już postawione pierwsze piętro, a na fundamentach „C” zaczynają robić szalunki. Trzeba to ruszyć.

– Niby jak?

– Kupimy ten lokal.

\*\*\*

Z samego rana Marysia zadzwoniła do biura sprzedaży Karpex sp. z o.o. i wyraziła chęć zakupu. Męski głos z nieskrywaną radością oznajmił, że mogą się umówić na wizytę u notariusza choćby i dziś.

Gdy tylko zakończyła rozmowę, wiosenny wiatr wpadł przez uchylone okno, zakolysał firankami i wtłoczył do mieszkania smród ryb.

\*\*\*

Odebrali klucze i zajęli pozycję niedaleko stawu. Marysia pierwszy raz od pięćdziesięciu lat chowała się w krzakach. Przez myśl przemknęło jej, że za młodu wiele by dała, żeby znaleźć się z Uszkiem w takiej sytuacji. Spojrzała w bok. Wąsaty alter Jana patrzył tępo przed siebie.

*Było, minęło* – pomyślała i wróciła do obserwacji.

Plan był naiwny, ale przynajmniej prosty – naparzać w rybę wszystkim, czym się dało. Mieli pod ręką całkiem okazały arsenał magicznych artefaktów. Szanse oceniali pół na pół: albo się uda, albo nie.

I, jak to z prostymi planami bywa, wziął w łeb, zanim na dobre się roz-począł. Od strony osiedla przyszli sąsiedzi Uszki – Łukasz-Marcinek i jego partnerka. Rozłożyli koc obok stawu, otworzyli wino i nie tracąc czasu na jego wypicie, zaczęli okazywać sobie uczucia ustami i rękami.

– He, he! – Marysia usłyszała szept.

Zerknęła na Jana. Gapił się na nią z głupkowatym uśmieszkiem. Czarodziejka zmysłowo opuściła powieki, lekko rozchyliła usta.

– Udawaj dzika – wyszeptwała.

– Co?

– No, rób jak dzik, świnió, to się wystraszą i uciekną. Zaraz tu przyjdzie Karp, a wtedy młodzi skończą jako pokarm dla rybek.

Uszko zaniemówił, przyjął naburmuszony wyraz twarzy i odwrócił głowę.

– Za późno. – Marysia kiwnęła głową w kierunku osiedla.

W stronę stawu szedł mężczyzna w kaszkiecie.

Uszko wzruszył ramionami.

– Trzymamy się planu – powiedział z przyganą.

– Jakiego planu? Nie ma już żadnego planu, trzeba improwizować! – odpowiedziała.

Wtedy ją olśniło. Później zastanawiała się, czy to zasługa młodzieńczego, otwartego umysłu jej altera, czy działanie adrenaliny.

– Zabijemy go teraz!

– Jak teraz?

– No, teraz, bęcwał, zanim wejdzie do stawu! Ja zajmę się młodymi!

Marysia wyszła spod krzaka i krzyknęła do Karpia:

– Idziesz łowić, rybko?

Uszko ruszył w stronę zdziwionego mężczyzny, tymczasem czarodziejka pobiegła łukiem, by go okrążyć i oddzielić od sąsiadów. Łukasz-Marcinek i dziewczyna zerwali się na nogi. W szoku poprawiali ubrania, które tu i tam odsłaniały to, co powinny zasłaniać.

Karp wyciągnął różdżkę. Marysia zakłęta i niewiele myśląc, wystrzeliła żółtą kulą. Nicelnie.

– Ogarnij to, bęcwał – szepnęła do siebie, licząc, że Jan rozpozna swoją własną taktykę.

Kula eksplodowała. Deweloper skoczył w bok szczupakiem, strzelając w Marysię czerwonymi iskrami. W tym czasie Uszko formował nad głową kolejne żółte kule. Czarodziejka zrozumiała, ale zawahała się.

– Uszko! – wrzasnęła, gdy zobaczyła lecące w jego stronę iskry.



Stworzone przez Jana pociski wybuchły z głośnym hukiem. Dopiero krzyk dziewczyny Łukasza otrzeźwił Marysię. Zakłębciem unieruchomiła sąsiadów i chciała dołączyć do walki. Co się stało z Janem? Byli tak cholernie niezgrani! Czowała, że nie panują nad sytuacją, omiotła wzrokiem pole bitwy. Karp uciekał w stronę stawu, Uszko wstawał spod połamanych gałązek.

Iskry! Wystrzeliła, machając różdżką ze złością. Kolejne! Karp wszystkie sparował. Był już niemal przy brzegu.

– Kula, Kupaga, teraz! – Usłyszała wrzask Jana.

Oboje posłali żółte sfery w stronę przeciwnika, ale ten dwoma strzałami strącił lecące w niego pociski. Eksplozje rozświetliły mrok. Karp był już o kilka kroków od stawu.

Nie zauważył, że Jan wystrzelił jeszcze raz. Kula przebiła płomienie wiszące w powietrzu i trafiła dewelopera w rękę. Przerażliwy krzyk rozdarł noc, a mężczyzna padł w ogień i zamilkł.

Marysia wymieniła spojrzenia z Uszkiem. Odetchnęła z ulgą. Czowała się, jakby złapała upuszczoną szklanę tuż nad podłogą. Tak niewiele brakowało! Twarz Jana była osmalona, a ubrania poszarpane. Tylko wąs przetrwał w stanie nienaruszonym.

Nagle z płomieni poderwał się ludzki kształt. Niezdarnie pokonał kilka kroków i spadł do stawu. Zasyczały duszone języki ognia.

– Na niego, Uszko! – krzyknęła Marysia.

Podbiegli do brzegu. Adrenalina, która zdążyła już nieco opaść, znów wypełniła krwioobieg. W przypływie ostatniej trzeźwej myśli czarodziejka postawiła ochronną sferę wokół unieruchomionych sąsiadów.

Najpierw uderzył w nich niewyobrażalny smród ryb. Chwilę później tafle wody rozerwał ogromny potwór. Z boku maskary wisiał Pan Karp. Trzymał się jedną ręką, kikutem drugiej rozpaczliwie próbował chwycić łuski monstrum. Nie zdołał. Spadł i bez życia gruchnął o ziemię.

Wężowy stwór ryczał i machał głową na wszystkie strony. Marysia nie wytrzymała i zasłoniła uszy rękami. Poczowała, jak zmiękły jej nogi, a do oczu napłynęły łzy. Zerknęła na Jana. Ten zjeżył się i z okrzykiem puścił salwę w potwora. Maskara ucichła. Spojrzała dookoła zdezorientowana. Gdy

w końcu zobaczyła parę czarodziejów, wrzasnęła tryumfalnie.

Zaatakowała Uszkę. Kłapnęła paszczą, ale Jan odskoczył i posłał jej kilka czerwonych iskier. Jeden pocisk trafił w oko i to wyraźnie rybę zabolalo. Marysia widząc to, ze złością wystrzeliła z różdżki. Machała jak opętana.

– Giń – krzyczała.

Z każdym pociskiem spływającym po łuskach uciekała z niej wiara. Ulga na widok płonącego pana Karpia przerodziła się w bezradność.

Maszka zaatakowała czarodziejkę, ta odskoczyła. Nawet nie skontrolowała. Czuli, że traci kontrolę, wpada w panikę.

Wtedy potwór zobaczył Łukasza-Marcinka z dziewczyną. Szybkim ruchem połknął unieruchomionych w ochronnej tarczy razem z kawałkiem ziemi.

– Nieee! – wrzasnęła Marysia.

– Uciekajmy! – krzyczał Uszko, wciąż ostrzeliwując przeciwnika.

Czarodziejka go nie słuchała. Długimi nogami sadziła susy w kierunku potwora. Jan zaklął siarczyście. Cokolwiek próbowała zrobić Marysia, musiał ją wesprzeć. Mięśnie nóg i rąk paliły, pot spływał po twarzy, ale udało się – karp zwrócił na niego uwagę.

Tymczasem Marysia wbiegła do jeziora, a śmierząca woda zmyła łyż. W kilku ruchach podpłynęła do maskary. Chwyliła za łuski i zaczęła się wspinać. Im wyżej, tym bardziej kołysało i z coraz większym trudem zaciskała dłonie na łuskach. Ostre krawędzie kaleczyły palce.

– Uspokój go! – krzyknęła.

Jan nie miał pojęcia, jak można uspokoić takie monstrum, więc zrobił pierwsze, co przyszło mu do głowy. Skierował różdżkę na swoją krtań i wyszeptał zaklęcie. Powietrze rozdarły fałszywe dźwięki, wzmocnione magią:

– Jak do tego doszło, nie wiem...! – zaśpiewał.

Potwór znieruchomiał. Patrzył na Uszkę zdezorientowany. Marysia, pchnięta dodatkową wściekłością wywołaną kretyńskim kawałkiem, szybko wspięła się na głowę maskary i wsadziła jej różdżkę pomiędzy powiekę a gałkę oczną.

– Kij ci w oko!

Wystrzeliła serią eksplodujących kul do środka łba. Potwór wrzasnął

i szarpnął głową: gałka wypadła z oczodołu. Marysia nie wytrzymała – puściła luski i poleciała w dół. W locie żegnała się już z życiem. Spadła do stawu, ale woda była zbyt płytka, więc wyrznęła plecami o dno. Świat zawirował. Nie walczyła o życie, tonęła w obojętności.

Coś szarpnęło ją za ramię. Po chwili Uszko wytargał półprzytomną czarodziejkę na brzeg. Zaczęła kaszleć i pluć wodą.

Tymczasem potwór zawodził żałośnie w agonii. Pochylał się to na jedną, to na drugą stronę. W końcu ryknął przesywająco i w jednej chwili rozpadł się na setki tysięcy ryb. Buchnął odór. Jan nie wytrzymał i zwymiotował. Marysia patrzyła bezradnie na tę groteskę, nagle szepnęła:

– Marcinek.

Chwiejnym krokiem weszła do stawu wypełnionego rybami. Najpierw po kostki, potem po kolana, aż zanurzyła się w żyłkach po piersi. Próbowwała je rozgarniać, ale wysiłek był daremny. Nie miała szans znaleźć w tym stosie dwójki młodych ludzi.

Oddychała z coraz większym trudem, fetor dławił, powodował odruch wymiotny. Nagle poczuła powiew świeżego powietrza.

– Rusz się, Kupagówna! Znajdź ich! – krzyczał Uszko.

Stała na brzegu w zarzyganej koszulce i kręcił różdżką nad głową, gdzie formowała się trąba powietrzna. Porywała zawartość stawu, najpierw pojedyncze żyjątka, potem coraz więcej, aż w końcu nad Uszkiem wirowało rybne tornado. Chwilę potem spod tafli luskowatych ciał przebiła się bariera, roztoczona wokół dwójki młodych ludzi. Odzyskali przytomność, byli w pełni świadomi koszmaru, jaki rozgrywał się wokół nich. Na szczęście zakłęcie ochronne wytrzymało. Czarodziejka zdjęła je i chwyciła młodych za ręce. Brnąc po kolana w rybach wyszli na brzeg. Uszko z wyraźną ulgą przestał machać różdżką i wszystko co przed chwilą unosiło się w powietrzu, spadło na ziemię.

\*\*\*

– ...ta młoda czarodziejka potknęła się, ale przytrzymałem ją i zaniósłem na brzeg – emocjonował się Łukasz-Marcinek. – W szpitalu robili mi i Anecie

wszystkie badania, mieliśmy sesje z psychologiem, chcieli zrobić z nas wariatów, ale pani mi wierzy, pani Marysiu, prawda?

Chłopak niemal spadł z hokera, gdy opisywał bitwę przy stawie. Czarownica kiwała głową i dolewała do Łukaszowego kubka. Poczula się jak ryba w wodzie już od pierwszych dni za barem – wysłuchiwała zwierzeń bywalców, służyła radą i leczyła problemy miksturami zaprawionymi magią. Łukasz-Marcinek już trzeciego dnia zasłużył na miano stałego klienta.

Gdy kończył swą opowieść, przed lokalem Uszko dokręcał ostatnią śrubę trzymającą szylid z nazwą knajpy. *Jak minął dzień?* – głosił wielki, kolorowy napis.

# Litryb

Krzysztof Marciński

Tap... Tap...

Tap... Tap...

Krótkie, napuchnięte stopy z impetem wbijały się w piasek. Fiszer nie miał najlepszego dnia. Słyszał każdy krok. Każde pociągnięcie nosem, sapnięcie, mamrotanie i całą resztę stałego repertuaru zespołu postępującej starości.

Martynka...

Właściwie, jeśli się dobrze zastanowić, w ogóle nie miał najlepszego życia. Był litrybem, co oznaczało średnio udaną krzyżówkę okonia z bohaterem fantastycznym. Stworzył go znudzony grafoman z ostrym kryzysem twórczym. Istniał dla bandy bezdusznych degeneratów, którzy z sobie tylko wiadomych powodów chcieli czytać o cierpieniu i strachu. W dodatku wcisnęli go w horror, dręczyciele bez serca!

Fiszer popuścił wodze fantazji. Mogło być przecież tak pięknie... Tyle ról, tyle ekscytujących możliwości. Cóż im szkodziło dać mu szansę w przygodówce? Albo taki romans... Żyłby sobie jak ten wielki Rybeo i wymachując beztrąsko ogonem, wzdychał do swojej Martynki:

*Martynko, moje serduszko*

*Laskotalbym Cię ogonkiem w ciut przygłuchawe uszko*

*Miział miękką płetewką twe stópki, rączki i brzuszek*

*Ułożył piękną koronę ze złotych świrybich łusek*

*Posmyrałbym cudne policzki mą chłodną, rybią gębusią*

*I śpiewałbym syrenady. I byłoby tak milusio...*

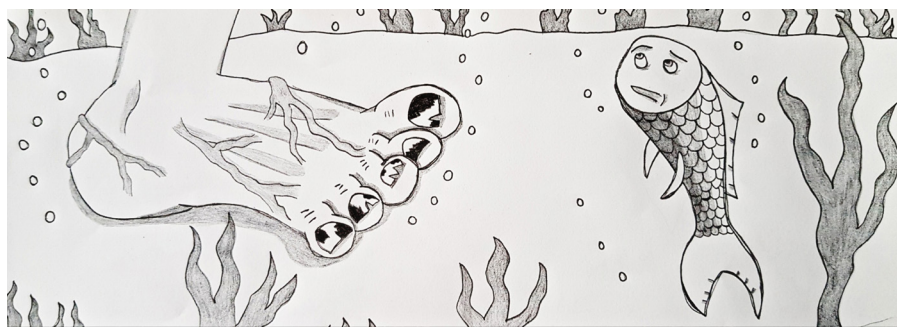
Tap... Tap...

Tap... Tap...

Ciężki marsz oprawcy brutalnie wyrwał go z marzeń. I to by było na tyle, jeśli chodzi o podboje Rybea. Krótkie nóżki, solidny brzuch, tleniony blond ustępujący miejsca siwiźnie. Należało przyznać, że obsadzenie Martynki w roli Julii stanowiło dość brawurową szarżę litrybkiej wyobraźni. Choć i jemu, bądźmy uczciwi, daleko było do wyglądu di Carpio.

No, czas wracać do rzeczywistości.

Doczłapała. Pomarszczone stopy zanurzyły się w stawie, strasząc wielkimi żyłami i ciemnobrązowym lakierem, który nie tak znów dokładnie zakrywał żółć na paznokciach. Martynka stała po kostki w wodzie, zaciągając się zapachem ryb, które jakaś banda barbarzyńców uznała za niezbędne źródło pożywienia. Za chwilę rozstawią stół, podsuną jej nóż i zaczną oprawiać kolejne ofiary dla durnego programu kulinarnego. Jakby nie wystarczył ten rzeźnik Makłowicz.



Fiszer zamarł na myśl o kolejnym rybim prześladowcy. Skąd wiedział o jego istnieniu? Jak słyszał kroki Martynki? Cóż... Był litrybem grafomańskiego pochodzenia, czemu zawdzięczał szereg fantastycznych zdolności, które pozwalały prowadzić jego historię po linii najmniejszego oporu.

– Tato, tato! – Namolny głos rybisyna sprowadził go do reszty na ziemię. Dokładniej pod wodę.

– Tak, Ościku? – odpowiedział Fiszer z entuzjazmem karpia przed Wigilią.

– Dlaczego nie mogę bawić się jak inne okonie? – zapytał markotny rybisyn.

Litryb stłumił irytację i utkwiał wzrok w tych „innych okoniach”, które obecnie z niejaką fascynacją przyglądały się kilku haczykowanym cosiom ciągnącym co odważniejsze ryby ku nieznanym światom.

– Ja też chcę na górę – naburmuszył się Ościk. – Dokąd one płyną?

– Do piekła, rybisy. Do piekła – wyjaśnił obojętnie Fiszer.

– Istnieje piekło dla okoni? – zdziwił się Ościk.

– Tak. Smażalnia ryb – odburknął Fiszer.

– Czy my też... – Rybisy nerwowo przełknął...

...

... przełknął to, co mogą przełykać rybisy. Po co drażnić?

– Nie – odparł Fiszer. – Jesteśmy litrybami. Rzadkim, wyjątkowo ohydny gatunkiem, co w świecie kończynowatych barbarzyńców oznacza rarytas na miarę kulinarnych programów.

*Już nie ma tych dzikich plaż  
Na których smażyłam litryby...*

Umownie melodyjny śpiew Martynki wstrząsnął litrybim grzbietem. Przeciągle sztachnięcie się rybią wonią, kilka niezgrabnych uderzeń nożem o kamień i zaraz pierwsze okonie wyruszą w swą długą drogę na talerz.

– Oho. Rzeźnia Martynki oficjalnie otwarta. Cholerny garkotłuk – sarknął Fiszer. – Za warzywa byś się wzięła! – wrzasnął w myślach\*.

*\* Ryby fantastyczne porozumiewają się za pomocą myśli. Nie jest to może szczególnie kreatywne, ale przynajmniej pozwala urozmaicić tekst dialogami.*

– Przyjdzie po nas? – niepokoił się Ościk.

– Nie. Nigdy nie wchodzi głębiej niż po kostki. Ale bądź spokojny. – Fiszer „rozpromienił się” jak makrela w rybnym. – Ona i pod wodą ma swoją mafię, która z chęcią zapołuje na nas ku chwale konwencji.

– Oprawimy kogucika! – Z oddali wybrzmiał głos rybiego mafioso, niosąc



kłopoty, wyrok i cień złośliwej satysfakcji.

– Chyba rybusia? – zasugerował drugi głos.

– Jeden piesek – uciął pierwszy, dając niemy sygnał do ataku.

– To już – ocenił Fiszer tonem wieszczka zagłady. – Horror czas zacząć.  
Płyń, rybisynu!

– Ale dokąd? – zmieszał się Ościk.

– To horror – pouczył go ojciec. – Tu nie ucieka się dokądś, tylko jak najszybciej i jak najdalej.

– I ile mamy tak płynąć?

– Najwyżej piętnaście tysięcy znaków. Wiej!

Zanurkowali w mętną toń. Płynęli bez kierunku, celu, byle głębiej i dalej w zgodzie z czystą esencją ucieczki: uciekam, więc może jeszcze trochę pobędę – przy dużej dozie szczęścia nawet do sequela. Ościk z trudem utrzymywał tempo ojca. Żaden z nich nie oglądał się za siebie, co wydaje się dość naturalne, zważywszy na fakt, że opowieść dotyczy ryb.

Było coraz ciemniej. Jak daleko znajdował się pościg? Fiszer i Ościk mogli się tego jedynie domyślać. Prując na złamanie grzbietów przez muł, mijali gęstwiny glonów, wodorostów i całej reszty dziadostwa porastającej staw głównie dla potrzeb tej sceny. Skryli się w jednej z gęstw. Czekali.

– Zgubiliśmy ich? – Oczy Ościka błysnęły iskierką nadziei.

– Wątpię – zgasił ją Fiszer. – To horror, rybisynu. Za moment podwodna mafia zjawi się pomiędzy glonami ku uciesze tych żądnych wrażeń gnębicieli.

– Szukać kliencików! – huknął myślą herszt bandy.

– No i są – burknął Fiszer, klnąc w duchu tego, kto wcisnął go w taki gatunek.

– Złapię was... – mamrotał herszt, płynąc dostojnie pomiędzy glonami.

– W tym stawiku to ja wyławiam rybeńki! Wyłażcie, paść przed sumikiem!

– Sumikiem? – zdziwił się rybisyn.

– Sum – wyjaśnił Fiszer. – Władca Stawu, Pan Muliska. I kanalia na usługach Martynki.

– Ale dlaczego to akurat on ma władać stawem? – drążył Ościk.

– Bo ma wąsy – odburknął litryb. – Jest wyżej w hierarchii. Nic nie poradysz. Taki to z niego wąsaty mafioso – zrzędził, wyglądając niespokojnie przez głony.

– No i gdzie nasze rybeńki?! – irytował się Pan Muliska.

– Są problemiki, żeby ich znaleźć, szef! – wyjaśnił anonimowy rybi zakapior.

– Problemiki to dopiero będą, jak te litrybeńki do południa nie zjawią się na deseczce Martynki. Macie ich znaleźć w tej chwiluni. Jaśniutkie?!

Sum nie oczekiwał odpowiedzi. Jedno gromiące spojrzenie i rybia armia rozpierzchnęła się po mulisku, uważnie przeczesując każdy gąszcz wodorostów.

– Zaraz nas znajdą – wyszeptał Ościk.

– Więc siedź cicho i trzęś ogonem, jak na bohatera horroru przystało! – wycedził Fiszer.

– Tato, a dlaczego ten sum tak ciągle zdrabnia? – dociekał rybisyn.

– Bo jest czarnym charakterem i stara się być możliwie wyrazisty. Na swój sposób.

– Uciekniemy? – zapytał rybisyn, obserwując z niepokojem, jak kilka mafijnych krewpłoci przepływa nieopodal ich kryjówek. Nie były duże. Miały za to wstrętne, horrorowate zębiska, model „pirania po ostrej diecie”.

– A skąd! – odparł Fiszer z wrodzonym optymizmem. – Wisi nad nami klątwa konwencji. Jeden z nas musi teraz odpaść.

– To konieczne? – zasmucił się Ościk.

– Tak, rybisynu. Ci czytający barbarzyńcy lubią, kiedy napięcie rośnie. Rozumiesz?

– Nie bardzo – przyznał Ościk.

– I właśnie dlatego to ja jestem tu głównym bohaterem – westchnął litryb.

Coś zaszeleściło. Coś drgnęło. Ościk zatrzepotał ogonem i po chwili zgraja zębatych krewpłoci zebrała się wokół wodorostowej kryjówki rodem z horroru dla ubogich.

– Chyba ich mamy, szef! – oświadczyła triumfalnie bezimienna ryba numer trzydzieści sześć.

– I caluteńkie szczęście, bo za pięć minutek moja cierpliwość dobiegłaby końcunia – wycedził sum.

– Tato, tato. Co teraz? – wiercił się Ościk.

– Już czas, rybisynu – zasepił się Fiszer. – Jeden z nas musi teraz wpaść... Może mógłbyś... – Spojrzał z nadzieją na Ościka.

– Tak? – zapytał rybisyn jak ktoś, kto absolutnie nie mógłby.

– No wiesz... Jesteś już dużym rybem – tłumaczył Fiszer. – Gdybyś tak rzucił się mężnie w wir walki...

– Ale dlaczego ja? – obruszył się rybisyn.

– Chcesz całe życie uciekać? Jak ostatnia płoć? Nie powielaj błędów ojca. Kto będzie pamiętał o tchórzliwym uciekinierze? To twój moment, Ościku. Ruszaj, nim do reszty zrybiejesz. Scena twoja, wszystkie światła na ciebie!

Rybisyn namyślał się przez moment. Później coś zaszeleściło złowrogo.

– Ja chyba nie chcę – zdecydował.

– Posłuchaj, rybisynu. – Fiszer uznał, że nadszedł czas na ROZMOWĘ. Rybia mafia na potrzeby tej chwili zagubiła się w pobliskich glonach. – Nie chciałem ci tego mówić. Miałem nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie, ale...

– Litryb zebrał się w sobie. – Jesteś drugoplanowy.

– To pewne? – Ościk był zdruzgotany.

– Tak. – Fiszer się zmartwił. – Pojawiasz się w środku sceny, narrator nie przybliży twojej sylwetki. Zgodnie z konwencją nadszedł czas, byś odwalił kitę. Właściwie ogon.

Rybia mafia wyplątała się z glonów.

– Ale może wcale tak nie trzeba! – Ościk improwizował rozpaczliwie.

– Może trafia się nam szansa, by rewolucyjnie przełamać konwencję. Tato, pomyśl tylko. Główny bohater pada w środku opowieści, a jego zagubiony syn, targany bólem i chęcią zemsty, wyrusza ku dalszym tysiącom znaków, desperacko walcząc o udźwignięcie nowej roli. Nie piękne?

– Nie, rybisynu. Znam ja takie horrory. Tu wszystko musi iść jak po sznurku. No, zbieraj się, bo czytelnicy stygną.

– Ale tat...

Nagle machnięcie ogonem pchnęło Ościka ku rybiej mafii.

– A gdzie tatunio? – wzburzył się sum, tymczasem płocie ruszyły na rybisyna, migając złowrogo zębiskami, co jednak z uwagi na panujące pod wodą ciemności nie zrobiło odpowiedniego wrażenia. Ościk...

...\*\*

\*\* *Pojmując różnorodność gustów dokładny obraz rzezi rybisyna pozostawiam inwencji czytelniczej wyobraźni.*

## **LITRYB PO JAPOŃSKU W SOSIE HORROROWYM A’LA MARTYNKA**

*POTRZEBNE BĘDĄ:*

- *JEDEN PRZERAŻONY LITRYB*
- *SOK Z CYTRYNY ZABIJAJĄCY CHĘĆ DO ŻYCIA*
- *TRADYCYJNY MIECZ SAMURAJSKI TYPU „ZERO LITOŚCI”*
- *WIADRO NA RYBIE WNEŹTRZNOŚCI*
- *PÓŁ KILO CZYSTEGO SADYZMU*
- *JEDNA BEZDUSZNA KUCHARKA*
- *DWIE ŁYŻKI FRAJDY Z CUDZEGO CIERPIENIA*
- *KILKA TYSIĘCY ZNAKÓW*
- *SZCZYPTA SOLI DO WRZASKÓW.*

Płynął. Pchany przez strach oraz plan wydarzeń brnął coraz dalej przez

mulistą wodę stawu i... na tym właściwie możemy ten fragment zakończyć. Nie ucieknie. Oczywiście, że nie ucieknie. Jaki sens miałyby jego historia, gdyby tak po prostu umknął zagrożeniu? I kogo obszedłby wtedy jako bohater?

Nie ucieknie. Dokąd właściwie miałby? Staw nie oferował sekretnych przejść, dróg ucieczki. Fiszer mógł tylko płynąć przed siebie i liczyć... Nie, na nic nie mógł liczyć. Co najwyżej krążyć po najciemniejszych fragmentach stawu w nikłej nadziei, że dotrwa tak do limitu znaków. Tylko kto chciałby o tym czytać?

Coś trąciło go w ogon. Mafijne krewpłocie? Nie mógł się obrócić, więc przyspieszył jeszcze, desperacko walcząc o zbudowanie napięcia.

– Łapać tchórzliwego kundelka! – irytował się sum. – Martynka czeka na programik!

– Tak, szef! – odpowiedział chór żarłocznych płoci.

Są blisko – pomyślał Fiszer.

Wpadł w mrok. Pruł przez doskonałą ciemność, byle do ostatniej kropki, aż któraś z ryb otarła się obślizgłym brzuchem o jego płetwę. Wróg? Nie wróg?

Zresztą, co za różnica. Jeszcze przyspieszył i zatrzymawszy się nagle, grzmotnął ogonem w rybi dziób. Chyba dziób – w mroku trudno to było jednoznacznie ocenić. Kolejna krewpłoc. I następna. Litryb odpuścił dalszą walkę, odbijając się już tylko od jednej ryby do drugiej. Nie widzą go dobrze. Może zaczną walczyć między sobą?

Zatrzymał się. Wyteżając rybnie gały, usiłował dojrzeć zamęt w szeregach przeciwnika. Kotłowali się. A zatem jest szansa...

– Ileż mam, kurka, czekać?! – irytował się sum. – Dawać mi tu tego delikwencika! Martynka zaraz zaczyna programik! – wykrzyknął.

– Ale w tym mroku nic nie widać, szef! – odparła nieśmiało szeregowa płotka.

– Dosyć tej zabawuni! – zagrzmiął Pan Muliska. – Wołać mi tu węgorzyka!

Fiszer struchlał. W oddali zamigotała kanonada pojedynczych rozbłysków i w końcu elektryczny węgorz ukazał żarłocznym płociom sylwetkę bezradnego litryba. Fiszer ani drgnął. Otoczony rybią mafią, czekał jak na ścięcie, widząc nadpływającego dostojnie Pana Muliska.

– I co, koguciku? – Sum uśmiechnął się pod wąsem. – Cóż za milutkie spotkanko.

– Akurat – burknął litryb.

– Zaraz moje rybeńki wyprowadzą cię ze stawiku, ułożysz się na deseczce i zostaniesz gwiazdką najnowszego programiku. Miłej dróżki. Brać go!

– Kanalia – syknął Fiszer i rzucił się w wir walki.

Wróg otaczał go z każdej strony. Bądź jak Bruce Ryb! – motywował się, wymachując bojowo litrybim ogonem. Jedna krewpłóć, druga, trzecia – Fiszer zatapiał się w walecznym szale, kładąc kolejnych przeciwników pokotem. Wirujący ogon... Grzbiet zagłady... I bach z płetwy w baniak! – napastnicy padali jak ścięci w boju z samotnym rybim *desperado*. Później stała się jasność. Węgorz strzelił serią rozbłysków, a gdy Fiszer spróbował się uchylić, jeden z nich poraził go, wiodąc prosto ku finalnej scenie.

### **„Po kostki w zapachu ryb” – literacka kuchnia Martynki**

#### **Odcinek 53. Litryb po japońsku w sosie horrorowym**

*Witam państwa znad litrybiego stawu, gdzie kręcimy kolejny odcinek naszych kulinarnych zabaw. W dzisiejszym programie przygotujemy sobie litryba po japońsku w sosie horrorowym. W mojej kuchni, o czym doskonale państwo pamiętają, uciekam od hipokryzji i nie zamierzam udawać, że mięso samo trafia do sklepów, a hurtownie ryb i rzeźnie istnieją wyłącznie dla ozdoby. Nie, nie. Kuchnia Martynki stawia na autentyczność. Dlatego dzisiaj opravimy sobie litryba z całą horrorową bezwzględnością.*

Fiszer zaczął się szarpać pod ciężkim łapskiem oprawczyni, jednak jej szorstkie dłonie doskonale neutralizowały jego obślizgłe ciało. Małpizson bezduszny!

*Zacznijmy od skrobania. I tutaj ważna uwaga: szanowni państwo, czym jest horror? Horror to oczywiście czysta, bezsensowna przemoc hoł-*

*dująca najniższym gustom i instynktom, stąd odrzucamy jakiegokolwiek odruchy humanitaryzmu i współczucia. Nie zabijamy litryba, żeby się nie męczył. Z jakiegoś powodu dla każdego smakosza horroru prawdziwym crème de la crème tego gatunku jest powolna, metodyczna bezwzględność, dlatego naszego litryba skrobiemy oczywiście na żywca. Kimże ja jestem, by sprzeciwiać się czytelniczym preferencjom. Nawet takim.*

– Co?! – wrzasnął w myślach litryb, czego jednak nikt nie miał prawa usłyszeć. Później zaczął się szamotać w dziwnej desperacji.

*Sięgamy po nóż. Powinien być duży, raczej tępy i koniecznie ubroczony krwią innych ofiar. Dobrze żebyśmy wybrali nóż stary, może lekko zardzewiały, koniecznie z drewnianym uchwytem dla stworzenia klimatu. Skrobiemy...*

– Aaaaaaaaaaaaaaaaaa!!!

*Nie przejmujemy się szarpaniną naszego litrybka. Oprawiamy powoli, łuska po łusce...*

– Ty o... Aaaaaaaaaaaaaaaaaa!!!

*...czasem może się zdarzyć, że któraś łuska nie chce odpuścić. Wtedy pomagamy sobie ostrym i zdecydowanym pociągnięciem!*

– AAAAAAAAAAAAAA!!!

*Kiedy nasz litryb jest już oskrobany, chlustamy na niego wodą, żeby nam trochę wrócił do życia.*

– Brrrr... Psy... Psychopatka!

*Następnie bierzemy się za wycinanie wnętrzości...*



– N-n-n... Nieceee!!!!

*Nie wżynamy się nożem zbyt gwałtownie. Korzystamy wyłącznie z końcówki ostrza, tnąc milimetr po milimetrze tak, by nasza ofiara mogła w pełni rozkoszować się cierpieniem.*

– Ja ci się, rybka, porozkosz... **AAAAAA!!!**

*Ostatnie cięcie...*

– %@\$#&!

*...i wybieramy litrybie wnętrzości. Ikra... Pęcherzyk... Jelitka...*

– Dobij, żmijo bezduszna!



*...i ości. Wybieramy powoli, dokładnie, żeby nic nam tam w środku nie zostało.*

Zbliżenie na konwulsyjne szarpnięcie ofiary.

*Ponieważ dzisiaj przygotowujemy litryba po japońsku, naszą rybkę zjemy oczywiście surową, jak na barbarzyńców przystało. Oczyszczone rybnie mięso doprawiamy garścią soli...*

Zbliżenie na rybnie męki.

*...sokiem z cytryny.*

– GMHMZMBMZMHMZ...

*Na koniec bierzemy katanę i ucinamy naszemu litrybowi łeb. Smacznego!*

# Jebany chlorek magnezu

Paulina Klimentowska

Radek Puchała

– Ruda, jesteś zdziurą, wiesz? Wiesz, przecież oddajesz się za kawałek zdechłej ryby. Czasem wyglądasz, jakbyś miała w tym przyjemność. Ale nie masz.

Znowu to samo. Dzień w dzień. Jebany smród i jeszcze ta łysa kurwa non-stop napierdala. Gęba jej się nie zamyka.

– Nie możesz mieć. Przyjemności umarły ze starym światem.

– Stul w końcu pysk! – uciszam ją. Teraz pewnie zrobi tę swoją smutną minkę, jak to jest jej źle. Tak, kurwa, jest źle. Stoimy po kolana w szlamie, patroszymy flaki, i obciążamy kutasy strażnikom. – Takie jest teraz życie, Łysa! Nie rycz!

Łysa ryczy. Kurwa mać. Jak dziecko.

– Przeszkadza ci, że mówię? – chlipie. – Powinnaś się cieszyć, ludzi nie ma już wielu. Wkrótce możesz zostać sama. Wtedy będziesz narzekać na pierdoloną ciszę. Nie pamiętasz, jak było, zanim cię znaleźli?

Przylazł Długi. Pogania nas, że za wolno. I że Świder znowu będzie zły. Chuj mu w dupę. A czy on kiedyś był dobry? Długi tak samo. Raz się wdzięczy, raz straszy, raz przymila. Jakby miał dwubiegunówkę. Łysa twierdzi, że w poprzednim świecie był księdzem i dlatego każe sobie tak często obciążać. Choroba zawodowa. Dzisiaj na szczęście upatrzył sobie Łysą. Wsadził jej chuja do gęby, to przestała na chwilę gadać. Tyle dobrego. Czasem mi jej szkoda. Fajną ma dupę. I cycki. Za fajne dla takich meneli. Ale co tam. Życie trzeba, więc i jeść trzeba. Byleby nas stąd nie wypierdolili.

– Ciekawe, ile jeszcze takich jezior zostało? – zastanawiam się głośno.

– Dwa, może trzy, a potem skończą się nawet zgniłe ryby – mówi Długi, podciągając gacie.

– Dobrze, że przynajmniej gorąc nakurwia, bo wyłazi sól i france psują się wolniej.

Łysa pluje, ale tak, by Długi nie widział. Dla niepoznaki coś tam pod nosem pierdoli, że to nie sól. Znaczy sól, ale inna. To zdecyduj się w końcu, głupia cipo! Mówi, że chlorek potasu i magnezu, i że uwodniony. A jaki, kurwa, ma być, skoro w wodzie stał? Suka była kiedyś nauczycielką. Teraz międli, że można się po nim zrygać. Chuja tam zrygać, jak się przepłucze, to nawet nie czuć goryczki.

Świder ma resztki platformy wiertniczej, wrak chińskiego masowca i stado popychadeł. Nas, znaczy się. Roi sobie, że jest kapitanem. Masowiec leży na boku, z pokładami niemal w pionie, przez co właściwie jest bezużyteczny, bo ciężko po nich chodzić. Ale chuj, Świder jest kapitanem, więc musi mieszkać w kapitańskiej kajucie. Nawet w takiej z podłogą na skos. Kazał wyciąć dziurę w kadłubie i śpi w środku. W nocy jest tam nawet znośnie, przynajmniej nie marzniemy. Znaczy się Świder nie marznie, bo my zapierdalały wtedy po kolana w rybim gównie. No, chyba że go najdzie chętka, to pozwala nam ogrzać się w blasku kapitańskiej chwały. Ale to tylko w nocy, bo w dzień z gorąca idzie się tam zesrać.

Długi, gdy jest z nami sam i nikt inny nie słucha, pierdoli, że Świder to pedał. Nieprawda. Za bardzo go jara, gdy Łysa mu ssie. To pewnie przez tę jej aniołkowatą buźkę. Wygląda jak dzieciak po chemii i to Świdra kręci. Żaden z niego pedał, zwykły jebaka, co lubi też przyjać.

Na południu, przy dawnym wybrzeżu, sterczy farma wiatrowa. Strach tam łązić, wszystko skrzypi, wygina się, cztery wiatraki leżą połamane. Pewnie to Diesle je rozpierzdziły na złość Elektropurystom, albo Antyneciarze, albo zwyczajnie padły ze starości. Ale jeden wciąż się jeszcze kręci. Świder spoziera na niego codziennie z mostka. Tak, na mostek też kazał sobie wyciąć drzwi. Chuj, że mostek leży w poprzek, do tego przy samej ziemi, a szyby ubabrane są plackami szarej brei i nic nie widać. Kapitan musi być na mostku, więc przez te kilka minut, zanim słońce wzejdzie, Świder siedzi tam z lornetką i patrzy na pierdolony wiatrak. To musi się źle skończyć.

Wszędzie jest biało jak w zimie. Tylko tu, gdzie stoimy, chlupocze szara

breja jebiąca rybą i siarą, ale na słońcu zamienia się w sześciokąty. Coś jak betonowe płyty chodnikowe, tylko białe. Śpimy w dzień, w norach, bo stal się grzeje jak wściekła, drewna nie ma, a kontenery też są z blachy. Pozostaje tylko wykopać w ziemi zasrane solne igloo.

Kopimy po nocach, w świetle Księżyca. Łysej dali szpadel, jebaniutka, macha nim aż miło. Skąd to chuchro ma tyle siły? Czasami kuca albo się wypina, spodnie jej się odchylają i widać kawalek dupy. Gapię się wtedy na nią prawie jak Długi. Pojebana jestem, wiem. Odpierdala mi już od tych ryb.

Łysa kopie, ja szufluję, a potem pakuję ten syf do wiadra. Nasza nora staje się coraz głębsza. Poprzednia się osypała. Dobrze, że nie było nas w środku.

– Kop, Łysa, kop. Uwijemy sobie tam gniazdko. Może nawet cię raz przytulę.

– Chciałabyś się popieścić? Najpierw zmyj z siebie smród spermy.

– Jaka wrażliwa się zrobiła. Nie wkurwiał mnie, francuski piesku.

– Ruda, ty zawsze się wkurwiasz. Tak już masz i się nie zmienisz. Nie byłabyś sobą bez permanentnego wkurwienia na wszystkich i na wszystko.

– Nerwowa jestem. Stary mnie lał w dzieciństwie i mi tak zostało... No co się tak patrzysz? Żartowałam, kurwa.

Łysa wzrusza ramionami i mocniej chwyta szpadel. Chyba też się wkurwiła. Zawsze wtedy przestaje gadać na chwilę, a potem strzela jakąś ripostę. Jakby długo musiała nad nią myśleć.

– Tylko nie francuski, okej? Dość mam francuzów.

– Daj mi to, suko. Teraz ja trochę ponapierdalałam.

Czasem za bardzo po niej jadę. Głupio mi się robi wtedy, ale cóż, też jestem suką. Takie czasy. Miłych dziewczynek już nie ma, od dawna gryzą piach.

– Łap. – Łysa rzuca mi szpadel. – I rób z nim, co chcesz.

Szpadel wchodzi jak w maselko, potem jest gorzej, bo strasznie się ta breja klei. Ale skoro Łysa nie narzekała, to ja też nie będę.

– Coś tu jest, słyszysz? Brzęczy. Metalowe chyba. Duże. Chodź z tą szuflką, pomożesz mi odgrzebać.

– Nie pomoże ci! – wtrąca się Długi. Skąd on się tu nagle znalazł? Chuj

zawsze podchodzi cichaczem, jakby w tym seminarium szkolili go na domokrążcę. – Łysa, idziesz do Świdra. Wzywa cię.

Mała ździra trochę się ociąga, ale w końcu idzie jak na ścięcie. Chyba załuje tego zdania o smrodzie, powiedziała to w złą godzinę. Długi dla odmiany zostaje ze mną. Jakby wyczuł, że coś się święci. Zawsze czuje.

– Pokaż, co tam znalazłaś, córuś. – Klepie mnie w dupę i każe się odsunąć. Zawsze tak robi. Czasem jeszcze doda jak bardzo go kręci gruby sralnik. Chuj jeden.

Z brei wyciągamy beczkę. Standardowy rozmiar, dwieście litrów. Mój stary w takich olej silnikowy kupował, jak miał jeszcze warsztat. Dawno, zanim Puryści mu go nie rozjebali. Barylka jest trochę przerdzewiała i ma jakieś napisy na wieku, ale po ciemku i przez rdzę trudno je rozczytać.

Długi strasznie się nią jara. Zaraz przybiega reszta i kopią dalej. Znajdują jeszcze pięć takich. W końcu przychodzi sam Świder. Każe zanieść beczki do wraku. Pierdoli coś o skarbie i że to jego zdobyczne. Długi, wciąż mocno podjarany, nagle się orientuje, że chuja zobaczy, a nie beczkę.

– Spierdalaj – warczy do Świdra. – To ja znalazłem, są moje.

Kurwa. On? To my z Łysą kopaliśmy tu przez pół nocy. To nasza nora i nasze beczki, pewnie z czymś lepszym niż pierdolone, zgniłe ryby. Rum może albo wino, kiedyś znaleźli stuletnie i wciąż było zajebiste.

– Chuja, nie twoje. Kapitana. Takie jest prawo morskie. Jak będziesz grzeczny, to kapitan się z tobą podzieli. Może. Albo wypierdoli cię na pustynię. – Świder się puszy, jak to on. Jakby sam je tu schował na czarną godzinę. Długi próbuje jeszcze się stawiać, szuka sojuszników, patrzy w moim kierunku. Świder też patrzy, zupełnie jak wtedy, gdy mnie znalazł z gębą unurzaną w gównie.

– Ruda, powiedz mu, kto tu zakopał te beczki? – cedzi.

– Twoja stara.

– Widzisz, Długi? Ruda wie, co mówi. Nie dość, że zdobyczne, to jeszcze spadek. A teraz wnieście te beczki na mój okręt. I nie otwierać ich przypadkiem, chuje niemyte.

Idę szukać Łysej, niech też wie, co ją ominęło. Widzę, że siedzi na górcie

piachu i gapi się w Księżyc jak jebany wilkołak. Nie pierdoli, ale pewnie nie ma do kogo. Podchodzę bliżej. Nawet mnie nie zauważa, chyba się maże, jakby to mogło coś zmienić. Bywa, że jeden kutas przelewa czarę goryczy. Chuj, powiem jej o tych beczkach jutro.

Robi się jasno, więc kładziemy się spać. Łysa zamknęła oczy, ale jeszcze pierdoli. Jakby chciała wyrzygać te wszystkie słowa razem z połkniętą spermą. Tym razem martwi się o Kingę. Kinga jest jedynym, który nie każe sobie obciągać. Artysta. Kiedyś grał na perkusji. Nawet teraz, jak się zapomni, napierdala prętami w kratownicę i śpiewa „We will rock you”. Łysą to wzrusza. Teraz jednak nie wzrusza, a martwi. Kinga się wygadał, że był akustykiem w zespole i trochę zna się na elektryce. Świder kazał mu ciągnąć kabel od wiatraka i podłączyć sobie prąd do kajuty. Kingi nie ma już drugi dzień.

\*\*\*

Nowa nora jest tak samo zjebana jak stara, wali świeżością – siara, sól i muł. Czuję się jak pierdolony małż.

– Łysa, śpisz?

Łysa, zamiast odpowiedzieć, kręci głową i siada. Dziwnie się zachowuje od wczoraj. Na przemian milczy i pierdoli słowotokiem, jakby chciała nadrobić te chwile ciszy. To jej milczenie jest jeszcze bardziej wkurwiające niż gadanie.

– Łysa, Świder zajebał nasze beczki. Nie ciekawi cię, co w nich było? Może żarcie? Pierdolona kapucha albo ogóry, albo dwieście litrów sikacza po terminie. Najebałabym się takim.

Łysa nagle się spina. Marszczy ciemne brwi, jedyny ślad tego, że kiedyś była brunetką.

– Jakie beczki? – pyta.

– No te, cośmy wykopali. Jedna tkwiła tam, gdzie leżysz. Długi pomógł wyciągać.

– Gdzie one są?

– Mówię przecież, że Świder zabrał. Czy ty mnie w ogóle słuchasz, cipo?

We wraku trzyma, koło maszynowni.

Łysa zrywa się na równe nogi.

– Przecież tam jest gorąco – mówi tak przejęta, jakby gdziekolwiek indziej było chłodno. – Nie sądzę, żeby było w nich jedzenie, prędzej ropa. A stal się nagrzewa. Idziemy – rzuca.

Noc dopiero się zaczyna, panuje jeszcze lekki półmrok, tylko ten jebany chlorek magnezu wali po oczach jak śnieg. Na szczęście jest pusto. Przemykamy do masowca dyskretnie, tak jak zwykle, to pewnie jakiś odruch ze starego życia każe nam się wstydzić kurewstwa.

Masowiec, oprócz tego, że leży na boku, jest też przełamany wpół. Przez pęknięcie najłatwiej do niego wleźć. Trochę musimy się powspinać. Puszczam Łysą przodem. Tak, wiem. Jestem pojebana. Lubię gapić się na jej dupę. Za to nie lubię się gapić, jak obciąga. Może miękne, ale na ten widok trochę trafia mnie szlag. Była w końcu jebaną nauczycielką, użerała się z bachorami. Zasługuje na więcej. Jakaś namiastkę szacunku.

Łysa wskakuje na górny pokład, zręcznie i cicho. W tym samym momencie słyszę głos Długiego:

– A panienka czego tu szuka?

– Nic ci do tego. – Łysa nie pierdoli się w tańcu.

Długi spogląda w dół, mnie też już widzi.

– Przyszłyście po żarcie z beczek. Chuja dostaniecie. – Uśmiecha się obłeśnie, jakby niechcący ogarnął drugie znaczenie swoich słów.

– Było w nich żarcie? – dopytuje się Łysa.

Jest w jej tonie głosu coś, co sprawia, że uśmiech na mordzie Długiego zastyga.

– Nie twój zaszany interes.

– Otworzyliście je?

Naprawdę jest wkurwiona. O chuj chodzi? Taka głodna? Aż sama zastygam w napięciu.

– Pierdoleni złodzieje. – Z mroku dochodzi kolejny głos. Świder. Pilnuje skarbu jak pies budy. – Mówiłem, że to moje, czego nie zrozumieliście? Wypierdalać stąd, wszyscy.

– W takich beczkach wozili paliwo, ropę... – Łysa rozpaczliwie piszczy.  
– Zajebicie, będziecie ją chlać, jak tu jeszcze raz wleziecie.  
– ...opary przy tym gorącu wytworzą ciśnienie, beczki są skorodowane, a teraz dostały jeszcze tlen. To wybuchnie, debile!

Pierwszy raz widzę Łysą w takim stanie. Jakby właśnie wydarła się na bandę niedorozwiniętych gówniarzy. Świdra chyba to jara.

– Pokażcie te beczki. – Łysa nalega, ale to już dla Świdra za wiele. Nie łyknie ściemy.

– Wypierdalać – syczy. Wie, że każdy ma chrapkę na to żarcie.

Nauczyłam się już rozpoznawać, kiedy ten zjeb nie żartuje. To jest właśnie ten moment. Zeskakuję, łapię Łysą za fraki i ciągnę do wyjścia.

Reszta nocy mija jak zwykle, w smrodzie ryb.

\*\*\*

Łysa ryczy. Długi przyszedł z podkulonym ogonem. Przyniósł wieści. Nie wiem, czy bardziej żałuje kumpla, czy sra w gacie ze strachu, bo Świder kazał mu przytargać zwłoki. To już trzeci. Giętkiego zajebali Ruscy z Kaliningradu, a Myszę zassało. Nie wiadomo do tej pory czy to słońce go spaliło, czy utonął. Był jeszcze Mały, ale ten się nie liczy, bo umarł zwyczajnie, z odwodnienia. No i teraz Kinga – trzydzieści trzy tysiące volt.

– Łysa, nie rycz! Wszystkich nas to czeka. Mówiłam ci, nie przyzwyczajaj się.

Łysa nie słucha. Płakała nawet po Giętkim, któremu musiała ssać. Romantyczka.

– Długi, a ty co taki wydygany? Nieboszczyka się boisz?

– Nie dotknę go. On ciągle trzyma ten kabel.

– Świder wie?

– Wie. Kazał mi założyć gumowe rękawice. Mści się za te beczki.

Świder kolekcjonuje trupy. Nasze czy obce, bez różnicy. Wrzucają je do ługu solnego, żeby się nie psuły. Nikt tego nie mówi głośno, ale wiadomo. Zgniłe ryby kiedyś się skończą.





Nie chcę słuchać o trupach, ani co z nimi robi ten świr. Długi ze swoim boidupizmem też mnie mierzi. Przynoszę ostatnie wiadro oczyszczonego rybiego gówna i wlewam do baniaka, do reszty pulpy. Fajrant.

– Chodź Łysa, będzie tego na dziś.

Długi coś jeszcze jęczy, ale niech spierdala. Łysa idzie za mną, nic nie mówi. Pociąga nosem. Chyba z powodu Kingi. Obejmuję ją jakoś tak odruchowo.

– Spoko, Łysa. Wiem, że ci źle. Mnie też świat wkurwia.

Nie odpowiada, ale też nie ucieka. Po chwili przytula się mocniej.

– Tylko mi się tu do szczętu nie rozklej, mała dziwko.

Łądujemy w naszej norze, jak zwierzęta, jak co dzień. Łysa nie chce się odkleić. Nie wiem, co mi odpierdala, ale pozwalam jej położyć się obok. Chuj, jeden raz, co mi tam. Żeby tylko, kurwa, nie chrapała.

– Ruda... – odzywa się w końcu. Myślałam, że już zasnęła. – Dziękuję.

– Nie pierdol.

– Kiedyś musiałaś być naprawdę miłą babką.

Miłą babką? O ja jebię. Nie pamiętam, kiedy ktoś mnie tak nazwał.

– Rude kurwy z grubą dupą nie bywają miłymi babkami.

Przez chwilę milczy. Znów pewnie obmyśla ripostę.

– Lubię twoją dupę – mówi w końcu.

– Ja twoją też, Łysa. Czasem jak na ciebie patrzę, to czuję się jak lesba.

Łysa chichocze. Nie tak kurewsko-histerycznie jak zazwyczaj, ale jakoś inaczej. Jak pierdolona dziewica, której chłopak włożył rękę w majtki.

Nagle poważnie i pyta, tak całkiem poważnie:

– Chcesz dotknąć?

Serio? Ja pierdołę. Nie wierzę, że to powiedziała. Pizda robi mi się mokra.

Kurwa, czy chcę? Wyobrażam sobie, że wkładam palce w tę jej wąską szparkę. Mokrą tak samo jak moja. Nie wiem, czy chcę. Łysa patrzy mi w oczy, zamiata tymi swoimi rzęsami i pyta raz jeszcze.

– Chcesz, żebym to ja dotknęła ciebie...?

– Łysa, ja pierdołę. Czy ty musisz być taka świętoszkowata? Jak chcesz się pieprzyć, to po prostu to zrób!

– Nie chcę być taka jak oni. Ty też taka nie jesteś. Chcę mimo wszystko znaleźć odrobinę wspólnej przyjemności w tym pojebanym świecie.

No to grubo. Choć w sumie, myślę... a co mi tam.

– Tak, Łysa. Chcę dotknąć. Chodź.

\*\*\*

Śpię. Śnią mi się wodospady. Najpierw Niagara na National Geographic, jakiś retro film z głosem tej kurwy... jak jej tam było... nieważne, potem jebany Kamieńczyk i drugi, góralski, Sikława chyba. A potem czuję, że zeszczałam się w gacie. Kurwa mać. Otwieram oczy, rzeczywiście, wszystko mokre. Łysa też mokra, śpi w najlepsze, a wody w norze coraz więcej. Igloo się roztapia. Na białym suficie wyrastają szare sople plujące wodą, jakby przyszła odwilż.

– Łysa, spierdałamy! – drę się. – Łysa, kurwa, wstawaj, deszcz!

Łysa otwiera oczy, ale i tak jest ślepa jak kret. Ciągnę ją za fraki na zewnątrz.

– Puść mnie – kwiczy.

– Jeszcze mi będziesz za to dziękować, lachociągu.

Białe sześciokąty zmieniają się w wielkie bajoro. Woda podnosi się w oczach, leci z nieba, spływa potokami ze wszystkich stron. To pierwszy deszcz od trzech miesięcy. Najchętniej bym się rozebrała i czekała, aż spłucze ze mnie ten cały syf, całe kurewstwo, moje i Łysej. Ale nie mogę, bo w wodzie jest jebany tryt. Spierdalamy do wraku, do maszynowni, tam, gdzie najwyżej i gdzie szczelny dach.

Siedzimy razem bez słowa, cała piętnastka, dwie cipy i trzynaście chujów. Słuchamy jak krople deszczu uderzają o stal. Zabójcze krople. Świder siedzi na obrotowym fotelu. Tak, kazał go wymontować z mostka, z miejsca dla pierwszego oficera, i wstawić do swego skarbcza.

– Kapitan jest jak ojciec, jak pasterz, musi dbać o swą trzodę – mówi do nas. Chuj, mógł nas nazwać baranami wprost. – Za dwanaście lat ilość trytu zmniejszy się o połowę – przemawia uniesionym głosem niczym pierdolony kaznodzieja. – Za kolejne dwanaście lat zostanie go tylko ćwierć. Za trzydzieści sześć połowa ćwierci. I wtedy oceany odżyją! Pamiętam. Tak mówił w orędziu prezydent, zanim spierdolił. Myślicie, że ten miękki kutas zostawił was samych sobie? I dobrze myślicie, ale nie lękajcie się, kurwa. Macie przecież mnie. Wytrwamy! Każdego dnia budzę się i odliczam. Został o jeden dzień mniej. Jeszcze niecałe trzydzieści pięć lat, a potem znów będziemy jedli żywe ryby.

O ja jebię. Ten kretyn został hersztem bandy? Czemu oni go w ogóle słuchają? Przewracam oczami, rzygać mi się chce od tych kłoców, które wypływa ustami. W końcu chyba już wiem. On naprawdę wierzy w to, co mówi. Serio. Jako jedyny, bo my nie wierzymy już w nic. Jest w tym, jakby to Łysa nazwała, jakiś naiwny urok. Chuj, że ryb starczy na kilka miesięcy, a wody może na rok, ale przetrwamy trzydzieści pięć lat. Jakim, kurwa, cudem?

Deszczu już nie słyszeć. Chyba się przejaśnia, choć w maszynowni jest jeszcze ciemno jak w dupie.

– Długo będziemy tu siedzieć? – pyta Wodnik. Nosi go. Pewnie się boi, by mu kto wody nie podjebał z tej jego studzienki. Nie bój, nie bój, marynarzu,

wody mamy teraz w chuj. Do tego świeci.

– Jak chcesz, to idź. Obczaj czy już bezpiecznie i powiedz.

Wodnik coś nieruchliwy. Widać dyga się tego kurewskiego trytu, jak my wszyscy. Nie wiadomo, kiedy ten syf wsiąknie w ziemię albo się ulotni.

– Pierdoleni fanatycy – wypłuwa z siebie to, co w nim wzbierało od dawna. – Mało im było, że woda spierdalała w kosmos, to musieli nas na koniec potruć.

– Nie woda, tylko wodór, tumanie – dogaduje mu Długi. Jego też to siedzenie w puszcze drażni.

– Jeden chuj. To przez takich jak ty spierdala. Jakbyście jej nie rozszczepiali, to by nie spierdalała. – Tak. Wodnik musiał kochać swoich starych, jebanych Denialistów. Kim trzeba być, żeby wydziarać dziecku silnik diesla?

– Jakbyście nie hajcowali tyle, to by nie trzeba było rozszczepiać, ani by potem nie zakwitła.

– A utylizację sinic trytem to kto wymyślił?

– Spokój, kurwa – interweniuje Świder. – Zasada numer jeden na pokładzie. Żadnych dyskusji o przeszłości. Żadnych pierdolonych Diesli ani Purystów, ani chuj wie kogo. A jak komu się nie podoba, to wypierdalać.

Chyba pomogło. Na chwilę. Pewnie do południa, dopóki słońce nie zacznie smalić i któryś znowu nie pęknie.

Pęka Długi. Od samego początku zerka uporczywie za plecy Świdra i dopiero teraz wiem dlaczego.

– Żremy cały czas ten rybi gnój, a kapitan trzyma beczułki na deser?

Świder patrzy na nas, coś rozważa. Jemu też chyba się już nudzi.

– Dobra, jedną możemy napocząć – oznajmia.

Łysa zrywa się na równe nogi, gdy któryś zapiera się i zaczyna turlać beczkę pod górę, z najciemniejszego kąta maszynowni.

– Ochujeliście? To może wybuchnąć – krzyczy.

Trzynaście gardeł rechocze. Pierdola coś o babskim strachu i onanizują się swoją samczą zajebistością. Łysa próbuje ich przekonać, ale tylko cisną z niej bekę.

– Pojebało cię Łysa, za dużo spermy. Będziesz musiała iść na odwyk!

Znowu rzą. Ja pierdołę, czy naprawdę wystarczy kilka lat, by się tak uwstecznic? Wodnik znalazł gdzieś kawał blachy i będą siłować się z wiekiem. Przeturlali jeszcze kawalek, koło dziury po bulaju, bo tam jaśniej.

– Kurwa, to woda! – drze się któryś radośnie. – Tu jest napisane Pinakol, dalej zamazane, i coś jeszcze o etylowym, po niemiecku chyba!

– Pokaż! – Świder musi ocenić sam, eksperckim okiem. – Rzeczywiście. Mamy beczkę jebanej pinakolady!

Chcą podważyć wieko, ale trzyma mocno, jakby ktoś je podwójnie uszczelnił. Debile, to się nie otwiera od góry.

– I jeszcze Soman? Somen? – doczytuje Długi. Kolejny magister lingwista. – Tak jak te chińskie kluski. Żarłem za dzieciaka w wietnamskiej budzie.

– Będzie woda i zagrycha, ja pierdołę.

Łysa blednie. Próbuje coś krzyczeć, tłumaczyć, że to jakiś sarin pinakolinowy czy inne gówno i żeby nie otwierali, ale mają ją w dupie. Podjarani tańczą wokół pieprzonej beczki w zbiorowym orgazmie. Nie mogę na nich patrzeć.

Łysa dotyka mnie i prosi tym swoim rozpaczliwym głosem:

– Ruda, uciekajmy.

Głodna jestem, ale jakieś resztki babskiej solidarności nakazują mi nie zostawiać jej samej. Chwytam ją za rękę i obie z godnością spierdalamy. Długi dziwnie na nas patrzy, jakby się zawahał. Zawsze przecież czuje pismo nosem, ale męska duma mu nie pozwala iść za nami.

– Łysa, a co z trytem?

– Nie zabije nas. Trzy litry czystej wody dziennie i po tygodniu cały wypłuczesz. Nic ci nie będzie, najwyżej stracisz trochę włosów.

– Trzy litry? Wodnik wydziela mi tylko po zero siedem.

– Za dwadzieścia minut nikt nie będzie ci już nic wydzielał.

Stoimy w radioaktywnym błocie jak te dwie pizdy, chmury się rozeszły, słońce znów napierdala skwarem. A tam w środku jest cień i bibka. Chuje pewnie już odszpuntowały beczkę i chleją. Nie zostawią nam nic. Łysa, czy ty zawsze musisz być taką histeryczką? Wtedy słyszę coś, jakby prosiak się dusił. Ni to krzyk, ni kwik. I znowu. Powtarza się kilka razy. Ktoś się krztusi,

ktos charczy, ktos kaszle, jakby wypluwali pluca. Potem wszystko zamiera.

– Ja pierdolę, Łysa, co tam było? Łysa, ratujmy ich!

Potrząsa głową i mówi powoli:

– Jeśli było tam to, co myślę, to już im nic nie pomoże. I lepiej tam nie wchodzić.

\*\*\*

Przez następne dni omijamy wrak szerokim łukiem. Łysa mówi, że resztki tego jebanego syfu zostaną tam na długo. W końcu mamy wodę, całą, tylko dla siebie. Co prawda leci cieniutką strużką, ale chuj, mamy czas. Odnajdujemy z Łysą plastikowy baniak, przecinamy na pół i robimy wannę, a potem czekamy długo aż się napełni. Wody jest tylko na dnię, ale i tak moczymy się w niej całą noc.

Łysa obiecuje sobie, że już nigdy nie weźmie chuja do ust. Nigdy. Mnie też tym przez chwilę kusi, ale chyba lepiej znam życie. Jestem rudą kurwą, mogę wyrzec się kurewstwa, ale kurewstwo nigdy nie wyrzeknie się mnie. Taka karma.

Czysta woda powszedniej po kilku dniach, a zreć trzeba. Chcąc nie chcąc wracamy do pierdolonych ryb. Deszcz roztopił ten jebany chlorek magnezu i teraz śmierdzą jeszcze bardziej. Łysa każe je dłużej płukać. Słucham jej, bo jednak jest zajebiście mądra. Gdyby nie ona, polazłabym chlać sarin, soman czy inny onan. Uratowała mi, kurwa, życie. Tak, wylizalam jej za to brochę, nawet dwa razy. Inaczej nie umiem się odwdzięczać. Łysa zresztą też mi wylizala, choć nie wiem za co. Chyba za dobre słowo albo w ogóle za frajer, jak to ona.

Teraz stoi po kolana w brei, a gęba jej się cieszy. Widać z daleka, bo noc jasna jak skurwysyn. Łysa unosi ręce i zaczyna tańczyć, a potem wyje do Księżyca: *We will, kurwa, rock you*. Tam, w starym świecie, widzę ją na scenie, z Kingą za plecami, drącą się przed pogującym tłumem.

Zaskakują nas. Pojawiają się tuż przed świtem, wtedy, kiedy jest najchłodniej. Elektryczny quad podjeżdża niemal bezgłośnie. Jest ich dwóch, jeden za kierownicą, drugi z karabinem – dwójnog pieczenię oparł na ma-

sce. Quad wyhamowuje gwałtownie, rozchlapując wokół rybi gnój. Wycieram gębę i gapię się na nich. Przecież wiedziałam, że tak to się skończy. Nawet nie jestem zbyt rozczarowana.

– *Smotri, Sasza, kto tut* – zagaja kierowca. Mówi wolno, artykułuje każde słowo, podkreśla. Jak uczeń na konkursie recytatorskim.

Sasza nie odpowiada. Ma w spojrzeniu tę kurewską pustkę, którą łatwo pomylić z obojętnością. Ale on nie jest obojętny. Czuję to. Wiem, że świerzbią go ręce.

– *Ubić ili nie ubić? Wot w czjom wopros!* – recytuje poeta. Jebany Szekspir.

– *Ubić* – odpowiada Sasza.

– *Nie nada spieszyć. Posmotri, kakaja krasiwaja, ryżaja djewoczka. Żal ubić.*

Mierzy mnie takim wzrokiem, jak nieboszczyk Świder na chwilę przed wyjęciem chuja. Jakby popadł, kurwa, w melancholię.

– Czego chcecie? – pytam, nawet nie siląc się na udawanie, że potrafię po rusku.

– *Szto my choczim?*

Spogląda na Łysą, potem znowu na mnie. Pyta w końcu, łamanym polsko-ruskim, co potrafimy, bo nie wie, czyśmy więcej warte niż zarcie, które zjemy. Już otwieram usta, by podarować mu jakąś soczystą kurwę albo radę, by wypierdalał, gdy słyszę chrupnięcie metalu poprzedzone delikatnym sykkiem. Ja jebię. Czuję to od razu. Najcudowniejszy zapach, jaki znam.

– Potrafię wszystko – mówię bez wahania. Sprzedaję mu tę samą śpiewkę, którą wcześniej sprzedałam Świdrowi. – Obciążać też. I się nie opierdalam.

Ruski lustruje mnie raz jeszcze, mruży oczy. Jest pragmatykiem. Po co gwałcić i narażać się na kosę w brzuch, jak można mieć po dobroci, codziennie, za pół pierdolonej konserwy. Puszki pasztetu, takiej samej, jaką na moich oczach wpieprza właśnie niemrawy Sasza.

– A ona? – wskazuje na Łysą.

Łysa nie odpowiada. Widzę w jej oczach cholerne rozczarowanie i smutek, i coś jeszcze. Kurewsko naiwny upór i determinację. Grzeczna, wrażliwa Łysa najchętniej wyjebałaby na nich drugą beczkę somanu. Ale to na nic.



Przyjdą następni. Szkoda mi jej. Naprawdę jej mi szkoda.

– Ona obciążać nie potrafi – mówię za nią i ładuję się na tylne siedzenie.

– Spierdalajmy stąd.

Poeta spogląda na nasze nory, na resztki platformy, na przechylony masowiec.

– *A tam szto?* – pyta, wskazując wrak.

Przemyka mi przez łeb, by posłać go tam w pizdu. Widzę, że Łysa też o tym myśli, ale ten pasztet pachnie jak obietnica dachu nad głową, normalnego, albo magazynu z wojskowym żarciem. Dawałam dupy za dużo mniej.

– Trzynaście trupów i flaki przegniłych ryb. Nie chcesz tam iść.

Znam się na ludziach. Szekspir też się zna. Zerka na wznoszące się coraz szybciej słońce, wskakuje za kierownicę i rusza na wschód. Oglądam się jeszcze za siebie. Łysa wciąż tam jest. Już nie ryczy ani nie napierdala non stop. Nie narzeka nawet na jebaną ciszę. Stoi tylko, sama jak palec, po kostki w zapachu ryb.



# Wieczna służba

Aleksandra Bednarska

Mówią, że kiedy południowy wiatr smaga ścianę Wielkiego Muru Chińskiego w Badaling, słychać płacz wszystkich, których pod nim pochowano. Mun jednak ich nie słyszał. Słyszał za to syczenie wstrząśniętych w plecakach puszek z piwem i przyciszone głosy pozostałych uczestników nocnej wycieczki. Siedząc w kółku, opowiadali sobie mało straszne historie o duchach, zupełnie jakby byli przedszkolną grupą, która nazwę „Muchomorki” zmieniła za zgodą wychowawczynie na „Zombiaczki”. Gdy zapadł zmrok, podawali sobie z rąk do rąk latarkę, by uwaga słuchaczy skupiała się na tym, kto mówił.

Mun zniósł cierpliwie opowieść o szaszłykach ze szczurów i ludziny serwowanych na ulicach Pekinu. Przeżył też jakoś, choć zgrzytnęły mu parę razy zęby, historię handlarzy narządów, którzy szmuglowali żywy towar przez pustynię Gobi. Pochodził z Mongolii i tego typu pomówienia brał trochę zbyt osobiście. Cierpliwość mu się skończyła, gdy oprócz wygazowanego piwa, przyszło przelknąć opowieść o dziewczynie, która stała po kostki w wodzie o zapachu ryb. A że gorszego gówna dawno nie słyszał, zabrał swoje piwo i swoją zniesmaczoną osobę, aby zapalić na stronie.

Oparłszy łokcie na zimnym murze, pamiętającym lata świetności dynastii Ming, Mun stwierdził, że nie przepada za tym, co robią z nim uczucia. Dla własnej wygody nie wspinałby się przecież w ciemnościach po stromych schodach i śliskiej, prawie pionowej ścieżce. Nie znosiłby też smętnego pierdolenia o duchach, upiorach i ludzkim mięsie opowiadanego w języku, który średnio rozumiał. Ale tak wyszło, że miał powód.

– Dokąd ode mnie uciekasz, misiu? – Dziewczyna szarpnęła go za rękaw bluzy, aż wypuścił z ust ledwie napoczętego szluga. Błyszczący czerwienią punkcik żaru zniknął we mgle otulającej mur coraz gęstsą pierzynką.

– Weź, nie strasz, bo spadnę. – Zaciągnął się chłodnym, jesiennym powietrzem. Potrzebował tego, bo patrzeć na nią bez emocji wymagałoby kuli lodowatej wody. Chociaż nie, to też raczej byłyby za mało.

– Ona wypije ci krew i ukradnie duszę – ostrzegął go przed wyjazdem Altan, jego współlokator, który z racji patologicznej zażyłości z konsolą do gier zawałił semestr. – Białe laski takie są.

– Ehe. – Kiwał głową Mun, pakując plecak. Uważał, że kumpel przesadza i miesza świat gier z życiem. Ze względu na to, że od pół roku nie widywał go poza kanapą przed telewizorem, mogła być w tym więcej niż odrobina racji. – Pewnie uprawiają czarną magię i kąpią się w krwi noworodków.

– Śmieję się. – Altan odłożył pada na stolik i napił się wygazowanego napoju. – A tak w ogóle, to co wy macie ze sobą wspólnego? Poza jeżdżeniem po pijaku na motorze i, no wiesz...

– No, ja się wychowałem w Warszawie, ona tam studiowała przez dwa lata. Chyba... – Mun wywraçał oczami, szukając silniejszych argumentów. – A czy to jest w ogóle ważne? Może to karma, przeznaczenie, czy inne tam takie rzeczy. Powiedz prawdę, że jesteś cięty, bo wypiliśmy ci tamtą drogą wódkę.

– To był, kurwa, Czyngis-Chan edycja kolekcjonerska. – Pociągnął nosem. – Drugiej już takiej nie znajdzie.

– Przecież ci odkupię. Jak nie, to jak matka przyleci na święta, pewnie mi przywiezie.

– A chuj tam. – Altan machnął ręką. – To baw się dobrze, no i oby was tym razem też nie zgarnęli. Na dewastowanie zabytków są tu bardziej wyczuleni niż na jazdę po pijaku. Po co chcecie łązić po Wielkim Murze nocą?

– Bo w dzień już byliśmy.

– Nie no, skoro tak, to nie mam pytań. – Wzruszył ramionami i sięgnął po pada, tym samym tracąc łączność ze światem.

Pytania rzeczywiście były zbędne, bo pewne rzeczy lepiej po prostu przemilczeć. Mimo wątpliwości, Mun postanowił tak zrobić. Za nic w świecie nie posądziłby się o to, że pewnego dnia jego dziewczyną zostanie fanka ezoteryki i tanich horrorów. Ale, jak to ktoś na drugim roku studiów, był w wieku, w którym wciąż odkrywał siebie.

– Daj, misiu, bo za dużo palisz – Wyciągnęła mu z kieszeni paczkę papierosów, a potem wygrzebała jednego i odpaliła. – Zrobiłeś te zwoje z kaligrafią tak, jak prosiłam?

– No, mam w plecaku, ale został tam. – Kiwnął podbródkiem w stronę kółka jej znajomych, którzy nadal podawali sobie latarkę, ciągnąc durne opowiadki.

– To idź i przynieś do wieży. – Wypuściła dym tak, że poczuł zapach tytoniu w nozdrzach. – Chcę ci coś pokazać.

Mun posłuchał z dwóch powodów. Po pierwsze liczył, że to, co zobaczy, wynagrodzi mu dwie godziny wspinaczki oraz perspektywę nocy spędzonej w ciasnym śpiworze. Po drugie, zrobiłby wszystko, aby nie musieć już słuchać o wodzie śmierdzącej rybą i wrzeszczącej dziewczynie, która zamieniała się w syrenę. Zgarnął plecak i dwa piwa. Zanim ktokolwiek zauważył, że znów odchodzi w ciemność, był już daleko. Po drodze chciał zapalić, ale przypomniał sobie, że zabrała mu papierosy. Zaciągnął się więc gęstniejącą mgłą, w której jak zawsze wirował pył i piasek. Działała na płuca dość podobnie do tytoniowego dymu, zalewając je ciężkim, zawiesistym jak płynna smoła powietrzem.

– Misiu, pospiesz się! – Usłyszał z wieży. Wyłaniała się z mlecznych oparów podobnie do statku widma. – No, chodź, bo zaraz się zacznie.

Mun przyspieszył kroku, przeskakując po dwa stopnie. Dobrze, że był na stypendium sportowym i na kondycję nie mógł narzekać, bo inaczej nieźle by się zadyszał.

– Masz. – Podał swojej dziewczynie plecak. Kiedy zmarszczyła nos, wyciągnął piwo i otworzył kluczami. Pociągnęła łyk, po czym oddała mu butelkę. – To co chciałaś mi pokazać?

Położyła palec na usta, gestem przywołując chłopaka do okienka wieży. Wąskie i wychodzące pod kątem na dalszą część muru, wyglądało na takie, którego używać mogli wyłącznie łucznicy lub zwiadowcy o sokolim wzroku. Na początku, poza mgłą rozganianą coraz silniejszym wiatrem, nie widział nic, a świst zagłuszył resztę odgłosów nocy. Nagle usłyszał rytmiczne potrząsanie dzwonkiem, któremu wtórowały podskoki. Kolumna cieni sztywnych

jak manekiny zbliżała się w ich stronę.

– Co do kurwy... – mruknął Mun, przecierając oczy.

Widok jednak pozostał ten sam, wręcz coraz bardziej wyraźny. Rząd postaci w tradycyjnych chińskich strojach z różnych epok podskakiwał za wysokim facetem trzymającym w garści stelaż pełen dzwonek. Mężczyzna był ubrany w jaskrawe, chyba rytualne szaty jakiejś mało znanej religii. Zresztą, Mun nie znał się za bardzo na sprawach duchowych i obrzędach. Dziwak mógł równie dobrze mieć na sobie strój ludowy z zadupia, o którym nie robi się programów dokumentalnych.

– Óśś, misiu, bo ich spłoszysz. – Szarpnęła go za rękę. Z plecaka wyciągnęła kilka mini-zwojów z kaligrafią, które jej chłopak malował, zamiast odrabiać prace domowe z tłumaczenia.

– Ale co to? – Mun z trudem powstrzymywał ciekawość. – Kręcą tu jakiś film klasy Z czy jak?

Pokręciła głową. Tymczasem kolumna istot o twarzach jak ulepionych z topniejącego wosku zaczęła wspinać się po schodach. Z bliska widać było, że trzymają się razem w zwartym łańcuchu, każda zaciskając palce na ramionach tej przed nią. Na ich czele stał mężczyzna w kolorowym płaszczu i czarnej, kwadratowej czapce, który z uporem maniaka potrząsał dzwonekami. Recytował coś w klasycznej chińszczyźnie, strasznie przeciągając sylaby. Mun niewiele z tego nie rozumiał. Przekonany, że ta odmiana języka brzmi tak, że powinna być raz na zawsze wymrzcę, pamiętał tylko parę cytatów z filmów sztuk walki. Postaci mistrzów kung-fu rozdawały starożytne mądrości na prawo i lewo, równie często jak ciosy czy kopniaki.

– Jak któryś do ciebie podejdzie, to naklej mu to na czoło. – Dziewczyna podała mu garść zwojów. – Z tym z dzwonekami sama sobie poradzę.

– Ale o co w tym chodzi?

– Misiu, chcesz mieć więcej luzu w życiu? – ucięła, bawiąc się jego różniocopodobnym wisiorkiem. – Chcesz, żebyśmy mieli masę czasu i kogoś, kto zawsze wyręczy nas w nudnych i żmudnych zajęciach?

– W sensie niewolników?

– No. Chodź i nie czepiaj się słówek.

Kiedy wyszli z wieży, Mun potknął się o spadającą ze schodów butelkę po piwie. Kolumna podskakująca za barwnym i głośnym przewodnikiem zatrzymała się.

– Poddaj się mocy lisa, klecho! – zawołała dziewczyna, unosząc dłoń na wysokość czoła. Błysnął tatuaż przedstawiający lisa o dziewięciu ogonach, który miała na nadgarstku. Po chwili coś jakby hologram wypełzło dziewczynie spod skóry, przybierając kształt zwierzaka. Iskrzący się kolorami tęczy lis szczeknął i obwącawszy biadolącego przewodnika kolumny, chwycił dzwonki w pyszczek.

Mun poskrobał się po karku, bo już nic nie rozumiał. Wiedział, że jego dziewczyna potrafi robić drinki z ogórkiem i placki ziemniaczane, ale tego nigdy mu nie pokazywała. Tymczasem sztywne istoty o szarych twarzach i bezmyślnych oczach podążyły za lisem w podskokach, tratując przy okazji swojego przewodnika. Mężczyzna rzeźił i wrzeszczał niezrozumiale. Tak bywa, gdy woła się o pomoc w wymarłych językach.

– No, to teraz troszkę sobie pojedzą, a potem będą już słuchać tylko mnie. – Klasnęła w dłonie, przyglądając się niezbornym podskokom swoich niewolników. – Każę im sprzątać, robić pranie i chodzić do warzywniaka. A ty, misiu?

– Ja... – Mun długo szukał w głowie odpowiednich słów. – To samo, chyba że mogą kupować kluski z sosem w budce na rogu.

– Pewnie, że mogą.

Mun odwrócił się w stronę miejsca, z którego przyszli. Mgła znowu zasnuła mury, więc nie widział ani podobnych do zombie istot ani wielbicieli taniego horroru siedzących w kółku. Słyszał za to wrzaski i odgłosy ucieczki, a na koniec tylko poszczekiwanie lisa i dzwonki.

– Czy to jest sen? – zapytał ją, bo nie chciał się uszczypnąć.

– I tak i nie, misiu. – Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. Zamiast dymem dmuchnęła Munowi w twarz jakimś proszkiem.

Chłopak zdziwił się, że skrzypi między zębami jak piasek, ale na języku rozplywa cytrusowym smakiem. Nagle umknęły mu przestrogi Altana i te, które pamiętał mgliście z legend o kobietach-lisach. Podejrzenia przestały kielkować w brak zaufania i strach. Rozmyły się w strzępkach wspomnień



kolorowych jak kadry z filmów Disneya. Spacerzy w parku uniwersyteckim, imprezy w klubach karaoke, wspólne jedzenie szaszłyków o piątej nad ramię. Było między nimi tak idealnie, że nic nie mogło tego zepsuć. Zwłaszcza rzeczy tak błahe jak rozszczekany hologram lisa i grupa pozbawionych wolnej woli istot.

Mur, mgła i gwieździste niebo zawirowały, a głowa Muna stała się ciężka jak odlana z ołowiu. Powieki zresztą też. Nie wiedział, że magia przyjmuje się tylko w tych, którzy są na nią podatni. Ani, że gdyby skutki zaklęć uznać za pasożyty, byłby nosicielem idealnym.

Mun obudził się nie w śpiworze, a we własnym łóżku. Wstał, żeby się czegoś napić. Po drodze do kuchni zatrzymał się przy kanapie. Jego dziewczyna siedziała tam z Altanem, grając w jakąś kolorową platformówkę z dzieciinną animacją.

– I co, mordo? – Mun dosiadł się do nich. – Nikt tu nie kradnie duszy ani nie pije krwi?

– Że co? – Współlokator widocznie zapomniał o ich poprzedniej rozmowie.

– Wiele razem przeszliśmy, kiedy spałeś, misiu. – Jego dziewczyna nie odrywała oczu od ekranu telewizora. – Właściwie to tak ze dwie gry.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Nie lśniło tak czystością nawet w dniu, kiedy się do niego wprowadzili. Lodówka, z czego przed chwilą był strasznie zadowolony, też wydawała się pełniejsza niż zwykle. Tylko podłoga drżała, jakby ktoś ciągle na niej podskakiwał. Mun podniósł wzrok i poderwał się z kanapy, oblewając resztką wody. Przy oknie stał sztywny stwór o woskowej twarzy. Zwisały z niego złachmanione szaty w stylu dynastii Ming. Z kuchni wychynął drugi, podobny do napromieniowanego kurczaka, który stracił pióra i obrósł mandżurską tuniką. Polerował szklanki, upuszczając co drugą na podłogę. Mun podszedł do drzwi łazienki, z której dobiegały odgłosy mało skoordynowanego machania mopem. Kolejna szara istota o sztywnych mięśniach i martwym spojrzeniu zmywała podłogę i ścianę. O dziwo, mimo podskoków nie ślizgała się na mokrych kafelkach. Chociaż mogły jej pomagać miniaturowe chodaki dopasowane do zwiniętych w pęk lotosu stópek.

– Nie bój się ich, misiu. – Dziewczyna odłożyła pada, na co współlokator Muna zareagował nerwowym pomrukiem. – Wyglądają jak wyglądają, ale są pomocni. Całe życie komuś służyli, potem pochowano ich pod murem. Służba to ich wybór lajfstajlowy, więc niech żyją tym, co lubią. Szkoda marnować taki potencjał, nie?

– No, raczej – wtrącił się Altan. – Dwa dni luksusów, a ty wszystko prześpałeś, Mun! W tym domu jeszcze nigdy nie było się tak dobrze. A tak w ogóle, co z tym, który poszedł po pierogi i zupę?

Dziewczyna wstała i westchnęła. Z kieszeni dzinsów wyciągnęła plik karteczek zapisanych kaligrafią.

– Sprawdzę, czy znowu nie zaczęły źreć sąsiadów. – Podeszła do drzwi, wciągając tenisówki. – Po całej tej pracy są dziwnie głodne. Pomożesz mi, misiu?

Mun, któremu nadmiar informacji zlewał się głowie w różnokolorowy belt o smaku przesłodzonej herbaty, wstał. Niewiele rozumiał z tego, co widział. Pamiętał jednak o błyszczącym lisie na nadgarstku swojej dziewczyny



i o tym, że miała czarny pas w karate. A w sytuacji awaryjnej mogli po prostu wybiec przed blok i wsiąść na motor. Skaczące istoty, nawet gdyby na nowo ustawiły się w równy rząd, nie dogoniłyby ich na trójpasmówce przy wyjeździe z osiedla.

– No, idziesz czy nie? – Zniecierpliwiła się.

– Idę. – Rzucił się za nią.

W korytarzu słychać już było mało dyskretne jęki i łapczywe mlaskanie. Dochodziło z ciemnego kąta, gdzie całe piętro przykuwało do rur kaloryferów rowery.

– Zapal sobie, misiu. – Podsunęła mu prawie pustą paczkę papierosów. – Wódki nam jeszcze nie przyniosły, a na sucho trudno to oglądać.

Jakby na potwierdzenie słów dziewczyny, Mun poczuł na policzku pląsnięcie. Gdy podniósł do oczu to, co powoli ześlizgiwało mu się po szyi, zaklął. Zdarta z przedramienia sąsiada skóra z charakterystycznym tatuażem była czymś, czego rzeczywiście na sucho nie dałby rady przełknąć. W przenośni, nie dosłownie, bo apetyt na ludzkie mięso nie przeniósł się na niego drogą kropelkową. Mun musiał więc zorganizować sobie jak najszybciej wódkę i nowego kolegę, który będzie z nim chodził na siłownię. Z tego, co widział i słyszał, na tych z tego samego piętra nie było już co liczyć. Częściowo przeżuci i mocno niekompletni walczyli o życie, a nie o lepiej zrobione nogi czy większy obwód bicepsa. Strach, wątpliwości... Mun miał dziwną pewność, że nie powinny go dotyczyć.

– Pomóc ci tam? – zawołał do dziewczyny.

Odpowiedziało mu szczeknięcie hologramowego lisa.

Mun zgasił papierosa o ścianę i podwinął rękawy. W ustach wciąż czuł proszek o smaku najśodszych wspomnień. Magia, z której istnienia nie zdawał sobie sprawy, miała się nadal dobrze. Urok zrósł się z chłopakiem tak mocno, jakby od zawsze stanowił część jego ciała. Podszedł bliżej i przyjrzał z bliska cieniowi swojej dziewczyny. Miał on kilka lisich kit i szpiczaste uszy wystające spod opaski, ale to mógł być przypadek lub złudzenie optyczne. A nawet jeśli jakimś cudem okazałoby się to prawdą, nie szukał przecież ideału. Te przecież nie istnieją w przeciwieństwie do kobiet-lisów.



– To pomóc czy nie? – Zawahał się, gdy kolejny strzęp skóry i kości przeleciał mu nad głową. Ale zamiast czekać na odpowiedź, wyciągnął z kieszeni plik zapisanych zaklęciami mini-zwojów i rzucił się w wir walki.

Chłopak nadal rozumiał niewiele, ale czuł, że odzyskuje kontrolę nad sytuacją. Obkleił świstkami papieru twarze paru żarłocznych istot, innym dał w zęby. Był pewien, że po paru dniach oswoi się i nadaży. Dziewczyną się nie martwił, bo potrafiła sama o siebie zadbać. Pozostawała kwestia rzeczy martwych, a te, nie licząc sztywnych istot z Wielkiego Muru, same się nie obronią. Mun musiał działać. Każdy przywilej ma swoją cenę, ale to nie powód, żeby jakieś nieumarłaki przegryzły w motorze nowiutkie opony.

# Zegar wspomnień

Sandra Dąbrowska

*Lewiatan – dwustumetrowy kolos z dwoma silnikami parowymi o mocy trzystu trzydziestu tysięcy ihp – mknął w stronę zachodzącego słońca z prędkością dwudziestu węzłów. Cztery kominy buchały czarnym dymem i wgryzały się w pomarańczowe niebo niczym zęby morskiego potwora. Może tym tak naprawdę był ten statek – potworem, złodziejem dusz mamiącym zatracęńców obietnicą złudnej wolności. W jego trzewiach płonął ogień, pracowały tłoki, koła zębate i przekładnie – napisałem.*

Odchyliłem się na barowym stołku i przyjrzałem krótkiemu akapitowi, jakbym chciał ocenić go z dystansu. Za moimi plecami ludzie tańczyli do jazzowej muzyki dobiegającej z gramofonu, sączyli gin i rozmawiali, siedząc na kanapach. Tylko widok oceanu za bulajami przypominał, że nie byliśmy w sali balowej jakiegoś pałacu.

– Nudne i bez ikry – powiedział Jim, nachylając się nad barem.

Zatrzasnąłem notatnik.

– Znalazł się krytyk – odrzekłem. – Dobrze, że napisy na butelkach potrafisz przeczytać.

– Coś taki drażliwy? Chciałem ci pomóc. Skrobiesz na tych kartkach i skrobiesz, ale widzę, że nadal pierwszy akapit. Zacznij od czegoś ciekawszego.

Może miał rację, może nie tak powinna się rozpocząć opowieść o niezwykłym człowieku. Zakasałem rękawy jak przed porządną bójką i ponownie otworzyłem notatnik.

*Poznałem Vincenta Tamero piętnaście lat temu. Jak bym go nazwał? Po pierwsze szaleńcem, po drugie wizjonerem, a po trzecie i najgorsze – człowiekiem zgubionym. Zatracęńcem galopującym ku śmierci i cierpieniu, rozerwanym na dwoje przez oblęd i pasję. Oto najstraszniejsza tajemnica,*

*a mimo to szliśmy za nim, wszyscy. Cała parszywa banda idiotów. Szliśmy gdziekolwiek nas powiódł ten głupiec, który ogłosił się królem, który za nic miał dekreta, granice i prawa. Wszystkie prawa – i te ludzkie, i te boskie.*

– Lepšie i do tego szczerza prawda – zaśmiał się Jim. – A pamiętasz, jak król Erdena chciał go zmusić do ożenku?

– Trudno zapomnieć tak brawurową ucieczkę, omal nie skończyliśmy na dnie oceanu. Erdeńska flota ściagała nas przez tydzień.

– Szkoda, że tego nie widziałem.

– Brawura to głupota. Vincent zbytńo ryzykuje. – Wstałem. – W końcu podpadnie komuś tak bardzo, że wszyscy za to zapłacimy.

– Wściekasz się, bo nie zabrał cię wczoraj ze sobą.

– A żebyś wiedział. Nagle kazał zatrzymać statek, uruchomił sterowiec i poleciał nie wiadomo dokąd. Jestem jego zastępcą, nawigatorem i to na mojej głowie jest cały ten burdel. Jak mam cokolwiek zaplanować, skoro on nie raczy mi nawet powiedzieć, dokąd płyniemy?!

Kilka osób przerwało rozmowy i skierowało zaciekawione spojrzenia w moją stronę. Poczulem piekący rumieniec na policzkach. Obiecałem sobie, że tym razem wygarnę Vincentowi. Zasługiwał na to za te wszystkie lata.

Przeciskając się przez tłum roztańczonych i pijanych ludzi, wyszedłem z sali bankietowej. Na górnym pokładzie było spokojniej. Lewiatan dryfował, oświetlany księżycowym blaskiem. Szukanie wzrokiem znajomych konstelacji dodało mi otuchy, ale złe przecucie nie zniknęło.

\*\*\*

Vincent wrócił następnego dnia i rozkazał płynąć do Bramiru, a potem zamknął się w kajucie bez słowa wyjaśnienia. Wiele danych sobie obietnic w życiu zламаłem, ale nie tym razem. Przed drzwiami wziąłem głęboki wdech i zapukałem. Głośno.

– Proszę. – Zabrzmiął głos kapitana.

Vincent siedział w fotelu, stalową dłoń zaciskał na główce laski. Opowieść

o tym, jak stracił rękę, urosła do miana legendy. Jedni mówili, że odgryzł mu ją rekin, inni, że lew. Prawdy nie znał nikt.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – stwierdził.

– Czyżby?

– Chcesz mi wygarnąć, powiedzieć, że cię nie szanuję, że zachowuję się nieodpowiedzialnie, że mam za dużo tajemnic.

– A żebyś wiedział!

– To już nie ma znaczenia. Znalazłem go – przerwał, podkreślając wężem. W szarych oczach dostrzegłem niebezpieczny błysk. Znałem to spojrzenie, nigdy nie wróżyło nic dobrego. – Znalazłem go. On naprawdę istnieje. – Sięgnął za pazuchę i wyciągnął złoty zegarek.

Przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że mahoniowy blat stolika ugiął się pod ciężarem urządzenia. Vincent podniósł klapkę, pod którą kryły się trzy tarcze: na pierwszej widniały dwadzieścia cztery godziny, na drugiej cyfry od zera do dziewięciu, a na trzeciej oznaczenia miesięcy.

– I działa? – zapytałem.

– Tak. Sam sprawdź.

Nie chciałem. Niektóre wynalazki Vincenta wywoływały zachwyt graniczący z lękiem, jak choćby mechaniczne gołębie, które wysyłał z wiadomościami, lecz to, co leżało na stole, wzbudzało we mnie nie tylko strach, ale i obrzydzenie. Łączenie magii i techniki zdawało się wynaturzeniem, bardzo niebezpiecznym wynaturzeniem. Miejsce guseł, czarów i klątw było w zapadłych wioskach, głęboko w lasach, gdzie jeszcze przekazywano sobie pradawne obrzędy, ale nie tu – na największym parowcu świata, zawijającym do najwspanialszych portów. Tutaj magię tworzyły ogień i woda.

– Śmiało, Albercie, to bardzo ciekawe przeżycie.

Znałem Vincenta na tyle, aby wiedzieć, że nie odpuści. Ostrożnie ująłem zegarek i za pomocą pokręteł ustawiłem czas na dziesięć minut wcześniej. Kajuta kapitańska zniknęła, a ja szedłem korytarzem, widziałem każdy szczegół, czułem emocje, które mi wtedy towarzyszyły. Zegar wspomnień sprawiał, że ponownie przeżywałem daną chwilę. Byłem sobą, ale jednocześnie nie miałem na nic wpływu, nie mogłem zmienić biegu wydarzeń.

Wizja zniknęła tak samo gwałtownie, jak się pojawiła. Drżącą dłonią odłożyłem zegarek na stolik.

– Wiesz, że za posiadanie takich... artefaktów grozi śmierć – powiedziałem cicho.

– Nie na moim statku.

– Bzdura! To nie są żarty, Vincencie. Na pokładzie są prawie dwa tysiące ludzi. Jeśli to się wyda, wszyscy mogą zapłacić najwyższą cenę.

– A zamierzasz mnie zdradzić?

– Oczywiście, że nie. Jak możesz w ogóle o to pytać?

– To nie ma problemu, bo o tym zegarku wiemy tylko ty i ja. – Vincent uśmiechnął się pod wąsem i spokojnie zaczął nabijać fajkę.

– Dlaczego płyniemy do Bramiru? – zapytałem z westchnieniem.

– Jest tam coś, co ulepszy ten wspaniały artefakt.

Złe przeczucie wróciło ze zdwojoną siłą.

\*\*\*

Obskurna tawerna o wdzięcznej nazwie „Rybia łuska” stanowiła najładniejszy element portowego krajobrazu. Szare kamienice stały w równym rzędzie i nie wiedzieć kiedy przechodziły w kanciaste magazyny, zza których wystawały kominy fabryk. Bramir – miasto ryb i szczurów.

– I jak ci się tu podoba, Albercie? – zapytał Vincent, schodząc po trapie.

– Pięknie – warknąłem, przyciskając do nosa jedwabną chusteczkę, aby choć trochę stłumić rybi fetor doprawiony dymem z kominów.

Vincent zdawał się tym nie przejmować. Na tle wszechobecnej szarości i wynędzniałych ludzi wyglądał niczym egzotyczny ptak. Odziany w elegancki surdut i w nienagannie zawiązanym fontaziu przyciągał uwagę równie intensywnie co potężny parowiec, na którym przyplynał.

Gdy tylko przekroczyliśmy próg tawerny, wszystkie ogorzałe od morskiego wiatru twarze skierowały się w naszą stronę. Rozmowy ucichły.

– Proszę, proszę, a kogóż to wypłuła ośmiornica. – Stojąca za kontuarem kobieta uśmiechnęła się pogardliwie. Założyła za ucho kręcony kosmyk, który

wymknął się z koka.

– Pani – Vincent skłonił się dwornie – twoja uroda niezmiennie wprawia mnie w zachwyt.

– A twoja bezsensowna paplanina niezmiennie przyprawia mnie o mdłości, wasza wysokość. – Kobieta dygnęła.

W tawernie zabrzmiały szydercze śmiechy.

– Czego chcesz?

Vincent usiadł przy barze i zdjął cylinder. Nie spieszył się.

– Na początek poproszę piwo – powiedział.

Kobieta napełniła kufel i postawiła go na kontuarze z taką siłą, że kilka kropel ochlapało surduta kapitana. Vincent skosztował trunku.

– Paskudniejsze niż zapamiętałem. – Skrzywił się.

– Do rzeczy.

– Tereso, pozwól, że przedstawię ci mojego drogiego przyjaciela, Alberta. Skłoniłem się, gdy kobieta posłała mi obojętne spojrzenie.

– Czego chcesz? – wycedziła przez zęby, nachylając się w stronę Vincenta.

– Nie tutaj – odparł.

Barmanka niechętnie poprowadziła nas na zaplecze. Zamknęliśmy drzwi, odcinając się od wścibskich oczu i uszu.

– Zorganizuj spotkanie z ofremantą – zażądał Vincent.

Teresa gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Skąd pomysł, że...

– Przestań, nie pogrywaj ze mną.

– A więc tak mam spłacić dług?

– Przysługa za przysługę. Taka była umowa.

– Wróć po północy. Sprowadzę go, ale nie obiecuję nic więcej. Czegokolwiek od niego chcesz, to wiedz, że cena będzie wysoka.

Vincent rzucił na beczkę pękatą sakiewkę.

– To za dobre chęci – powiedział.

– Nie chcę twoich pieniędzy – zachnęła się kobieta. – Rozdaj je swoim marynarzom, niech mają na portowe dziwki.

– Na to nigdy im nie braknie, a ty napraw za te pieniądze dach, bo przecieka.



Wysliśmy przed tawernę, a ja wbiłem w Vincenta wściekłe spojrzenie, co przy mojej łagodnej, pucułowatej twarzy wymagało dużo wysiłku.

– Co? – zdziwił się kapitan.

– Powiesz mi w końcu prawdę?

– Prawdę? Prawda to największe kłamstwo, iluzja dla naiwnych. – Vincent wycelował we mnie stalowy palec.

– Nie filozofuj tu. Znowu nas pakujesz w tarapaty.

– Prawdopodobnie tak, ale na szczęście mam ciebie, mój głos rozsądku. A teraz chodź, czas na kolację. Co jak co, ale pieczone ryby mają tu wyborne.

\*\*\*

– Jesteście sami? – zabrzmiał ochrypły, niski głos, gdy tylko Teresa zamknęła za nami drzwi. – Nikt was nie śledził?

– Nie – odparł Vincent, po czym usiadł przy stoliku i wyciągnął fajkę. Nabił niespiesznie i odpałił, zaciągnął się głęboko. – Może wyjdiesz, nie

ma sensu się chować.

Najpierw zabrzmiały ciężkie kroki, a potem zza baru wyłonił się karzeł. Jedno oko miał szklane, z symbolem słońca zamiast źrenicy.

– Król Wszystkich Mórz, kapitan Lewiatana – wyliczał, zbliżając się do stołu. – Największy wynalazca wszech czasów potrzebuje mojej pomocy?

– Tak.

Wymienili spojrzenia pełne wzajemnego szacunku, ale i chęci dominacji.

– Dobrze więc, słucham? – Karzeł rozsiadł się na krześle naprzeciwko Vincenta.

– Potrzebuję zapachu ryby. Wiesz, czym jest i gdzie go znaleźć?

Karzeł uśmiechnął się szeroko, błyskając srebrnymi zębami.

– Wiem, ale wątpię, czy zdołasz do niego dotrzeć.

– Dotrę, gdzie będzie trzeba. Podaj cenę.

– Lewiatan.

Wstrzymałem oddech. Parowiec był domem tysięcy ludzi, niemal pływającym miastem – gdzie mielibyśmy się podziać bez niego? Nasz król nie mógł oddać królestwa, które kochał całym sercem. Cena była zbyt wysoka.

– Zgoda. Jeśli lokalizacja okaże się właściwa, dostaniesz Lewiatana.

– Vincent, możemy porozmawiać? – odezwałem się drżącym głosem.

– Nie, Albercie, wiem, co chcesz powiedzieć i tym razem cię nie posłucham.

Karzeł wyciągnął dłoń w stronę kapitana, a ten ją uściśnął. Umowa została zawarta.

– A teraz mów – zażądał Vincent, przewiercając ofremantę wzrokiem.

– Zapach ryby to minerał, który znajduje się w najgłębszym rowie oceanicznym świata. Śmierdzi rybą, stąd nazwa. Jest błękitny i świeci w ciemności.

– Widziałeś go?

– Tak, raz. Pewien alchemik robił z nim eksperymenty. Nie skończył dobrze. Wątpię, czy zdawał sobie sprawę, z czym igrą.

Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Wyraz twarzy Vincenta nie pozostawiał złudzeń. Kapitan doskonale wiedział, z czym igrą.



Batyskaf unosił się na falach tuż obok statku.

– Jesteśmy gotowi – powiedział Vincent z dumą. – Albercie, wyśpij się dzisiaj dobrze, bo jutro zwiedzimy oceaniczne głębiny.

– Co? Ja mam płynąć? – Na myśl o znalezieniu się w blaszanej puszcze oblał mnie zimny pot.

– Tak, sam nie dam rady jednocześnie sterować batyskafem i pobrać próbek minerału. Poza tym – przekrzywił lekko głowę i uniósł brwi – przecież nie lubisz, gdy udaję się na wyprawę sam.

– Te bliżej powierzchni miałem na myśli – mruknąłem.

– Zobaczysz, spodoba ci się, jeszcze mi podziękujesz.

Następnego dnia byłem wyjątkowo niewyspany, bo całą noc dręczyły mnie koszmary o wszelkich możliwych rodzajach śmierci czyhającej w głębinach.

– Gotowy? – zapytał Vincent.

– Nie.

– Świetnie.

Z pomocą załogi wgramoliliśmy się do kabiny batyskafu. Wszystkie wajchy i pokrętła sterujące pływakami i obciążnikami zostały jeszcze raz sprawdzone. Skulony na siedzeniu starałem się opanować przytłoczenie małą przestrzenią.

Batyskaf zanurzył się w wodzie.

– Kiedy zamierzasz powiedzieć załodze? – zapytałem, bo robienie Vincentowi wyrzutów było tym, na co miałem aktualnie największą ochotę.

– O czym? – zapytał kapitan, jednocześnie zmieniając położenie dźwigni.

– Że niedługo stracą dom.

– Gdy będzie to pewne.

– Tak nie można, sam zdecydowałeś o losie tysięcy ludzi, a oni ci zaufali...

– Przestań. To nie żadne zaufanie, tak im było wygodnie, a ja niczego nie obiecywałem. Radzili sobie przede mną i poradzą sobie po mnie.

– Po tobie?

– Cicho, muszę się skupić.

Za małym okienkiem rozciągał się bezkres oceanu, który ciemniał z każdą minutą. Miałem nadzieję, że karzeł kłamał i nie znajdziemy żadnego minerału.

Myliliem się. Podwodny krajobraz zdominowały świecące błękitne skały ułożone w przeróżne formacje. Widok był tak hipnotyzujący, że przez moment zapomniałem o strachu i złości. W słabym świetle przemykały morskie stworzenia.

– Naprawdę tu jest – szepnął Vincent – Albercie, uruchom wysięgnik. Jeden z tych kawałków przypominających sople powinien się łatwo dać odłamać.

Przez dobre kilkanaście minut manewrowałem wysięgnikami batyskafu, w akompaniamencie pokrzykiwań Vincenta.

Gdy nasza zdobycz została już zabezpieczona, rozpoczęliśmy proces wynurzenia. Wnętrze batyskafu rozświetliła migająca czerwona kontrolka.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– Nic, z czym bym sobie nie poradził – odrzekł spokojnie, ale na jego czole zarysowała się głęboka zmarszczka. Przedstawiał kolejne wajchy, ale nadal tkwiliśmy niemal przy samym dnie.

– Vincent?

– Być może mamy niewielki problem. Jeden ze zbiorników balastowych się zablokował.

– Czyli nie możemy się wynurzyć. – Serce podeszło mi do gardła.

– Albercie, nie dysz tak, bo zużywasz więcej tlenu. – Uśmiechnął się kpiąco. – Spokojnie, czy kiedykolwiek pozwoliłem ci umrzeć?

– Nie – odburknąłem.

Batyskaf trzeszczał pod ciężarem ton wody. Wyciągnąłem z kieszeni chusteczkę i otarłem pot z czoła.

Vincent nadal przestawiał dźwignie.

– Dobrze, mamy sterowność boczną, więc musimy tylko delikatnie otrzeć się o skały – powiedział.

– Otrzeć się? Znaczący uderzyć? Może dojść do rozszczelnienia.

– Nie przesadzajmy. Batyskafy są wytrzymałe.

Zamknąłem oczy. Migające, czerwone światło powodowało zawroty głowy.

wy. Batyskaf zaczął się przesuwać, z trudem oddychałem.

– Stój! – Chwyciłem dźwignię.

– Oszalałeś! Co ty robisz?

– Mam dość twojej bez troski. Bezmyślnie narażasz ludzkie życie, wymyślasz te swoje szalone plany jeden za drugim.

– I teraz chcesz o tym dyskutować?! – Vincent puścił drążki sterownicze.

– Proszę bardzo, będziemy ględzić, aż się udusimy.

– I dobrze, przynajmniej nie masz dokąd uciec, więc dla odmiany wysłuchasz, co mam do powiedzenia.

Vincent przewrócił oczami i mruknął coś niezrozumiale.

– Nie dbasz o nikogo, liczą się tylko twoje szalone wynalazki. Przez ciebie wszyscy staliśmy się zbiegami, a erdeńska flota usiłowała nas zatopić.

– Ale nie zatopiła. Po co do tego wracać? Miałem się ożenić wbrew woli?

– Myślisz, że w to wierzę? Takie bzdury to możesz wciskać Jimowi. Kłamstwo to twoja druga natura.

– Nigdy cię nie okłamałem!

– To co tak naprawdę zrobiłeś w Erdenie?

– Nie twoja sprawa – warknął przez zaciśnięte zęby.

Parsknąłem śmiechem.

– Typowe. Wcale nie kłamiesz, tylko przemilczasz. Gardzisz wszystkimi naokoło, bo przecież nikt nie jest w stanie dorównać twojemu geniuszowi. I wiesz co, jesteś geniuszem, zaprojektowałeś cuda, które zmieniły świat, ale jesteś też zwykłym nadętym dupkiem przekonanym o własnej nieomyślności.

– Wolę być dupkiem niż naiwniakiem pozbawionym jakiegokolwiek ambicji!

W batyskafie zrobiło się duszno, powietrze przesycił zapach tytoniu zmieszany z potem. Potarłem skroń.

– Ach tak? No, w końcu jesteś szczery. W takim razie naiwniak wysiądzie w najbliższym porcie. Zobaczymy jako...

Batyskaf nagle się zakołysał.

– Co to było? – zapytałem.

– Jakieś zwierzę. Okrąża nas od połowy tej twojej tyrady.

– I nic nie powiedziałeś?!

– Nie chciałem ci przerywać, aby nie wyjść na dupka.

Kolejne uderzenie, tym razem silniejsze. Za szybą dostrzegłem ogromny, podłużny kształt oświetlony niebieskawym blaskiem. Vincent rozparł się na siedzeniu i podkręcał wąs.

– Zabierz nas stąd! – wrzasnąłem.

Trzecie uderzenie zakołysało batyskafem tak bardzo, że przechyliliśmy się na bok.

– Vincent!

– Przestań panikować. Morski potwór nam pomógł, pływak się odblokował. Dopiero teraz zauważyłem, że czerwone kontrolki zgasły.

Zaczęliśmy się wynurzać. Do ostatniej sekundy byłem przekonany, że zginiemy, ale jednak to jeszcze nie był ten dzień.

Powiew wiatru na mokrej od potu twarzy przyjąłem z niewysłowioną ulgą, podobnie jak bezkresną przestrzeń oceanu i stabilny pokład Lewiatana.

– Długo wam zeszło, już się martwiliśmy – stwierdził Jim. Otworzył usta, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale jedno spojrzenie na nasze twarze sprawiło, że zrezygnował.

– Kurs na Riamel – rozkazał Vincent, wyciągając minerał z pojemnika. – Zawiniemy tam do portu. Gdyby ktoś chciał wysiąść, to będzie dobra okazja – dodał, schodząc pod pokład.

– Co tam się stało? – zapytał Jim.

Nie odpowiedziałem.

\*\*\*

Spakowałem rzeczy na długo przed zawinięciem do portu. Miałem dość morskiej tułaczki i wykonywanie poleceń szaleńca. Z determinacją szedłem korytarzem prowadzącym do warsztatu. W środku panował półmrok. Błękitny kamień leżał na stole obok zegarka i śmierdzał potężnie. Vincent siedział w fotelu, paląc fajkę. Włosy miał w nieładzie, oczy podkrążone, a ust zaciśnięte. Palce metalowej dłoni wybijały nerwowy rytm na poręczy. Usiłowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widziałem kapitana na pokładzie, ale nie potrafiłem.

– Przyszedłeś się pożegnać – stwierdził. Nie odrywał wzroku od minerału. Otworzyłem usta i wtedy zrozumiałem, że nie chcę być nigdzie indziej. Nagle wizja życia na łódzie stała się przerażająca. Nie mogłem odejść i nie mogłem pozwolić na oddanie Lewiatana.

– Nie. Przyszedłem sprawdzić, czy żyjesz. Ludzie zaczęli się skarżyć na nieprzyjemny zapach. Nie byłem więc pewien czy to ten minerał, czy po prostu wyciągnąłeś kopyta.

Vincent nic nie odpowiedział, odłożył fajkę i milczał.

– Jak chcesz ulepszyć zegarek? – Zadałem pytanie, na które bałem się poznać odpowiedź.

– Chcę, aby pokazywał wspomnienia zmarłych.

Nogi się pode mną ugięły.

– To nekromancja...

– Nie, nikogo nie zamierzam ożywiać. – Podszedł do mnie i położył dłoń na ramionach. – Albercie, jeszcze ten jeden raz musisz mi zaufać. Obiecuję, że to szaleństwo jest ostatnie. Nie mogę ci zdradzić wszystkiego, ale są rzeczy, które muszę zrobić. – Uśmiechnął się. – Cieszę się, że zostajesz.

– Dlaczego ufasz karłowi? – zmieniłem temat, mrugając zdecydowanie zbyt szybko.

Vincent się rozluźnił.

– Bo na tym świecie są jeszcze ludzie, dla których uścisk dłoni jest najważniejszą gwarancją. Wiesz, co oznacza słońce na jego oku?

Pokręciłem głową.

– Ofremanci nigdy nie kłamią i nigdy nie łamią danego słowa.

– Czemu w takim razie on ufa tobie?

– Tylko śmierć zwalnia z umowy zawartej z ofremantą. Jeśli nie dotrzymam słowa, to jestem trupem. Nawet na Lewiatanie mnie dopadną.

Ton głosu Vincenta wskazywał, że wcale go to nie przerażało. Najwyraźniej zamierzał się wywiązać z umowy.

Przez następne dwa tygodnie Vincent pracował jak szalony. Rozkręcił zegarek na części, a potem wymieniał jego poszczególne elementy na te wykonane z zapachu ryby. Jadł tylko wtedy, gdy mu o tym przypominałem.

Praktycznie nie wychodził z warsztatu. Już wcześniej widywałem go w szale pracy, ale nigdy takim. W końcu obudził mnie w środku nocy i oznajmił, że się udało. W półmroku jego oczy lśniły od łez.

\*\*\*

Posadziliśmy sterowiec na łące. Nie pamiętam, kiedy ostatnio znalazłem się tak daleko od morza. Vincent podał mi łopate, a potem ruszyliśmy polną drogą w kierunku lasu. W oddali dostrzegłem majaczące zabudowania.

– Do końca będziesz mnie trzymał w niepewności? – zapytałem.

– Tak.

Dotarliśmy do opuszczonego domu, który w czasach świetności musiał wyglądać ślicznie. Z przodu znajdowała się duża weranda, a balkon na pierwszym piętrze zdobiły rzeźbione balustrady. Nie spodziewałem się takiego budynku w środku lasu. Moją uwagę przykuł kołowrót przy studni – ilość przekładni i zębatek czyniła go bardzo zaawansowanym urządzeniem jak na wiejskie standardy.

– Zrobiłem go, żeby Amanda nie musiała dźwigać wody, gdy mnie nie było – powiedział Vincent.

– Amanda? Twoja...

– Żona. Mieszkałem tu, zanim zostałem Vincentem Tamerem.

Za domem znajdował się przykryty kamieniami i porośnięty trawą grób.

– Nie – szepnąłem. – Twoja żona nie żyje?

– Żona i córka.

– Vincencie, tak mi...

– Nie mów tego, nie współczuj mi, nie zasługuję na to.

– Czemu?

– Bo to moja wina.

Wyciągnął z kieszeni zegarek, a potem ustawił wskazówki.

– Dotknij go, a zobaczysz to, co ja.

Zawahałem się.

– Proszę. Nie jestem ci w stanie tego opowiedzieć.

Przełamalem strach i chwycilem zimny metal. Obraz, który zobaczyłem, był przerażająco realny. Obserwowałem wszystko oczami kapitana. Młoda kobieta wybiegła z domu, oczy miała zapłakane, w drzwiach dostrzegłem małą, może pięcioletnią dziewczynkę, częściowo schowaną za futryną.

– Nie rób tego, słyszysz, Arturze, nie rób tego! – Kobieta chwyciła mnie za rękę.

– Muszę, nie rozumiesz, to zmieni świat.

– Mam gdzieś świat. Dlaczego obchodzi cię świat, a ja, a twoja córka, my się nie liczymy?

– Oczywiście, że się liczycie, robię to też dla was.

– Ostatnio omal nie zginąłeś. Daj spokój, ludzie nie muszą latać, nie potrzebują tych wszystkich urzędów.

– Postępu nie da się zatrzymać. Proszę, musisz mi zaufać, tym razem nic się nie stanie, wiem, gdzie popełniłem błąd.

Kobieta cofnęła się, po policzkach spływały jej łzy.

– Nie. Ostrzegam cię, jeśli wsiądziesz do tego ustrojstwa, to możesz już nigdy nie wracać.

– To niesprawiedliwe.

– Nie będę więcej przepłakiwać nocy, bojąc się, czy wrócisz żywy, nie będę czekać, nie będę tłumaczyć córce, dlaczego tatusia nigdy nie ma w domu albo gdzie się podziała jego ręka.

Zaczerwieniona twarz kobiety zniknęła z pola widzenia, a jej miejsce zajął sterowiec.

Wizja nagle się skończyła.

– Wróciłem – szepnęła Vincent – pięć lat później. Dom był opuszczony, a tutaj znalazłem grób. Nikt w wiosce nie wiedział, jak zginęły. Ciała znaleziono, gdy już ulegały rozkładowi.

Staliśmy chwilę w milczeniu, a potem Vincent zaczął kopać. Dołączyłem do niego i po kilkunastu minutach odkryliśmy szczątki. Z trudem hamowałem mdłości spotęgowane przez żal, który ścisnął mi serce.

Vincent bez cienia emocji przyłożył zegarek do szczątków żony, a potem ustawiał kolejne daty, szukając wspomnienia śmierci. Rozpoznałem mo-

ment, w którym je znalazł, bo twarz mu pobladła. Milczałem, czując jak oczy mi wilgotnieją. Po kilkunastu minutach kapitan wstał i bez słowa zaczął zakopywać grób.

– Wiesz, kto to zrobił? – zapytałem.

– Ktoś, dla kogo nie chciałem stworzyć broni zagłady.

– O czym ty...

Uciszył mnie gestem.

– Wracajmy.

Wyszliśmy z lasu, ale zamiast iść w stronę sterowca, kapitan się zatrzymał i podał mi zegarek.

– Przekaż go karłowi – powiedział.

– Co?

– Tutaj nasze drogi się rozchodzą, Albercie.

– Czekaś, o czym ty mówisz?

– Teraz ty jesteś królem-kapitanem. Lewiatan należy do ciebie, opiekuj się naszą załogą.

– Ale karzeł...

– Umowa dotyczy mnie.

– Oni cię zabiją.

– Zegarek ich udobrucha, jest dla nich dużo cenniejszy niż statek. – Odwrócił się i ruszył w stronę wsi.

– Co zamierzasz?

– Lepiej żebyś nie wiedział. Żegnaj, Albercie. Byłeś dobrym przyjacielem, najlepszym jakiego miałem.

Odszedł połą drogą, a ja nie mogłem się ruszyć. Potem jeszcze przez wiele lat wyrzucałem sobie, że powinienem go zatrzymać, ale teraz wiem, że nie zdołałbym.

*Miesiąc później zamordował króla Erdenu. Dokonał tego na oczach thumu. Powieszono go trzy dni później. Wtedy zrozumiałem, że Vincent Tamero był zatracieńcem, ale to nie pasja nim kierowała, lecz żądza zemsty i poczucie winy. Na zawsze zmienił świat i zapłacił za to straszliwą cenę – napisałem, a potem zamknąłem notatnik.*



# Chwała Stwórcy

Wiktor Matyszkiewicz

FFS Thor od kilku dni krążył po orbicie Nott. Skuty lodem świat dryfował w całkowitej ciemności, oddalony lata świetlne od najbliższej gwiazdy. O niewidzialnej planecie dowiedzieli się dzięki mikrosoczewkowaniu grawitacyjnemu, a dokładne położenie wyznaczyli po zarejestrowaniu wyjątkowo silnego pola magnetycznego i zaburzeń promieniowania kosmicznego rozpraszającego się w gęstej atmosferze. Jednak z bliska mogli już oglądać ją w dalekiej podczerwieni.

– Gloria k'tori. – Gardłowe zawodzenie Alistera, najwyższego kapłana bóstwa No'otira, niosło się po całym statku. – Ligurraua nos r'efe'raadamagna.

– Pieprzeni fanatycy – mruknął pod nosem doktor Celaeno.

Celaeno był jedynym niewierzącym członkiem ekspedycji. Zatrudnili go za sowitą opłatą, ponieważ wśród nielicznych wyznawców ich religii brakowało inżyniera. Nie było to szczególnie dziwne, wszak nikt o zdrowych zmysłach – a takimi niewątpliwie byli ludzie nauki – nie uwierzyłby w te brednie. Skusić dawali się tylko mający więcej pieniędzy niż rozumu miliarderzy i naprawdę chorzy na umyśle.

Doktor oglądał lodowego karła za pomocą Quantum Eye, rzutuującego wizualizację powierzchni bezpośrednio na soczewki. Zrekonstruowana na podstawie obrazów z wysłanych wcześniej sond planeta była pokryta białym puchem. Dopiero przy dużym zbliżeniu dało się dojrzeć ostre lodowe klify czy szerokie kratery, w których początek brały ciągnące się kilometrami żłoby. Jeden z gejzerów został uchwycony w momencie eksplozji, gdy wyrzucił w powietrze hektolitry wrzącej wody.

Celaeno zatrzymał wzrok na wąskim pasie przy jednym z biegunów, gdzie zamiast grafiki powierzchni znajdowała się sporej wielkości szara plama,

i zmarszczył brwi. W systemie nie widział żadnej awarii. Czyżby zapomniał zmapować części planety?

– Doktorze! Doktorze, słyszy mnie pan?

Odłączył obraz. Nie od razu zobaczył czekających Alistera i świętego gwardzistę Wustana – adaptacja wzroku po użyciu Quantum Eye trwała kilka minut – lecz natychmiast poczuł dochodzący z naprzeciwka odór. Jednym ze zwyczajów, których przestrzegali, było codzienne spożywanie kiszonych ryb, co wedle wierzeń miało przynosić szczęście i błogosławieństwo No’otira.

– Co wiemy na temat planety? – spytał kapłan. Zabrzęczały wplecione w jego włosy koraliki.

– Gęsta atmosfera składa się głównie z tlenu, wodoru i pary wodnej – odpowiedział doktor, zakrywając nos. – Znalazłem liczne gejzery gorącej wody. Podejrzewam, że to ona tworzy przecinające powierzchnię liczne koryta. Jeżeli chodzi o jądro...

– Do rzeczy! – warknął zniecierpliwiony Wustan. – Gdzie jest Stwórca?

– Ehm... Póki co nie znalazłem żadnych śladów. Może pod powierzchnią? Na zewnątrz panuje mróz, ale ciepło głębinowe powinno sprzyjać rozwojowi życia. Mógłbym wysłać jedno z wiertel i pobrać próbki.

– Tak zrób – zdecydował Alister. – I poinformuj mnie, gdy coś znajdziesz. Jesteśmy blisko. Odkąd odnaleźliśmy Nott, wizje No’otira stały się częstsze i wyraźniejsze. Stwórca nas wzywa, doktorze. Słyszy nasze modły i niecierpliwie oczekuje, aż stawimy się przed jego obliczem.

– Chwała No’otirowi! – zawołał Wustan.

– Chwała! – powtórzył najwyższy kapłan.

\*\*\*

Doktor Celaeno leżał w kajucie, przeglądając kolejne raporty.

Pobył na stacji zawsze dłużył się niemiłosiernie. Było to w pewnym sensie paradoksalne, bo same podróże mijały w mgnieniu oka: wchodziło się do komory kriogenicznej, zasypiało i chwilę później budziło w innym układzie gwiazdnym. Co prawda wiązało się to z efektami ubocznymi: migreną, odru-

chami wymiotnymi i utrzymującym się przez kilka kolejnych dni uczuciem chłodu, ale Celaeno uznawał to raczej za drobne niedogodności.

Dopiero na miejscu odczuwał niemożliwą nudę. Celaeno przez większość czasu siedział beczynnym, zarządzał przyrządami badawczymi i wdychał te cholerne rybie opary. Nie miał nawet z kim sensownie porozmawiać – ciągle słyszał tylko bełkot: o „rybim Stwórcy”, „Matuli Iw” i „Jego wszechobecnym wzroku”.

Z letargu wyrwał się dopiero przy remanencie ładowni. Odkrył, że posiadali dwie sondy mniej niż liczba odpowiadających im stanowisk. Zaniepokojenie nie ustąpiło nawet po odkryciu, że brakowało ich również we wcześniejszych spisach magazynowych. Nic nie zniknęło – to dobry znak – ale dlaczego miałoby lecieć z niepełnym wyposażeniem? Statek był nowy i zaprojektowany specjalnie na tę misję. Kościół No’otira nie szczędził pieniędzy na wyprawę.

Podniósł się z łóżka, sięgnął po komunikator i wybrał Oriona, najnormalniejszego z całej czwórki szaleńców. Minęło pół minuty, nim nadeszła odpowiedź:

– Panie doktorze?

– Bardzo przepraszam, że zawracam ci głowę. Nie przeglądałeś ostatnio list magazynowych?

– Ja? Skąd! W ogóle nie zajmuję się ładunkiem. Coś się stało?

– Nie, nie! Nie musisz się martwić, to nic.

– Na pewno? Jeśli masz jakiś problem, to wiesz, zawsze moż...

Celaeno rozłączył się i odłożył komunikator. Przetarł oczy. Nic nie szło po jego myśli.

\*\*\*

Celaeno wstał jako ostatni. Gdy wszedł do mesy, pozostali załoganci kłęzczeni wokół zastawionego stołu. Tylko Wustan spostrzegł doktora, obdarzył go krótkim, acz pogardliwym spojrzeniem i prychnął, wracając do modlitwy.

– Podziękujemy Matuli Iw za dar życia, dzięki któremu mogliśmy się tutaj spotkać – zaintonował najwyższy kapłan.

– Podziękujemy No’otirovi za pokarm, którym obficie nas obdarował –

wtórowała mu Ain, narzeczona Oriona.

Celaeno podszedł do części kuchennej i wybrał z menu koktajl odżywczy. Czekając, aż maszyna przygotowuje posiłek, spojrzął na resztę załogi.

*Jak możecie jeść to świństwo?* – pomyślał, spoglądając na śniadanie kultystów: chleb, rybne zrazy i gotowane rzepy; a wszystko popijane winem. *Niezbilansowany posiłek i zbędne kalorie, oto co macie od swego boga!* Wzdrygnął się, gdy Ain włożyła jednego z kartofli do ust Oriona.

– Czeka nas wspaniały dzień, dzieci. Ostatniej nocy miałem kolejną wizję – oznajmił najwyższy kapłan. – Stwórca objawił mi się pod postacią unoszącego się w powietrzu węża.

– Tak jak objawił się Matuli – wtrącił Wustan i kiwnął głową.

– Krążył wokół mnie, zataczając coraz węższe pętle, i lustrował uważnie. Syknął i natychmiast poczułem dreszcz. A potem zatrzymał się i wystawił język tak, że jego końcówka dotykała mojego czoła. Wtedy się obudziłem i nagle wiedziałem, gdzie powinniśmy go szukać.

*Naprawdę wierzysz w te bajki, durny klecho?*

– Doktorze – Alister nagle obrócił się w stronę Celaeno – przeglądałem mapę planety. Czym jest ten zamazany fragment w pobliżu północnego bieguna?

– Szary... Co? Niemożliwe... – wydukał inżynier.

Podszedł do najbliższego komputera i włączył wykonaną przez sondy mapę Nott. Natychmiast znalazł pas, o którym mówił kapłan. Ostre zdjęcia powierzchni, potrafiące uchwycić nawet unoszące się w powietrzu krople wody, urywały się nagle, ustępując szarej, płaskiej plamie. Dopiero z dalszej perspektywy majaczyły niewyraźne kształty lodowych szczytów i rzek.

Celaeno poczuł się dziwnie zgaszony, jakby osobliwa mgła wdarła się do jego głowy i zasłoniła część wspomnień. Czuł, że znał odpowiedź; że miał na końcu języka, ale z jakiegoś powodu nie był w stanie jej wyrazić.

– Musiałem nie wysłać tam sond, ale... – mamrotał. – Przepraszam.

– To nic. No’otir jest ciepłym bóstwem – odparł Alister i na powrót zwrócił się do reszty załogi: – Tam właśnie oczekuje Stwórca. W miejscu, gdzie stworzył Matulę Iw; gdzie ona zdradziła go i rozrzuciła pęk swych włosów po nieboskłonie, dając początek całemu życiu i gdzie, w ramach należnej

kary, No'otir pożarł jej mózg. A teraz pragnie spotkać się z jednym z nas.

Doktor usiadł na podłodze, wciąż przyglądając się mapie. Jak to możliwe, że nie zbadał tego fragmentu? Jaki miałby ku temu powód? Sprawiało mu to wręcz fizyczny ból, jakby niewidzialne ręce złapały jego skronie i powoli ścisnęły, ścierały, miażdżyły...

– Powiniennem tam polecieć – mruknął sam do siebie, głośniej niż powinien. Jak na zawołanie, wszyscy obrócili się w jego kierunku.

– Nie godzi się! – obruszył się Wustan i zerwał na równe nogi. – Niewierny miałby jako pierwszy dostąpić zaszczytu spotkania Stwórcy?!

Celaeno dopiero po chwili zrozumiał, co powiedziały jego usta. Zbladł i spojrzał błagalnie na zebranych. Już chciał wszystko odwołać, wycofać się, błagać o wybaczenie, nim odezwał się Alister:

– Zgadzam się. Na spotkanie powinien polecieć ten, którego serce jest najbliżej Pana. Wustanie, sądzę, że to powinienesz być ty.

Inżynier odetchnął z ulgą.

\*\*\*

*Pierwsza, druga, trzecia, czwarta... i piąta.* Celaeno policzył kajuty ponownie i przetaił oczy. Wyprawa liczyła czterech załogantów: jego, Oriona, Ain i Alistera. Po cholere trzymali więc pięć kajut?

Stanął przy tej, która powinna być pusta. Otworzyć ją? Wejść do środka?

– Coś się stało, doktorze? Jest piąta nad ranem.

Doktor Celaeno odskoczył. Obok, jakby znikąd, pojawił się ubrany w nocną koszulę Orion.

– W zasadzie to... ekhm... miałbym pytanie. – Inżynier odetchnął, starając się uspokoić emocje. – Czyja to kajuta?

Orion zawiesił się na moment, mrugnął kilka razy. Spojrzał uważnie na rozmówcę i zmarszczył brwi.

– Wiesz, że na statku mamy też pięć komór kriogenicznych? – dodał zaraz inżynier.

– Nie... Może najwyższy kapłan chciał mieć zapasowe miejsca?

– Może – mruknął niepewnie Celaeno, w duchu uznając to za bzdurę. Przecież za nową komorę kriogeniczną trzeba zapłacić setki tysięcy ogniów tantalowych! – Mam wrażenie, że stało się coś dziwnego, ale... nie potrafię tego wyjaśnić.

– Przesadzasz. Czym się martwisz? Nadmiarową kabiną? – Zaśmiał się nieco historycznie. – Możemy pójść do najwyższego kapłana i spytać. On powinien wiedzieć.

– Ehm... Nie, nie chciałbym zawracać mu głowy.

– Na pewno? – Oblicze Oriona momentalnie stało się dużo łagodniejsze.

– Powinieneś odpocząć. Wspominałeś, że masz filmy na tym swoim oku...

– Quantum Eye – odpowiedział doktor.

– Tak! – Brodacz uśmiechnął się. – Pokażesz? Obejrzymy je razem.

Przełknął ślinę. Grać? Z tymi świrami? Po cholere się w to pakował?!

\*\*\*

– Jutro lecisz na Nott – narzekał Celaeno. – Nie powinieneś się przygotować?

– Przygotowywałem się do tego całe życie.

– A spędzić trochę czasu z Ain?

– Wystarczy, że to założę? – Orion zignorował go.

Rozsiedli się w mesie. Orion obracał w dłoniach jedną z soczewek. Jej półprzezroczyste wnętrze mieniło się różnokolorowymi, ledwo dostrzegalnymi obrazeczkami.

– Tak – odparł doktor. – Sterujesz ruchami gałek ocznych, poza tym działa jak każdy inny komputer. Szybko się przyzwyczaisz.

Rzeczywiście zajęło mu to kilka minut. W pierwszej chwili Celaeno z rozbawieniem przyglądał się, jak jego kompan próbuje sterować ekranem machając rękami; ostatecznie z trudem powstrzymał parsknięcie i również założył Quantum Eye. Włączył aplikację z filmami, wywołując rozmazany z początku obraz.

– Jak to działa? – usłyszał głos Oriona.

– To coś w rodzaju imitacji snu. Sztuczna inteligencja najpierw wyświetla zaprogramowane sceny, ale analizując reakcje oka, modyfikuje je przez optymalizację dobranych parametrów. Na początek można wybrać film akcji, horror albo komedię romantyczną, a po paru seansach zacząć się bawić z dokładniejszym doborem parametrów.

Widok nabrał ostrości. Pośród spalonej, wyschniętej ziemi ciągnęły się po horyzont kałuże brudnej, buchającej parą cieczy. Dym z wolna zaczął formować gęste chmury, zza których ledwo docierał blask lokalnej gwiazdy. Zielonkawe światło uformowało się w kształt, przypominający wielkie rybie oko.

*Przyjdź do mnie* – zabrzmiał głos w głowie Celaeno. – *Czekam...*

Nagle poczuł odór zgniłych jaj. Piorun przeciął niebo, rozrywając rzeczywistość na pół i odsłaniając kryjącą się pod nią ciemność. Ta zaczęła z wolna wypływać i obejmować coraz szersze fragmenty krajobrazu, otulając w końcu i doktora.

*Czekam...*

– Już, już! Na Stwórcę, uspokój się! – krzyknął Orion, chwytając go za ramiona i mocniej przypierając do ziemi.

– C-co? – Spojrzał na otaczające go komputery i panele kontrolne, które zdały mu się dziwnie rozmazane. Był na mostku. – Co się stało?

– Nic nie pamiętasz? Serio?

– N-nie.

Orion zwolnił uścisk i wypuścił chwilę później, oczekując jeszcze nagłego zrywu. Pomógł mu wstać.

– Pokazywałeś swoje filmy – zaczął tłumaczyć. – Opowiadałeś, jak działają i nagle zacząłeś wrzeszczeć jak opętany, że lecisz do kogoś i błągasz o uzdrowienie. Rzuciłeś się do drzwi, przebiegłeś tu korytarzem i chciałeś uruchomić kapsułę ratunkową, jeden z tych lądowników. Gdy próbowałem cię powstrzymać, zacząłeś się ze mną szarpać i... – Wymownym gestem dał do zrozumienia, że wtedy powalił Celaeno na ziemię.

– J-ja... Dziękuję. – Oparł się o ścianę i pociągnął nosem. – Nie wiem co, ale coś we mnie wstąpiło. Widziałem martwą, wulkaniczną...

– Nic nie mów. Ostatnio wszyscy tak mamy.



– Tak?

Orion pokiwał głową.

– Parę dni temu obudziłem się w mesie, koło Ain i najwyższego kapłana. W środku dnia! Alistar bredził jak ty: „Gdzie jest mój Wustan?”, „Na pewno doleciał na miejsce”. I Ain... Myśli chyba, że nie widzę, ale snuje się po pokładzie jak duch, całe godziny spędza w łazience, a z nerwów przytyła.

Westchnął i poklepał Celaeno po plecach.

– Idź się położyć, a ja przyniosę pigułki nasenne. Jutro powinieneś być w formie, pamiętasz? Będziesz nadzorował mój lot.

\*\*\*

Orion włożył nogawki kombinezonu, zapiął go aż pod szyję i spojrzał na leżący obok hełm. Choćukrywał emocję za ciepłym uśmiechem, to nie mógł opanować drżenia rąk.

– Nie powinieneś lecieć – szeptała Ain. – To niebezpieczne.



– Przesadzasz.

Celaeno obserwował tylko transmisję sceny. Po ostatnich wydarzeniach czuł się zbyt słaby, żeby wyjść z pokoju.

– A jeśli coś pójdzie nie tak? Kapsuła nie wytrzyma uderzeń fragmentów lodu, skończy się paliwo, zniknie...

Złapał ją za nadgarstek i spojrzał prosto w oczy.

– Posłuchaj – szepnął. – Za parę miesięcy wrócimy do domu. Oboje. Zamieszkamy na przedmieściach i weźmiemy ślub, taki jak sobie wymarzyłaś. Wywiesimy zdechłe ryby na całym Placu Śledzia, wynajmiemy połykacza ognia, a druhnny przebierzemy w wielorybie skóry...

– Orion... Ja powinnam...

Pokręciła głową i zamilkła, widocznie bijąc się z myślami. Kochanek wytarł jej mokry od łez policzek, pogładził splątane włosy i pocałował. Ain, szlochając, wtuliła się w jego ramię.

Odsunął się, podniósł hełm i pewny siebie skierował w stronę kapsuły. Dobra mina do złej gry.

– Nie martw się, rybko. Wszystko będzie dobrze.

Głęboko odetchnął i wszedł do środka. Musiał się skulić, żeby o nic nie uderzyć.

– Ustawiłem koordynaty – nadał przez radio doktor Celaeno. – Silniki pracują. Daj tylko znak...

– Ruszamy!

Turkot silnika stawał się coraz głośniejszy. Zawiasy puściły, a lądownik zaczął odsuwać się od FFS Thora. Ain przywarła do drzwi i z drugiej strony szyby, spoglądając na oddalającego się w kierunku ciemności narzeczonego. Gdy ostatni raz go widziała, spoglądał na nią z uśmiechem i układał dłonie w kształt serca.

– Ty kołku! Jeśli nie wrócisz... – łkała cichutko – osierocisz dziecko...

\*\*\*

Celaeno wywabily z kajuty niosące się po całym statku płacz i zawodzenie.

Przeszedł się po korytarzu, zajrzał do mesy i na mostek, a w końcu zatrzymał się przy jednej z kajut. Przyłożył ucho do drzwi, wsłuchując się w jednostajną, pełną desperacji mantrę:

– Orion, Orion, Orion...

*To tu*, stwierdził. Zapukał.

– Ain, wszystko w porządku?

– Orion, Orion...

Nie odpowiedziała ani na pierwszą, ani na kolejne trzy wołania. Celaeno przez moment zastanawiał się, czy jej nie zostawić – a nuż to kolejne chore modły tej sekty – w końcu jednak postanowił działać: podpiął się do systemów statku i odblokował drzwi, korzystając z uprawnień administratora sieci.

– Orion, Orion...

Dziewczyna siedziała skulona przy szybie. Wpatrywała się w pustkę, w której – gdzieś pograżona w ciemności – znajdowała się Nott. Celaeno podszedł, szturchnął i zamachał jej dłonią przed oczami.

– Czym jest Orion?

Wreszcie odwróciła się i łamiącym głosem wyszeptwała:

– Nie wiem.

Zdawała się nieobecna i zagubiona, a w jej szklistych oczach brakowało choćby cienia nadziei. Doktor nie rozumiał, ale objął ją i szepnął kilka ciepłych słów. Ona zaś wtuliła się w jego ramię, obficie szlochając. W takiej pozycji zastygli na dłuższy czas.

Celaeno błędził wzrokiem po pokoju – niestety niezbyt interesującym. Poza dwuosobowym łóżkiem i kilkoma kontenerami na prywatne rzeczy, nie było w nim nic, a wrażenie pustki potęgowały białe ściany oraz dwa wielkie okna, zapewniające widok na ciemne, gwiazdzone niebo.

Jego uwagę zwrócił dopiero wymalowany nad łóżkiem napis: otoczone sercem A+O. Gdy jednak chciał o niego zapytać, rysunek nagle zaczął się zmieniać i falować. Doktor zmrużył oczy i spojrzął w to samo miejsce raz jeszcze, nie zobaczył jednak nic oprócz pustej ściany.

– Jest coś jeszcze – dodała po chwili Ain, nieco się uspokoiwszy. – Ja

jestem w ciąży.

– Ty? Tu? Ale...

Zatkało go. Nie spała chyba z tym... najwyższym kapłanem? Czy to w ogóle było dozwolone przez ich religię? I fizycznie możliwe? Przecież on całe dnie spędzał na modlitwie, śnie i jedzeniu, rzadko nawet odzywał się do innych załogantów. Chyba że... w kaplicy? Kto wie, czego spodziewać się po tych świrach.

– Z kim? – wykrztusił w końcu.

Pokręciła głową i znowu wybuchnęła płaczem.

\*\*\*

– To dziecko Stwórcy – oznajmił rzeczowo najwyższy kapłan, wysłuchawszy rewelacji.

– Stwórcy? – niemal jednocześnie powtórzyli z niedowierzaniem Ain i Celaeno.

– No’otir nawiedził cię w śnie i zasiał nasienie w twym łonie. To jedyne rozsądne wytłumaczenie.

Ain spojrzała raz jeszcze na swój brzuch, a gdy minął pierwszy szok, jej usta ozdobił w końcu uśmiech. Czule pogładziła miejsce, gdzie znajdowało się jej przyszłe dziecko.

– To syn z przepowiedni – ciągnął kapłan. – Ludzkie dziecię, które zmaże pierworodny grzech Matuli Iw i zbawi świat. Widziałem je w wizjach.

Celaeno wzдрыgnął się. Rzadko zachodził do kapliczki No’otira, której atmosfera budziła w nim niepokój. Gęsty, drażniący oczy dym; rozłożone do spożycia sfermentowane śledzie i smętne zawrodożenia wiernych, nagrane na Barnardzie i puszczane na okrągło, już przyprawiwały o ból głowy. Były jednak niczym w porównaniu z ustawionym w centrum ołtarzem z wyrytą płaskorzeźbą. Przedstawiała ona oczodół i doczepione do niego siedem długich maczek, które oplatały stojącą obok grubą kobietę. Gdyby Ain nie potrzebowała pomocy, nie przyszedłby tutaj.

– Myślę – stwierdził w końcu duchowny – że będzie chciał je zobaczyć.

W doktorze wezbrał gniew. Przecież to bełkot! Bzdury! Absurd!

– Mamy narazić ciężarną na niebezpieczeństwo?! – Nie wytrzymał, ale wystarczyło jedno spojrzenie Alistera, aby się zmieszał. Otworzył usta i zająknął dwa razy, nim zaczął tłumaczyć: – Nott to groźna planeta. Lodowe burze, gejzery, niskie ciśnienie i temperatury. Nie powinniśmy polecieć tam wcześniej i sprawdzić, czy... syn boży – wycedził wbrew sobie – będzie tam bezpieczny?

Kapłan nie spuścił z niego wzroku i lustrował go jeszcze przez chwilę, aż w końcu skinął głową.

– Masz rację. Poza tym No’otira jako pierwszy powinien zobaczyć najwyższy kapłan. – Zawahał się. – Wylecimy nazajutrz. Będziesz mi towarzyszył, doktorze.

\*\*\*

Lądownik FFL-42 zawisł nad atmosferą planety, przybliżając się do niezbadanego obszaru Nott.

– Może powinniśmy zawrócić? – spytał doktor Celaeno, wyglądając przez okno.

W świetle błyskających piorunów można było ujrzeć sunącą po powierzchni, rozciągniętą na dziesiątki kilometrów burzę lodową, która – niczym ziemski cyklon – krążyła wokół niewielkiego obszaru na środku, z góry przypominając wielkie oko.

Między chmurami mignęła tafla ogromnego jeziora i znajdujący się nad brzegiem niewielki punkt, jakby coś kanciastego i metalowego... Nagle wpadli na jeden z ostrych, lodowych szczytów. Zerknął na radar – znizali się do poziomu chmur.

Szarpnęło. Szyby rakiety pokrył szron, a ściany – uderzane przez wielkie fragmenty lodu – zadudniły złowrogo. Celaeno chwycił mocniej za ster, próbując ręcznie odzyskać kontrolę nad statkiem.

– Zaraz się rozbijemy! – Doktor próbował przekrzyczeć panujący harmider. – Słyszysz, co mówię?!

– Głupcze! – ryknął najwyższy kapłan. – Lecimy na spotkanie ze Stwórcą! On nas ochroni!

Kolejny wstrząs o mało nie wyrwał pasów. Celaeno, mimo dudnienia w głowie, spojrział na panel sterowania. Żyroskop wariował, stracili łączność z Thorem i jedynie wariometr pokazywał spadek wysokości.

– Wiesz, gdzie ja mam waszego Stwórcę? W dupie! – Cały nagromadzony jad, cała ta trzymana w ukryciu pogarda i skrywana tygodniami nienawiść wezbrały, przekraczając cienką granicę, i wylały na zewnątrz. – Te wasze obrzędy, ten smród ryb, szukanie jakiegoś mitycznego boga, przecież to jest jakiś absurd! Brak wam zdrowego rozsądku...

Statek zarył w lód. Uderzenie wyrwało fotel z miejsca, zerwało pasy i cisnęło Celaeno o ścianę.

Obudził się w całkowitej ciemności. Z trudem łapał oddech – kłatkę piersiową przygniatało coś naprawdę ciężkiego. Przez dziury w kombinezonie powoli sączył się chłód, a powietrze zdawało się coraz bardziej zmrożone i ostrzejsze. Świszczał wiatr. W kabinie musiała być dziura, wpuszczając powietrze z zewnątrz. Doktor przeklął w duchu – bez helmu groziło mu zatrucie tlenowe.

– Pomocy! – nadał przez komunikator. – Zostałem uwięziony!

*Pomogę ci...*

Obrócił głowę, ale wciąż nic nie widział – a mimo to wyczuwał czyjąś obecność.

– Alister, to ty?

*Jestem tu... Nadchodzę... Pomogę ci...*

Powinien czekać na kapłana? Nie był pewien. Czuł niepokój, który wzmałgał się na myśl otajemniczym towarzyszu. Zaczął się szamotać, próbując wyslizgnąć się i oswobodzić. W końcu jednak legł na ziemi bez siły. Gdyby chociaż mógł uruchomić wizję niskiej podczerwieni i obejrzeć okolicę...

Poruszył gwałtownie ręką i poczuł ból. Gęsta ciecz spłynęła po jego palcu. Coś przebiło mu skórę, przygważdżając dłoń do obudowy statku. O mało nie zwymiotował.

Po lewej coś ślizgało się po metalu.

– P-panie – rozległ się nagle głos Alistera. Brzmiał jak cichy szept, ale Celaeno słyszał go wyraźnie, jakby słowa same płynęły przez jego głowę. – Panie, przyszedłem przed twe ob...

Zamilkł. Wiatr przybrał na sile.

Celaeno zamknął oczy i szarpnął dłonią raz jeszcze. Stłumił krzyk bólu. Była wolna. Szybko, zanim zdrętwieje, sięgnął do kontrolki kombinezonu i wcisnął odpowiednią sekwencję przycisków. Na jego soczewkach wreszcie pojawił się obraz.

Znajdował się w rozbitym lądowniku. Ściany wygięły się nienaturalnie do środka, zniszczony został również panel sterujący, wraz z wszystkimi kontrolkami. Ponadto kabinę wypełniał ciepły płyn, choć w goglach FIR doktor nie mógł stwierdzić czy był to wyciek paliwa, czy roztopiony lód. Dopiero po chwili zauważył Alistera, w podczerwieni świecącego się niczym anioł, który nieprzytomny – lub martwy – leżał pod dziurą w ścianie, wpuszczającą do środka śnieg.

Celaeno przeszedł dreszcz. Nad ciałem kapłana, od strony wyrwy, unosił się obiekt bez stałej formy. Jego trzon przypominał coś w rodzaju galarety, która ciągle przelewała się, falując w powietrzu. Jej powierzchnia co chwila nabrzmiewała, czasem tak szybko, jakby chciała eksplodować, by za chwilę znowu się skurczyć. Całość w pewien sposób przypominała lewitującą ośmiornicę. Z odwołka, jak nazwał go w myślach doktor, wystawało siedem długich i oślizgłych macek, każda zaś kończyła się inaczej niż pozostałe: jedna oklapnięta ciągnęła się po ziemi, drugą kończyła pełna setek klów paszcza, a jeszcze inna zdawała się świecić delikatnym blaskiem, porównywalnym do ciepła ludzkiego ciała.

Nagle istota obróciła się w kierunku inżyniera. Dopiero wtedy zobaczył jej wielkie oko.

*Widzę cię...*

*Widzę cię! Widzę cię!* – powtórzyło echo.

Istota przepłynęła nad Alisterem i zanurkowała w głąb statku. Celaeno zaczęła krzyczeć i niespokojnie wyrywać, rozrywając skórę o fragmenty metalu. Ból powoli go paraliżował, przez kończyny przeszły drgawki.

Ośmiornica nachyliła się nad nim, a coś mokrego i obślizgłego przykleiło się do czoła. Ciemna siła wdarła się do wnętrza jego umysłu, powoli sącząc jego zawartość. Wraz z kolejnymi wspomnieniami przewijającymi się mu przed oczami, Celaeno miał wrażenie, jakby pękały mistyczne nici łączące go ze światem. Stracił czucie w kończynach, skóra skamieniała. Odpływało z niego życie, odpływały wspomnienia, pozostawiając ledwie pustą skorupę.

\*\*\*

Ain ostatni raz spojrzała na unoszącą się w mroku planetę. Minęło kilka tygodni, a ona wciąż nie znalazła odpowiedzi na swoje pytania. Co to za miejsce? Jak się tu znalazła? Co to za statek? I dlaczego – do cholery – była w ciąży?

Gdy obudziła się w kajucie, nie pamiętając poprzednich kilku miesięcy, nie mogła powstrzymać płaczu; czuła się najbardziej samotną i zagubioną istotą we Wszechświecie. Miała wrażenie, że czegoś lub kogoś jej brakowało. Gdy już się pozbierała, systemy pokładowe zablokowały wejście do komory kriogenicznej – ze względu na dziecko, które operacja by zabiła. Ale teraz mały Orion leżał bezpiecznie w inkubatorze.

Jakiś głos mówił jej, żeby odwiedziła powierzchnię planety; można powiedzieć, że czuła pewien irracjonalny pociąg. Po tygodniach płaczu i cierpienia wołała jednak odlecieć stamtąd jak najszybciej – jeśli nie dla siebie, to przynajmniej dla syna. Chciała wrócić do cywilizacji, nawet jeśli wezmą ją za wariatkę.

Odwróciła się, zdjęła ubranie i otworzyła komorę kriogeniczną. Wzdrygnęła się, dotykając kawałków lodu. Z łaską No'otira za chwilę wstanie już w Barnardzie.

# Miasto, które nie widzi

Piotr Gruchalski

Krajobraz, jaki roztaczał się pod nimi, mógłby być piękny.

Właśnie, mógłby – przeszkadzał w tym fakt, iż wszystko przesłaniała mgła.

– Myślisz, że długo leciałbym na dół? – zagadnął Mikail.

– Tak. Wystarczyłoby czasu, żebyś napisał list pożegnalny, wysłał, a Arlena po przeczytaniu zdążyłaby wyjść popatrzeć, jak roztrzaskujesz się o ziemię.

– Spadaj.

Mikail szturchnął go – po przyjacielsku, ale serce Skaciusa na moment zabiło mocniej. Stał przecież na tarasie widokowym, tuż przy barierce. Taras znajdował się zaledwie w połowie wysokości Spirali, ale i tak było to ponad półtora kilometra nad ziemią.

– Przez ciebie prawie spadłem, idioto – burknął Skacius. – Przestań się wydurniać i bierz się za paczki. – Zerknął w dół. – Muszę sobie załatwić jakiś amulet chroniący przed upadkami...

– No pewnie! Byłoby głupio, gdyby czołowy mag poczty rozkwasił się na chodniku.

Mieszkańcy Dordii nie wiedzieli, jakich czarów użyli starożytni, by wznieść Spirale – monumentalną budowlę górującą nad ich małym światem. Po nadejściu mgły i tak wszystko się zmieniło. W mieście, w którym czasami nawet przedmioty trzymane w wyciągniętej ręce przestawały być widoczne, Spirala oferowała ludziom jedyną szansę na cieszenie się promieniami słońca.

Miała też wiele innych zastosowań, na przykład stanowiła świetny punkt zrzutu pszczół pocztowych.

Mikail rozkładał na tarasie paczki, które wwieźli ze sobą – setki drobnych przesyłek, prezentów i listów, wrzucanych codziennie przez Dordian do czte-



rech skrzynek u podstawy Spirali. Potem przypinał je do pasków pszczół, wybudzanych kolejno przez Skaciusa, który następnie rzucał zakłęcie lokalizujące.

Pszczola pocztowa była zbyt słaba, by unieść taki ciężar choćby na centymetr. Mogła jednak ciągnąć paczkę za sobą na małym spadochronie, tak zwanym „lotniku” – a z takiej wysokości startowej zdołałaby dotrzeć z nią gdziekolwiek.

– To ta duża – powiedział Mikołaj, podnosząc kolejną przesyłkę. – Dwie pszczoły wystarczą?

– Dwie muszą wystarczyć. Szukajmy oszczędności, gdzie się da. – Skacius przyjrzał się paczce. – Nie wiem, czy mamy takiego wielkiego lotnika. Może trzeba będzie... – skrzywił się. – Kurwa, ależ ona śmierdzi! Pozbądźmy się tego jak najszybciej.

Zrzucili paczkę z dwiema pszczołami i lotnikiem skleconym naprędce z dwóch innych. Żaden z pocztowców nie zająknął się słowem, co im przywoździ na myśl jej kształt. Rozmowa, a nawet spekulacje o zawartości przesyłek pocztowych były zakazane.

A jednak obu przyszło na myśl to samo, a podejrzenia jeszcze bardziej uwydatnił okropny zapach.

Obiekt, który właśnie wysłali do odbiorcy, przypominał ludzką głowę.

\*\*\*

Najstarsi mawiali, że mgłę zesłał na Dordię bóg morza, niezadowolony z tego, że mieszkańcy wylawiają z wody zbyt wiele ryb. Według legendy, rozgniewane bóstwo przekląło miasto, które miało odtąd nieustannie dusić się w fetorze i błędzić w oparach.

Niezaprzeczalny fakt był taki, że mgła śmierdziała rybami. Do zapachu nie można było przywyknąć: czuło się go ciągle za dnia i w nocy, wszędzie tam, dokąd sięgały opary – czyli w całym mieście, nie licząc Spirali. Budowla składała się z czterech skrzyżowanych filarów, a każdy z nich był w innym, wyrazistym kolorze. Sięgały ponad poziom mgły – tak wysoko, że gdyby porównać Spiralę do człowieka, to chmura sięgałaby jedynie do kostek.

Młodzi, którzy śmiali się z głupoty starców, twierdzili, że mgła to wytwór miejskich fabryk mączki rybnej. Budowali sobie domy na skraju miasta, gdzie opary stopniowo nikły, ale ich miny rzedły, gdy po kilku dniach od wprowadzenia się nie widzieli już nic za oknami.

A potem mgła wciskała się też do środka domów.

\*

– Podobno Gildia Nauki już prawie rozgryzła, jak działają wózki – mruknął Skacius, obierając kolejnego ziemniaka.

*Wielki mag musi harować w kuchni. Poniżające.*

– Może wkrótce będziemy wjeżdżali na sam szczyt Spirali... – dodał.

– Dokładnie tak samo mówili w zeszłym roku. Dobrze wiesz, że nic z tego nie będzie. A zresztą ciągle nie rozumiem, po co chcesz się pchać tak wysoko, skoro już z tarasu poczta obejmuje zasięgiem całe miasto – odparowała Arlena, zeskrobując łuski z ryby.

– Skat będzie z wierzchołka łapał słońce – rzucił Mikołaj z pokoju obok. Codziennie dwoje z nich przyrządzało posiłki, a trzecia osoba mogła się byczyć.

W sąsiednim domu rozległa się powolna, poważna muzyka; ktoś głośno zaprotestował, a grający natychmiast zmienił utwór na znacznie żywszy.

Skacius westchnął.

– Słońca nie można „złapać” – stwierdził zrezygnowany.

– A księżyc?

– Ech... księżyc można, jasne, potrzebny będzie tylko odpowiednio duży pojemnik. Zrobimy jeden z twojej czaszki, w środku i tak nic nie ma, przestrzeń tylko marnujesz.

Obaj zarechotali, co Arlena skwitowała krótkim:

– Mężczyźni.

Muzyka znowu uległa zmianie, najwyraźniej wreszcie trafiając w gust słuchaczy. Zaczęły się śpiewy.

Jeśli rola wzroku w życiu codziennym maleje, powstaje naturalna potrzeba, by lukę wypełnić pozostałymi zmysłami. Dlatego każdy dom w Dordii

przez całą dobę wypełniały rozmowy, piosenki i dziesiątki innych dźwięków.

– Trudno to wytłumaczyć... Naukowcy myślą bardziej praktycznie, chcą zapobiec sytuacji, w której zostaniemy bez wózków. Kiedy zepsuł się ten z filaru południowego, wszyscy...

– *POŻAR! PŁONIE DOM PRZY ULICY KAMIENNEJ 14!*

Zakłęcie Alarmu rozeszło się nad całym miastem. Arlena jęknęła.

– Znowu jakiś wypadek? W zeszłym tygodniu topielec, potem zawałiła się ta ściana w fabryce... a kiedyś było spokojnie...

– I co, może jeszcze powiesz, że dawniej mgła była rzadsza – burknął Skacius.

\*\*\*

– Skat...

– Czego?

– Ta paczka cuchnie jeszcze gorzej niż poprzednia...

Właśnie zebrali zawartość ostatniej skrzynki pocztowej i Skacius już miał wsiadać do wózka, kiedy usłyszał narzekającego Mikaiła. Zirytowany przepuścił grupę rozchichotanych dzieciaków, która wypełniła cały wagon i pomknęła w górę. Więcej oczekujących chwilowo nie słyszał.

– Przestań biadolić – zrugął przyjaciela, podchodząc do niego. – Weź się w garść...

I wtedy poczuł swąd.

Paczka była znacznie mniejsza niż ta, na którą kilka dni temu zużyli dwie pszczoły. Wydzielala jednak mocniejszy zapach – odór spalonego, zepsutego mięsa. Mikaił obrócił ją kilkukrotnie w rękach, przyglądając się uważnie.

– Masz rację – wydusił w końcu – cuchnie. Ale i tak musimy ją nadać.

– Wiesz, stary... mam wrażenie, że to może być...

– Zamknij dziób!

– ...czyjaś dłoń. Odcięta i nadpalona.

– Zamknij dziób, natychmiast! Nie wolno o tym rozmawiać!

Mikail, niezrażony, ciągnął:

– Pomagałem wynosić kiedyś rannych ze spalonego domu. Pamiętam dobrze tamten zapach, czegoś takiego się nie zapomina. To jest właśnie ten swąd, Skat. Smażona ryba pachnie inaczej i nie wzmówisz mi, że to zwierzęce mięso...

– Przestań. Po prostu przestań. Jedziemy na górę, wysyłamy paczki, wracamy do domu, zapominamy o sprawie. Zgoda?

A jednak, kiedy zrzucali paczkę z tarasu Spirali, Skacius mimowolnie zauważył, że jej tajemniczy odbiorca wydaje się mieszkać po przeciwnej stronie miasta niż ten, któremu poprzednim razem wysłali ludzką głowę... *Stop! Dostosyć! Na pieprzoną mgłę, co się ze mną dzieje?!*

\*\*\*

Następnego nocy spał kiepsko. Dręczyły go koszmary o topielcach, pożarach i walących się ścianach. I nawet kiedy już wstał z łóżka, ciągle miał wrażenie, że te trzy zdarzenia coś ze sobą łączy.

– Muszę się przejść – wymamrotał, kiedy poczuł zapach śniadania, oczywiście w postaci pieczonej ryby. – Ochłonać.

Arlena i Mikail zadawali jakieś pytania, które nie docierały do świadomości Skaciusa. Odpowiadał chrząknięciami. Ubrał się – nie zapominając o amulecie, który kupił sobie kilka dni wcześniej – i wyszedł na zewnątrz. Pojawił się słaby wiatr, który nigdy nie przeganiał mgły. Fetor był tego ranka wyjątkowo obrzydliwy.

Magowi przypatrywała się Sasza, mająca jakiś przyrząd na oczach. Najwyraźniej świetnie widziała we mgle, bo ruszyła za swoim celem, idąc kilkadziesiąt metrów od niego.

Skacius rozmyślał, krążąc po mieście. Trzy wypadki śmiertelne w ciągu tygodnia – to już wystarczający powód do zmartwienia, ale sposób, w jaki ci ludzie zginęli... Ostatnie wydarzenia zaczynały przypominać coś powiązanego z magią żywiołów: starą i zapomnianą dziedziną, o której wiedziano stosunkowo niewiele.



Z początku bezwiednie, ale od pewnej chwili świadomie, kierował się w stronę budynku Gildii. Pomagały w tym znaki informacyjne, naniesione na ścianie każdego budynku – widoczne nawet z odległości kilku metrów, bo stworzone za pomocą świecącej farby. Na miejscu odszukał bibliotekę, co nie przyszło mu łatwo, jako że nie był tam od czasu ukończenia nauki. Zagadnął bibliotekarza:

– Witaj, bracie... – Cholera, jak on miał na imię? Walezjan? Walencjusz?  
– ...Walencjuszu, potrzebuję dostępu do pewnej książki.

– Nieczynne – odburknął tamten. – Prace renowacyjne.

– Ale to ważna sprawa, mam straszne podejrzenia, że ktoś próbuje wykorzystać żywioły do... – Umilkł na moment. – Do czegoś złego.

– Po pierwsze: już powiedziałem, że renowacja. Po drugie: *Elemental*, czyli jedyna książka o żywiołach, już jakiś czas temu trafiła do prywatnych zbiorów starszego brata Siergieja, który pracuje nad jej tłumaczeniem. A po trzecie – bibliotekarz nachylił się, by mogli sobie spojrzeć w oczy – na imię mam Walezjan.

\*\*\*

Z trudem udało mu się uzyskać adres starszego brata Siergieja. Mieszkał po drugiej stronie miasta, dlatego Skacius najpierw wrócił do własnego domu i szybko zjadł resztki pozostałe ze śniadania.

– Muszę iść. Mam coś pilnego do załatwienia – powiedział, wstając od stołu.

– Skat... przecież dzisiaj oboje mamy wolne, mieliśmy spędzić trochę czasu razem... – zmartwiła się Arlena.

– Wróć najszybciej, jak się da – obiecał i pocałował ją na pożegnanie.

Po niemal godzinie marszu przez Dordię mag dotarł pod wskazany adres. Nie uszło jego uwadze, że spalony niedawno dom znajdował się po drugiej stronie ulicy. Zapukał do drzwi.

– Starszy bracie Siergieju? – zawołał, kiedy nie doczekał się reakcji. Odpowiedzi nadal nie było, więc popchnął lekko drzwi, by sprawdzić, czy aby na pewno są zamknięte.

Otworzyły się gwałtownie. Skacius wpadł do środka domu i zobaczył jakąś postać z dziwacznymi goglami, a potem poczuł uderzenie w głowę i stracił przytomność.

\*\*\*

– Jak zabić kogoś powietrzem?

Powoli odzyskiwał świadomość. Słowa docierały do niego jakby z oddali. Stęknął. Rozmówczyni, niezadowolona z takiej odpowiedzi, wylała cały kubek zimnej wody na głowę maga.

– Pytam jeszcze raz. Jak zabić kogoś powietrzem?

– Co jest, kurwa!? – Skacius szarpnął się, ale niewiele to dało: był przywiązany do jakiegoś krzesła. Sądząc po oświetleniu, zamknięto go w piwnicy.

– Ratun...

Poczuł nóż na gardle i zamilkł.

– Będziesz cichutki jak myszka, jeśli chcesz przeżyć – wysapała kobieta.

Przerażony, a w dodatku ciągle niezupełnie przytomny, przyjrzał się swo-

jej oprawczyni. Była młodsza od Arleny i miała ładną twarz, ale w jej oczach płonęło szaleństwo.

– Utopiłam pierwszego i wysłałam serce na północ. Drugiego zasypałam kamieniami i wysłałam głowę na wschód. Trzeciego spaliłam i wysłałam dłoń na zachód. Po drodze było kilka niewypałów. Zostało powietrze, oko, południe, i już nie mogę sknocić sprawy. A stary nie umiał przetłumaczyć tego fragmentu. Jak zabić kogoś powietrzem?

Skacius wziął głęboki wdech.

– *Onye mmekpa...* – zaczął zakłęcie, ale natychmiast przerwał, kiedy nóż naciął skórę. Wrzasnął.

– Chcesz skończyć tak jak on? Na dnie morza, z rybkami wyjadającymi narządy wokół wyciętego serca? Bo jeśli nie, to przestaniesz mamrotać te swoje inkantacje i grzecznie odpowiesz na pytanie.

– Nie studiowałem magii żywiołów, nie mam pojęcia, jak zabić powietrzem! Wypuść mnie!

– Spróbuj coś wykombinować. Jesteś magiem czy nie?

Myślał tylko o kawałku zimnej, naostrzonej stali, który tak łatwo mógł przeciąć jego więź z życiem. *Skup się, skup się...*

– Udusić? – wyrzucił w końcu z siebie. Poczuł, że nacisk noża nieco słabnie.

– Nie, głuptasie, to byłaby śmierć z braku powietrza. Księża wspomniała, że uduszenie nie zadziała.

– Nie wiem, do cholery, nie wiem! Może wywołaj tornado... – Zbyt późno uświadomił sobie, co mówi. – Na mgłę, nie, nie wywołuj tornada! To była tylko luźna sugestia!

Kobieta przekrzywiła głowę, zaintrygowana. Opuściła nóż.

– *Elemental* zawiera rytuał huraganowego wiatru, ale sam wiatr nie może nikogo zabić, prawda? To przedmioty, które niesie ze sobą, miałyby szansę wyrządzić szkody. Ale widzę, że zaczęłaś wysilać mózdzek. Próbuj dalej.

Skacius postanowił grać na czas, aż nie wpadnie na coś lepszego.

– Co próbujesz osiągnąć?

Zaśmiała się.

– Nie myśl nad takimi drobiazgami, kochanieńki. Niech twoja śliczna



główka zastanawia się lepiej nad tym, co jej nakazałam.

*Umrę tak czy siak – zrozumiał mag. Jeśli nic nie wymyślę, zabije mnie z frustracji. Kurwa. Jeśli COŚ wymyślę, sam zostanę obiektem doświadczalnym. Kurwa mać.*

I wtedy przyszedł mu do głowy plan.

– Trzeba zrzucić ofiarę z tarasu Spirali. Zabije ją sam pęd powietrza – oznajmił, błagając wszystkich bogów, by kobieta uwierzyła w tę bajkę.

\*\*\*

Kiedy prowadziła Skaciusa przez miasto, obejmowała jego szyję tak, by z jednej strony wyglądało to niewinnie, a z drugiej – by móc cały czas trzymać nóż przy samej tętnicy. Mag cały czas modlił się, by jego plan zadziałał.

– Dziadek na pewno byłby dumny – stwierdziła radośnie kobieta.

– Jesteś wnuczką starszego brata Siergieja? – zapytał, zszokowany.

– Sam mnie poprosił o pomoc w tłumaczeniu! Mam talent do lingwistyki, no i rozszyfrowałam kilka akapitów, ale szybko zrozumiałam, że nie tylko o to mu chodzi... Och, deszcz! To działa, widzisz?

Kilka kropel padło na twarz Skaciusa. Poczul też, że zrywa się wiatr, a gdzieś w oddali zagrzmiało.

– Żywiły już wiedzą! Cudownie!

– Powiedz, po co to wszystko – poprosił, widząc, że koncentracja jego obłąkanej towarzyszki słabnie... i czy tylko mu się wydawało, czy ziemia zaczęła drżeć?

– Ach, muszko, trybiku maleńki! To rytuał rozpędzenia mgły! Cztery strony świata, cztery członki ciała, cztery ofiary złożone na przebłaganie żywiołów! Odwrócę klątwę, którą zrzucili na to miasto budownicзовie Spirali! Wsiadaj do wagonika, szybciotko, póki nikogo nie ma.

Myśli wirowały jak szalone w głowie maga, kiedy pojazd wspinał się po filarze. Czy to możliwe? Co prawda nie zamierzał dać się zarżnąć jak ryba, nawet za coś takiego, ale jeśli teraz przerwie rytuał...

Kiedy wzniesli się ponad poziom mgły, zobaczył czarną jak noc chmurę



burzową, przesłaniającą pół nieba – właśnie zniknął w niej wierzchołek budowli. Nadchodziła od strony rozszalałego morza, w którego powierzchnię uderzały pioruny.

\*\*\*

– Mogłabym po prostu rzucić cię na południową stronę...

– Tak! To znaczy... dlaczego „mogłabym”?

Omiotła go podejrzliwym spojrzeniem. Huragan przybierał na sile, a wibracje gruntu przenosiły się po filarach Spirali aż na taras.

– Wiatr może znieść ciało na wschód albo zachód. Muszę mieć pewność, że przynajmniej ta część wylądjuje na południu.

Zanim zdążył zrozumieć, o co chodzi, kobieta już trzymała zakrwawione oko w palcach, a połowa świata maga zniknęła za czerwoną zasłoną. Zawył i rzucił się na tą, która go okaleczyła, ale ona ze śmiechem uskoczyła, a następnie chwyciła wrzeszczącego Skaciusa od tyłu i uniosła, jakby był małym dzieckiem.

– Żywioty dają mi siłę! Żegnaj, muszko!

I cisnęła go przez barierkę.

Oszołomiony bólem, na wpół ślepy, spadał jak kamień. Burza wirowała wokół, ale nie umierał – powietrze nie mogło w ten sposób zabijać. Wśród ryku wiatru słyszał jakieś nieludzkie głosy, widział niewyraźne postacie... a może tylko miał halucynacje?

Twardy grunt, przesłonięty mgłą, szybko się przybliżał. Mag nie mógł wykrztusić żadnego zaklęcia, ból i wiatr wypełniały cały świat. Nie istniało już nic innego.

Ręka odnalazła ukryty pod koszulą amulet i ścisnęła ze wszystkich sił.

\*\*\*

Sasza sunęła w dół Spirali, zła, że wagonika nie da się w żaden sposób przyspieszyć. Była już tak blisko celu...

W pewnej chwili wyczuła, że coś w otaczającej ją aurze się zmieniło.

- Nie umarł – wyszeptał wiatr.
- Oszukał mnie? Ale ziemia go przyjęła, prawda?
- On żyje. Nie zginął ani od powietrza, ani od ziemi – zaszumiał deszcz. Kobieta zaniemówiła.
- Mamy już dość twoich nieudolnych prób – zagrzemiał piorun.
- Pokażemy ci, jak zabija powietrze – wymruczała skała.
- Ja...

Ciśnienie zaczęło gwałtownie wzrastać, a wokół Saszy utworzył się wir, kierujący powietrze ze wszystkich stron do wewnątrz. Oddychanie nagle stało się bardzo trudne.

- Z-zaczek-kajcie! M-mogę t-to... nnn...

Ale żywioły nie przemówiły do niej więcej. Kilka minut później pojazd wrócił na ziemię, wioząc zmiażdżone ogromnym naciskiem powietrza ciało.

\*\*\*

Szkody, jakie wyrządziła burza i niewielkie trzęsienie ziemi, szybko naprawiono. Księgę żywiołów przeniesiono z powrotem do biblioteki i ukryto w specjalnie zabezpieczonym sejfie. Ekshumowano anonimowego topielca, który po oględzinach rzeczywiście okazał się trupem starszego brata Siergieja, i pochowano w katakumbach Gildii. Spalono ciało Saszy, zmarłej w niewyjaśnionych okolicznościach, a popioły wrzucono do morza – nikomu nie przyszła do głowy myśl, by rozsypać je na południowych wzgórzach.

Mgła osnuwała Dordię tak jak dawniej. Porządek świata nie został zakłócony.

I nawet kiedy po wielu latach Skacius został starszym bratem Skaciusem, a w pracy pocztowca zastąpił go ktoś młodszy, nadal nosił na szyi amulet, który tamtego dnia ocalił mu życie.

# Jaś i mała Zosia

Grzegorz Kałużny

– Widzisz, nie było wcale tak strasznie – powiedział Jaś.

– Było – odpowiedziała mała Zosia, choć jej słowom przeczył filuterny uśmiech wyłaniający się zza burzy ciemnych włosów.

Chłopiec spojrział przez ramię na wiejskie zabudowania. Codziennie po lekcjach odprowadzał dziewczynkę na skraj lasu, gdzie mieszkała w niewielkiej chatce. Szli przez całą wieś: od znajdującej się obok kościoła szkoły, przez ruchliwą drogę powiatową, mijając pocztę i sklep, aż do łąk i pastwisk. Dalej podążali małą uczęszczaną, zaniedbaną dróżką, która stopniowo zamieniała się w piaszczysty trakt, powoli niknący pośród pól, aż do linii drzew.

Jaś raz po raz pozdrowiał mijanych mieszkańców, czy to siedzących na spróchniałych ławeczkach, czy to leniwie poganiających gospodarskie zwierzęta, czy to wygrywających hejnały pod sklepem spożywczym na swoich kolorowych, bulgoczących trąbkach. Wszystko było naturalne i swojskie. Toczyło się swoim spokojnym rytmem przez lata, przez całe życie Jasia. Czego tu się bać?

Zosia bardzo się bała. Tłoku przed kościołem i pocztą, kiedy wychodzili z Jasiem ze szkoły. Pędzących powiatową drogą ciężkich, metalowych pojazdów. A w miarę jak szli coraz dalej, również unurzanych w biedzie podwórek, często z wściekle szczekającymi potworami na łańcuchach.

Najbardziej jednak obawiała się ludzi i ich twarzy, wyglądających jak pomarszczone demoniczne maski z ledwo widocznymi oczami, wąskimi od skupienia. Przerażał ją widok zbryzganych tanim winem ust, spluwających flegmą, dobywaną wprost z wyżartych przez nikotynę płuc.

Nawet wiejska ziemia, zanieczyszczona cywilizacją, wyglądała i pachniała inaczej niż aromatyczna leśna ściółka. Zabetonowane skrawki niedaleko kościoła i poczty, popękane jak strupy, przyprószone sadzą i śmierdzące spa-

linowymi wyziewami: czy może być coś bardziej okropnego? Bliżej lasu wcale nie było lepiej. Przydomowe ogródki i pola cuchnęły gównem z wylanego szamba oraz chemią w granulkach, sypaną obficie niczym kokosowe wiórki na czekoladowe ciasto.

Zosia lubiła czekoladowe ciasto, lubiła też Jasia, który codziennie po szkole odprowadzał ją do domu.

– Naprawdę, w całej wsi nie ma się czego bać – przekonywał dalej Jaś. – No, może z wyjątkiem tego jednego starego domu.

– Który dom masz na myśli?

– Ten na końcu wsi, no ten, w którym straszy. Mieszkał w nim kiedyś stary Paluch.

– Ach tak, ten.

Zosia do swojej listy strasznych rzeczy we wsi dodała jeszcze jedną.

– Przyjdiesz do mnie w sobotę? – Zmieniła po chwili temat.

– Przyjdę – potwierdził chłopiec. – Przecież obiecałem.

– Pamiętaj tylko, że herbatka dla lalek zaczyna się o siedemnastej.

Zosia pożegnała się i poszła dalej, ścieżką prowadzącą do leśniczówki. Jaś wrócił do wsi, zastanawiając się, jak skrócić sobotnie męki. Kochał Zosię jak młodszą siostrę, ale perspektywa spędzenia popołudnia z nią i lalkami wydawała mu się teraz dużo mniej atrakcyjna, niż kiedy wyrażał swoją pochopną obietnicę.

\*\*\*

Kornel Paluch obserwował, jak Dawid wielkimi łapami układa lalkę uszytą ze szmatek w oknie domu jego dziadka.

Dziadunio zmarł dobre piętnaście lat temu i od tego czasu budynek stał zupełnie pusty i niszczał. Kornel nie miał zamiaru nigdy tutaj wracać, dobrze żyło mu się w Warszawie. Mimo że rzucił studia, matka wciąż wysyłała pieniądze dwa razy w miesiącu, a czasem dostawał coś ekstra od ojca, który ich zostawił. Życie nie umiera! Wszystko się zmieniło, kiedy młody Paluch odkrył kryształ. Pieniądze z jego kieszeni popłynęły do szemranych sprzedawców

chemicznego szczęścia szybciej niż ścieki do Wisły. Wkrótce Kornela nie było już stać nie tylko na kolejne działki, ale również na towary pierwszej potrzeby, jak choćby papierosy. Wziął chwilówkę, potem kolejną, a potem jeszcze jedną. Pieniądzy jednak nie przybywało, wręcz przeciwnie, Kornel odnosił wrażenie, że im więcej ich miał, tym szybciej je tracił. Ostatecznie podjął decyzję o ucieczce na zapadłą wieś przed smutnymi panami z firmy windykacyjnej, którzy zajęli jego konto bankowe i koczowali przed klatką schodową bloku, łakomym wzrokiem patrząc na telefon czy markowe buty.

Zanim wyjechał, wziął ostatnią pożyczkę i wyprawił pożegnalną bibę, jak na prawdziwego imprezowicza przystało. To właśnie wtedy, po kilku działkach białej spódniczki, Dawid zaproponował, że zabierze się z nim i dla draki odstawią szopkę z nawiedzonym domem. I tak nie miał co ze sobą zrobić, po wyjściu z więzienia rodzina się od niego odcięła, a mijani w Warszawie dawni znajomi zwykle na jego widok przechodzili na drugą stronę ulicy. Kornelowi w tamtym momencie udawanie duchów wydawało się wspaniałym pomysłem, a Dawid równie wspaniałym towarzyszem.

Niestety okazało się, że mieszkańców wsi nie tak łatwo przestraszyć. Po kilku tygodniach nocnych hałasów, dzwonienia łańcuchami i trzaskania popękanymi okiennicami uzyskali tylko pogardliwe splunięcia przechodniów mijających dom. Ewentualnie „na psa urok” szeptane pod nosem. Nieco więcej zainteresowania okazały dzieci, naturalnie obdarzone bujną wyobraźnią.

– Chcesz zwabić tutaj tę dziewczynkę? – zapytał Dawida, który wciąż ugniatał lalę na parapecie.

– Chcę, żeby coś się wreszcie zadziało – odpowiedział, odwracając twarzą w stronę szyby. – Zwariować można z nudów.

Dawid szybko się nudził. Kornel pamiętał, jak w jednym klubie jego kolega od kieliszka rozbił butelkę wódki na głowie didżeja, który puszczał zbyt wolne utwory. Wywołało to panikę, a Dawid nie omieszkał wpierw kierować ewakuacją, by szybko przejść do rozdawania kuksańców i torowania sobie drogi do wyjścia przy pomocy łokci i wielkich jak bochny pięści.

Innym razem Dawid rzucił pokalem w stolik, przy którym bawiły się dziewczyny na wieczorze panieńskim. To był piętrowy lokal, szkło spadło

z balkonu i rozbiło się na setki ostrych kawałeczków. Dawid potem także interweniował, wzywał karetkę i pobił barmana, który śmiał zasugerować, że kolega Kornela miał coś wspólnego z tą całą chryją.

– Spierdolić coś, a potem naprawić – powiedział kiedyś po takim wybryku. I to była właśnie recepta Dawida na nudę.

Kornelowi przypomniało się coś jeszcze.

– Ty, Dawid...

– No?

– A za co ty siedziałeś, tak w ogóle?

– Za niewinność.

– No, powiedz.

– Aaaaa.... Taka jedna młoda dupeczka mnie oskarżyła. Że ją molestuję czy coś... A sąd, jak to sąd, łyknął ściemę jak pelikan.

– Jak bardzo młoda była?

– Nie pamiętam, szesnaście czy coś...

– Ale tej tutaj nie będziesz molestował?

– Nie wygłupiaj się, nastraszymy ją tylko. Leć po łańcuchy z piwnicy, będziesz potępieńcem.

\*\*\*

Zosia nie pokazała się tego dnia w szkole, co zaniepokoiło Jasia. Następnego ranka u dyrektorki pojawił się policjant, a chłopiec usłyszał, że dziewczynka nie wróciła na noc do domu.

Zresztą wkrótce policjant zwrócił się bezpośrednio do chłopca po wywołaniu go z lekcji przyrody.

– Chcę ci zadać kilka pytań.

Jaś spojrział na niebieski mundur i śmiesznie przekrzywioną na głowie męzczyzny czapkę. Chłopiec kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Wczoraj po południu byliśmy u ciebie w domu, ale nikt nie otwierał. Pani dyrektor mówi, że nie macie telefonu.

– Pod wieczór zwykle medytujemy, odcinając się od zewnętrznego świa-

ta. A co do telefonu: rodzice uważają, że technologia ma na mnie zły wpływ.

Jasiowi wydawało się, że policjant chciał o coś jeszcze zapytać, ale się powstrzymał. Mundurowy wymamrotał coś bardzo niewyraźnie, chłopcu wydawało się, że usłyszał “chore pojebny”. Ale równie dobrze mogło to być “różne potrzeby”.

Mężczyzna odchrząknął.

– Zosia nie pojawiła się wczoraj w szkole i nie wróciła na noc do domu. Czy masz jakiś pomysł, gdzie może się znajdować?

– Nie wróciła do domu? – zapytał niepewnie chłopiec.

– Nie ma jej od wczoraj, rodzice szaleją z niepokoju. Cała wieś przesłuchana, obecnie prowadzimy poszukiwania w lesie. Pani Julka w sklepie została postawiona w stan najwyższej gotowości, ma nam dać znać, jak tylko coś zauważy lub usłyszy. Znasz może jakieś miejsce, które Zosia bardzo lubi?

– Naprawdę swobodnie czuje się tylko w lesie, boi się wioski i wszystkiego co z nią związane.

– Rozumiem. – Policjant zanotował coś w zeszytce. – A czy jest coś co szczególnie ją interesuje?

– Raczej nie. Uwielbia lalki, często urządza dla nich przyjęcia w altance obok leśniczówki.

– Tak, sprawdzimy to miejsce, dzięki. – Policjant zapisał kilka dodatkowych uwag a następnie podniósł wzrok znad notatek. – Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze. Ty jesteś Jasiu, nie?

Chłopiec kiwnął głową, zastanawiając się jednocześnie w jaki sposób policjant mógł tak szybko zapomnieć, z kim rozmawia.

– Na pewno znajdziemy Gosię. A teraz zmykaj na przyrodę.

– Zosię.

– Tak, tak, Zosię też - wymamrotał policjant, przeglądając swoje notatki.

Chłopiec uznał, że nie może zdać się na służby mundurowe w sprawie uratowania dziewczynki. Postanowił, że zaraz po lekcjach wyruszy, żeby samemu odszukać przyjaciółkę. Zacznie w lesie, bo przecież w nim najłatwiej się zgubić. Może jakieś zwierzę zaatakowało Zosię i teraz leży półprzytomna i cierpiąca. Nie mógł znieść tej myśli, musiał działać.

Po wyjściu ze szkoły Jaś spotkał księdza proboszcza, który pogłaskał go po głowie, kiedy usłyszał o tych wszystkich zmartwieniach. Potem dał mu cukierka i polecił przybiec do kościoła, gdyby on lub dziewczynka znaleźli się w tarapatach.

Przed skrzyżowaniem wiejskiej drogi z powiatową asfaltówką, Jasia zagadnęła pani Krysia, która pracowała w pocztowym okienku i wyszła akurat na przerwę. Jej szczupłe palce zakończone długimi paznokciami zdrząły, kiedy zwierzył się ze swoich niepokojów. Z emocji niemal wypuściła papierosa, którego raz po raz namiętnie przyciskała do ust.

– Ja też przyjdę dziś do księdza proboszcza. Zarządziliśmy we wsi poszukiwania, zbiórka w kościele.

Jaś tylko kiwnął głową. Pomyślał, że jeżeli dorośli zaczynają się bać, to być może coś naprawdę złego się wydarzyło. Przyspieszył kroku.

Staruszkowie przesiadujący na ławeczce postanowili spuścić na noc psy.

– Będą szczekać, jeśli we wsi pokażą się obcy.

Nawet grupka pod sklepem zadeklarowała, że przyjdzie wieczorem do kościoła, jeśli Zosia do tej pory się nie znajdzie.

Chłopiec już prawie biegiem dotarł do końca drogi, gdzie zaczynał się las. Zanim wszedł między drzewa, obejrzał się jeszcze raz na wieś. Z komina opuszczonego domu starego Palucha unosił się dym. *Dziwne*, pomyślał. *Przecież nikt tam nie mieszka*. Jaś zmienił zamiary i podszedł bliżej.

Od kilku tygodni dom nazywano nawiedzonym, bo dochodziły z niego dziwne odgłosy, tak jakby sam stary Paluch wrócił zza grobu i awanturował się, co miał dawniej w zwyczaju, gdy za dużo wypił. Ludzie mówili, że po śmierci dalej chlał i złorzeczył światu.

Zabłocone, skryte w mroku obejście straszło już na powitanie niepełnym użębieniem plotu; część desek zbutwiała, wydzielając przykry zapach. Szary tynk odpadał płatami ze ścian budynku niczym niezdrowy naskórek, ukazując różową cegłę pod spodem. Wybite okno na piętrze, przez które widać było gruz i kawałki zawalonego dachu, przypominało przymknięte z obrzydzenia oko. To, co zainteresowało Jasia, znajdowało się w oknie obok. Na parapecie siedziała ulubiona lalka Zosi, uszyta z kolorowych szmatek.



Drzwi wisiały na jednym zawiasie. Ustąpiły bez przeszkód popchnięte dziecięcą dłonią. Buchnęło odorem ryby i cebuli. Jaś powoli posuwał się do przodu po połamanych kafelkach, omijając zwisające ze ściany kable. Dotarł do schodów i zaczął wspinać się na piętro. Drewno jęczało pod stopami niczym żywe stworzenie. Chłopiec przekroczył zwałoną belkę stropową i wyszedł na niewielki korytarzyk. Skierował się wprost do pokoju z lalką.

Zosia leżała na poplamionym, wąskim materacu. Była związana łańcuchem, miała porwaną sukienkę i rajstopy, a przez dziury w sweterku prześwitowała zakrwawiona skóra. Dziewczynka jęknęła cicho i otworzyła oczy. Jaś natychmiast do niej doskoczył i zaczął szarpać łańcuch, którym była owinięta.

– To ryby, Jasiu...

– Cicho, Zosiu, wszystko będzie dobrze.

– Zaczynają wokół kostek, szorstkim językiem łaskoczą skórę. Potem przesuwają się wyżej...

– Wszystko będzie dobrze.

– I wyżej...

– Uratuję cię.

– Aż gryzą do krwi!

Szarpanie na nic się zdało. Jaś metodycznie zaczął obmacywać łańcuch w poszukiwaniu słabego ogniwa.

– Zaraz cię uwolnię.

– Ryby, Jasiu, uciekaj. Jasiu! Uciekaj!

Chłopiec spojrział w stronę drzwi. Stał w nich ogromny mężczyzna, wypełniając sobą całą futrynę. W zaciśniętej dłoni trzymał gruby kij.

\*\*\*

Dawid nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Poprzedniego dnia ta mała wywłoka złapała się na lalkę w oknie, a teraz dał się zwabić jej szczupły, jaśnowłosa koleżka. Mężczyzna szybko dokończył rybę z puszki i rzucił opakowanie na niewielki stosik śmieci pod oknem. Przegryzł cebulą i chwycił za prowizoryczną łagę wystruganą z resztek zwałonego dachu.



*Tak – myślał sobie – tacy chłopcy to najlepsze, co może człowieka w życiu spotkać. Smukłe ciałko naciągnięte na za duże kości, wrywające się z objęć, jakby uciekało przed samym diabłem. Jędrna, pachnąca chłopięcym potem skóra, opalona od biegania po polach, łąkach i szkolnych orlikach. Inna niż u dziewczynek, które już w młodym wieku robią się zbyt miękkie i pulchne.*

Leżący w kącie pokoju Kornel jęknął, a z jego rozbitych ust wypłynęła strużka krwi.

– Trzeba było nie przeszkadzać – powiedział cicho Dawid. – obrońca małych dziewczynek się znalazł.

– Tak nie można.

Dawid znalazł się przy swoim dawnym towarzyszu i mocarną dłonią chwycił go za gardło.

– Posłuchaj, będziesz tu sobie siedział grzecznie i cichutko, chyba, że chcesz od razu dołączyć do swojego dziadunia na tamtym świecie. Chcesz dołączyć?

Kornel pokręcił głową na tyle, na ile pozwalał mu uścisk.

– Tak myślałem. Załatwię tylko jedną rzecz i już mnie nie ma. Dzieciaki się wrzuci do pieca i nawet ślad nie zostanie. Tylko pamiętaj. – Dawid powolnym ruchem położył palec na ustach.

Zwalisty mężczyzna wyszedł na korytarz i ostrożnie przesunął się w stronę pokoju, w którym umieścił lalkę aż dotarł do drzwi.

Już od progu powitały go zaskoczone i przestraszone spojrzenia. Byli tam wszyscy: lalka ze szmatek, dziewczynka, z którą wczoraj się zabawiał i ten jasnowłosy piękniś. Dawid poczuł przyjemne ciepło w podbrzuszu, mocniej ścisnął łagę w garści i ruszył w kierunku dzieci.

Blondynek wstał i popatrzył w jego stronę wyzywająco, więc trzeba było go usadzić lekkim ciosem pałki w kolano. Dawid miał w tym doświadczenie, umiał dobrze wymierzonym uderzeniem sprowadzać silnych, dorosłych mężczyzn do parteru: składali się jak dobrze naoliwione scyzoryki. Co dopiero to chuchro tutaj.

Tym razem jednak było inaczej. Chłopiec przyjął cios w kolano i jakby nigdy nic stał sobie dalej wyprostowany. Dawid wyprowadził kolejne uderzenie, lecz ono także nie odniosło skutku. Spróbował w głowę, najpierw lekko, a potem coraz silniej. Przy trzecim ciosie roztrzaskał swoją pałkę o głowę chłopca, a ten dalej stał niewzruszenie i tylko coraz szerzej się uśmiechał. Dawid zrozumiał, że coś jest nie tak.

W drzwiach pokoju pojawił się Kornel, któremu krew skapywała na kołnierzyk koszulki polo, aby płynąć dalej cienką stróżką po chudej szyi. Z cichym jękiem wyciągnął rękę, w której trzymał nóż. Chłopiec momentalnie zareagował. Dawid nigdy wcześniej nie widział, żeby cokolwiek tak szybko się poruszało. Wystarczyło, że mrugnął, a Kornel już leżał na brudnej podłodze z rozszarpanym gardłem, w które wgryzała się niewinna dziecięca twarzyczka z blond włosami umazanymi krwią.

Dawid podjął szybką decyzję. Odwrócił się i wyskoczył przez okno, raniąc przedramię kawałkami szkła oraz pociągając za sobą szmacianą lalkę. Upadek z pierwszego piętra nie był dotkliwy, mężczyzna wstał i zaczął niezwłocznie uciekać, kierując się ku światłom najbliższego gospodarstwa. Między jed-

nym a drugim oddechem szeptał do siebie:

– Kurwa, co to było? Kurwa, co to było?! Kurwa!

Zdyszany i spocony, dopadł płotu sąsiada. Pomiędzy nim a budynkiem znajdowała się już tylko plama głębokiej ciemności. Dawid miał wrażenie, że coś się tam czai, ale strach zrzucił na wcześniejsze przeżycia.

– Opanuj się, kurwa! – szepnął.

Donośne szczekanie sprawiło, że mężczyzna odskoczył gwałtownie od ogrodzenia. Poczul ukłucie w okolicach pasa. Podciągnął koszulkę i wyjął kawałek szkła wbity w skórę tuż nad pępkiem. Ciepło ponownie rozlało się na podbrzusze Dawida, tym razem jednak nie było zwiastunem nadchodzącej przyjemności, lecz dotkliwego bólu. Jęknął, a następnie zgięty wpół ruszył drogą, byle dalej od przeklętego domostwa i tego jasnowłosego diabła.

Postanowił, że dotrze do asfaltówki, zatrzyma pierwsze z brzegu auto, a kierowcę wyrzuci do rowu. Zacisnął ogromną dłoń w pięść, wyobrażając sobie jak rozkwasza nos siedzącego za kółkiem faceta. Albo babki, Dawidowi było wszystko jedno.

Nagle za sobą usłyszał tupot dziecięcych stóp. Odwrócił się, zlany zimnym potem, ale niczego nie zobaczył. Ruszył dalej, krzywiąc się z bólu i trwożnie rozglądając na boki.

Gdy mijał zamknięty sklep, wydawało mu się, że w witrynie błysnęła odbita blond czupryna. Rozejrzał się pospieszenie, ale droga była pusta, a pobliskie podwórka skąpane w milczącym mroku.

Umysł Dawida opanowało wspomnienie gardła rozrywanego małymi, dziecięcymi ząbkami. Do strużki krwi spływającej z nogawki mężczyzny dołączyła druga, moczu. Musiał znaleźć jakieś schronienie i to jak najszybciej.

Podejrzliwym wzrokiem omiatał pobliskie obejścia, kiedy coś sobie przypomniał. Kornel na zakupach w sąsiednim miasteczku usłyszał, że mieszkańcy wioski mieli się dziś zebrać w kościele, żeby rozmawiać o zaginięciu tej smarkuli.

– Kościół to dobre miejsce – powiedział. – Tak, kościół, tam szatan przecież nie ma wstępu.

Bryzając krwią z nogawki, potruchtął w kierunku strzelistego budynku,

znajdującego się naprzeciwko szkoły. Pomyślał, że nie zaszkodzi się pomodlić, mamrotał więc na chybił trafił teksty zapamiętane z dzieciństwa.

– Zdrowaś Mario, wygnańcy Ewy do ciebie wołamy, Ojczy Przenajświętszy, zmiłuj się nad nami, Synu Odkupicielu Świata Boże, Arko Przymierza, Domie Złoty, Gwiazdo Zaranna.

Rana w brzuchu coraz bardziej mu dokuczała, na szczęście było już niedaleko. Półprzytomny dotarł na miejsce i bez sił opadł na kolana, by po chwili uderzyć pięścią w masywne drzwi.

Wrota się otworzyły i z wnętrza wypadli ludzie, żeby mu pomóc. Chwycili jego wiotkie ciało i wprowadzili do środka. Przez chwilę wydawało mu się, że wśród mieszkańców wsi mignęła jasna głowa chłopca, który przegryzł gardło Kornela. Najwidoczniej majaczył. Dobrzy ludzie położyli go na ołtarzu, wewnątrz wyrysowanego kredą pentagramu. Zanim zemdlął zdążył jeszcze pomyśleć, że krzyż w tym kościele został zabawnie powieszony, tak do góry nogami.

\*\*\*

Pani Krysia z poczty musiała użyć wszystkich swoich wpływów, wykorzystać dwudziestoletnie doświadczenie w logistyce i każdą z licznych znajomości, aby w końcu uzyskać zgodę na specjalny transport prosto z Ameryki Południowej. Kontener pojawił się mniej więcej tydzień po zamówieniu, późnym popołudniem i wspólnie z księdzem proboszczem spędzili cały wieczór i noc na przygotowaniach. Następnego dnia zaprosili małą Zosię do kościoła. Oczywiście towarzyszył jej Jaś, którego dziewczynka nie odstępowała na krok od ponad miesiąca, czyli od czasu potwornych wydarzeń w chacie starego Palucha.

– Mała Zosiu – zaczęła Krysia. – Wiemy, że dręczą cię wciąż koszmary związane z tamtym przerażającym dniem. Rozmawiałam z panią pedagog ze szkoły, z naszym księdzem, no i z Jasiem. – Krysia poczochrąla blond czuprynę chłopca.

– Chodź do kościoła, Zosiu – poprosił ksiądz proboszcz.

Dziewczynka spojrzała na Jasia, a ten uśmiechnął się zachęcająco. Weszli

do środka. Poruszając się pomiędzy ławkami minęli jedną i drugą boczną nawę, aż powoli podeszli do głównego ołtarza. Zosia zatrzymała się nagle.

– Ten zapach...

Dziewczynka zbladła, przymknęła na chwilę oczy, by zaraz je otworzyć. Przenikliwe, wystraszone spojrzenie skierowała na chłopca.

– To ryby, Jasiu...

Pani Krysia położyła dłoń na ramieniu dziewczynki.

– Spokojnie, Zosiu. Kiedy Jaś przybiegł do kościoła i opowiedział nam, co się stało, wspólnie z księdzem proboszczem i mieszkańcami wsi jeszcze tego samego dnia odprawiliśmy pewien rytuał.

– Rytuał – szepnęła Zosia.

– Chcieliśmy, żeby twój oprawca cierpiał – wyjaśnił ksiądz. – Żeby przeżywał ten sam koszmar, który stał się twoim udziałem. Dzień za dniem, przez całą wieczność.

– Mój koszmar...

Pani Krysia złapała za dywan przykrywający kamienną podłogę i odrzuciła go na bok. Oczom obecnych ukazał się właz z metalowym uchwytem. Ksiądz zakasał rękawy sutanny i uniósł klapę. Zosia spojrzała do środka.

– Przerobiliśmy kryptę kościoła na siedemsetlitrowy zbiornik, zalany wodą z wpuszczonymi do środka żarłocznymi piraniami prosto z Argentyny – wyjaśnił ksiądz wskazując palcem siną toń, która ukazała się pod włazem.

– Zaczynają wokół kostek, potem przesuwają się wyżej... – powiedziała do siebie Zosia.

– Te tutaj raczej nie bawią się w takie subtelności.

Na powierzchni wody pojawiły się bąbelki powietrza, a następnie upiornie blada twarz o przerażonych oczach, w której z trudem można było rozpoznać rysy Dawida. Przez mętną taflę przebijał zarys koszmarnie wychudzonego ciała mężczyzny, do którego, jak balonik na sznurku, przytwierdzona była zbyt duża głowa podskakująca na chudej szyi. Wokół upiornej postaci krążyły niewyraźne kształty. Podpływały i odrywały kawałki ciała mężczyzny, wywołując spazmy cierpienia na poszarzałej twarzy.

– Został zombie. – Pani Krysia złapała za klapę a następnie zamknęła ją

z głośnym mlaśnięciem wody uderzającej o metal oraz trzaskiem łamanych kości policzkowych topielca. – Jest teraz żywym trupem, jego ciało będzie się odradzać i umierać zjedzone przez piranie, dzień za dniem. Na krawędzi życia i śmierci, w wiecznym bólu.

Zosia zerknęła na zgromadzone wokół niej postacie. Dostrzegła teraz szczegóły, na które wcześniej nie zwracała uwagi – lekko przerośnięte zęby Jasia, przypominające szpony paznokcie pani Krysi, malutki pentagram wpięty dyskretnie w klapę marynarki księdza. Wejrzała jednocześnie w te wszystkie zatroskane twarze i uśmiechnęła się. W tym momencie pozbyła się koszmaru, który codziennie do niej powracał, przez który bała się wieczorem przyłożyć głowę do poduszki. Otoczona opieką bliskich, rozplakała się ze wzruszenia.

# Baśń o rybich bucikach

Iwona Serej

Za siedmioma morzami, za trzema oceanami, na ostatnim niezatopionym skrawku ziemi żyła garstka ludzi. Niewielu ich było, ciężko pracowali i mieszkali w domkach zbudowanych z resztek różowego koralowca.

Zwykle stali po kostki w wodzie, gdyż morze coraz częściej zalewało niewielki kawałek lądu, przynosząc zapach ryb. Aromat ten przywodził na myśl ich zdolniejszych, silniejszych braci, którzy żyli w głębinach. Każdy pragnął porzucić życie na powierzchni i odkryć bogactwa podwodnego miasta, Akwelunu.

A najbardziej marzyła o tym Kat.

Ubogie było to dziewczę i głupiutkie, acz o ładnej buzi i powabnych kształtach.

– Nigdy się nie doczekam! – mówiła ze złością do samej siebie, siedząc na oblepionej solą ławeczce tuż za ośrodkiem badawczym.

Z zazdrością obserwowała szczęśliwców, którzy doczekali się przemiany w ryboludzia i odkrywali nowe ciało: kilka par skrzeli, łusek i w zależności od zasług – ogon lub płetwy, przyoblekające ludzkie niegdyś stopy.

Westchnęła przeciągle i sfrustrowana spojrzała na wózek pełen wodorostów. Do tej pory powinna sprzedać jego zawartość. Matka pewnie będzie się złościć i złorzeczyć na jej lenistwo, ale Kat po prostu wiedziała, że jest stworzona do wyższych celów.

Oparła brodę na dłoni.

– To niesprawiedliwe – wymruczała.

Nagle padł na nią cień, a ona obróciła się i zamarła z rozchylonymi ustami.

– Coś cię ewidentnie trapi, dwunoga panienko. – Niski, lekko zachrypnięty głos dochodził z niewidocznych głośników, ukrytych pod metalową powłoką mecha. Kat zawahała się na widok wyciągniętej w jej kierunku chro-



mowanej ręki, ale przyjęła pomoc i wstała.

– Och, wodnisty panie... – wydukała onieśmielona dziewczyna. Z podziwem przyglądała się metalowej konstrukcji, której centrum wypełniała szklana kula pełna wody, a w niej dryfował fosforyzujący konik morski o nienaturalnie dużej głowie i miniaturowych, ludzkich dłoniach. Taką formę i takie mechy mieli tylko szanowani mieszkańcy Akwelunu. I bogaci.

– Rozpacz wypełnia moje serce na widok tak ładnej, acz zatroskanej buzi. Proszę, zdradź mi powody twojego smutku.

Kat niemal fiknęła z radości. Oto spełniały się jej skryte marzenia: prawdziwy wodny jeździec przybył na ratunek. Fakt, że zamiast delfinów miał mecha, jeszcze bardziej ją zachwycił.

Skromnie spuściła oczy, a dłońmi zaczęła miętoszyć wytarty i pełen łat fartuszek.

– Matka powiada, że nie wolno mi rozmawiać z obcymi...

– Ależ nie jestem obcy! Mów mi Linus.

– Panie Linusie, pochlebia mi pan, ale nie śmiałybym zarzucać pana moimi drobnymi problemami.

Konik morski uśmiechnął się ciepło i pokręcił głową.

– Z daleka nie wyglądają na takie błahe. Nalegam.

Ręką wskazał na ławeczkę, a sam przysiadł obok, zachowując odpowiednią odległość. Kat ledwo powstrzymała pisk, a w głowie kołatała jej się tylko jedna myśl: “jaki dżentelmen!”.

– Po prostu... bardzo chciałabym zamieszkać w Akwelunie i zostać ryboludziem – wyszeptwała. Spojrzała zalotnie na swojego potencjalnego wybawcę.

– Kolejka jest tak strasznie długa, a ja... jestem tylko biedną handlarką.

Uniosła głowę i pozwoliła, by pojedyncza łza spłynęła po jej policzku. Wydawało jej się, że widzi szczere rozczulenie u Linusa. Ciemne oczy zrobiły się jeszcze bardziej wodniste, a dłoń oparł na piersi.

– Rozumiem, panienko. To piękne marzenie. Nie jestem w stanie pomóc w przemianie, ale mogę ci ofiarować jeden dzień w Akwelunie. – Uśmiechnął się, słysząc radosny pisk dziewczyny, ale ostrzegawczo uniośł palec. Lekko pochylił się ku niej. – To będzie nasza mała tajemnica. Wróć tutaj o zachodzie słońca.

\*\*\*

Kat, podskakując z radości, stawiała się w umówionym miejscu. Nie zwróciła uwagi na zachodzące słońce, które barwiło niebo na pomarańcz czy na błyszczące wody wszechoceanu. Wypatrywała swojego bohatera, a ten wyskoczył z wody i zbliżył się, niosąc coś w rękach.

– Rybie buciki dla mojej nowej przyjaciółki. – Wyciągnął w jej stronę drobne pantofelki z łusek, które miejscami mieniły się na różowo. – O świcie poproszę cię o ich zwrot, ale masz całą noc na zwiedzanie Akwelunu.

Kat pisała z radości. Zrzuciła drewniane chodaki i wsunęła buciki, które idealnie dopasowały się do drobnych stóp. Wydała z siebie przeciągłe westchnienie, kiedy łuski niemal przykleiły się do kostek, a następnie wspięły wzdłuż jej nóg. Na szyi dziewczyny wyrosły skrzela, a między palcami błony. Skóra na całym ciele przybrała perłowy kolor.

Linus poklepał się po metalowej piersi i z cichym szcękaniem otworzył niewielki schowek.

– Nie możesz zwiedzać Akwelunu ubrana jak ktoś z powierzchni. Załóż to.

Kat bez namysłu chwyciła delikatną szatę plecioną z morskich traw i skryła się w cieniu budynku. Schowała swoją sfatygowaną sukienkę pod ławeczką, na której kilka godzin wcześniej rozmawiała z osobliwym nieznanym.

– Jestem gotowa! – wykrzyknęła podekscytowana.

Chwyciła dłoń Linusa i razem wskoczyli do oceanu.

\*\*\*

Kat z miejsca zakochała się w kolorowym i bogatym świecie pod powierzchnią.

Linus pokazał dziewczynie przede wszystkim górne miasto – pełne bogatych willi, splendoru i uroku, odciągając ją od ciemniejszej i burej części dolnego Akwelunu.

Uboga handlarka wodorostów nie mogła oderwać oczu od kopuł wież, których wierzchołki niknęły w ciemnej toni. Zachwycona pływała wokół ko-

lumn otaczających miasto, przyglądała się wieńczącym je majestatycznym podobiznom koników morskich. Pozwalała się wciągać wodnym wirom i bawiła się w najlepsze wraz z gromadkami młodych rybiastych.

Wraz z Linusem popłynęli na targ, gdzie ujrzała przemarsz wodnych jeźdźców Akwelunu. Doborowi obrońcy dosiadali delfinów, a w rękach dzierżyli złote trójzęby i tarcze z miażdżonych muszli. Rośli bohaterowie przyprawili Kat o szybsze bicie serca, zwłaszcza kiedy z zainteresowaniem spoglądali w jej kierunku.

Dziewczyna czuła, że wspaniała przyszłość jest w zasięgu ręki. I czeka ją coś jeszcze lepszego niż konik morski w metalowej skorupie.

– Teraz najciekawsza część – wyszeptał Linus wprost do jej ucha.

Pisnęła i zakryła dłonią usta, widząc zbliżający się orszak panny młodej. Platformę z niemalym tłumem ciągnęły turkusowe węże o długich cielskach. Pośrodku podestu stała prawdziwa olbrzymka – grube, pofałdowane cielsko z trudem utrzymywała pleciona siateczka z najprzedniejszych włókien, poprzetykanych złotymi perłami. Sześć druchen – krzyżówek ośmiornicy i człowieka – tylko odrobinę ustępowało wagą przyszej mężatce, a część z nich leżała na dnie, zmęczona pływaniem.

Za platformą podążał tłum gości.

– Jedna z księżniczek. – Wskazał Linus. – Choć ty wyglądałabyś na jej miejscu o całe głębinsy lepiej.

Kat spaşowała i skromnie spuściła oczy. Momentalnie ujrzała się w podobnej procesji, otoczona jeszcze większą ilością druchen i w jeszcze piękniejszej sukni. Tak, zdecydowanie jej miejsce było w Akwelunie.

– Linus! Przyjacielu!

Oboje obrócili się nieco zaskoczeni i ujrzeli zmierzającego w ich kierunku starszego ryboludzia. Miał mocno posrebrzony syreni ogon, a włosy tworzyły wokół twarzy siwą aureolę.

– Lir, jak dobrze cię widzieć. – Konik morski w mechu wysunął się do przodu i wykonał skomplikowany piruet na powitanie.

– Ty tutaj? Co za niespodzianka! Ale kogóż tam chowasz za sobą? Ach, czyżby nowa podopieczna?

Zanim Linus zdążył odpowiedzieć, żywo zainteresowana Kat znalazła się u jego boku.

– Podopieczna? – powtórzyła i spojrzała na swojego dobroczyńcę.

– Przyjaciółka – poprawił mech. – Kat tylko zwiedza Akwelun. O świecie wraca na powierzchnię.

– Jaka szkoda. – Syren pochylił się nisko i zamachał płetwami. – Chętnie poznałbym ją lepiej. Marnuje się na powierzchni.

– Musimy iść. – Linus objął metalowym ramieniem dziewczynę i stanowczo odciągnął.

– Co miał na myśli? Czy jest jakiś sposób, abym...?

Dziewczyna spoglądała to na swojego towarzysza, to na Lira. Wykręcała podekscytowana głowę w jego stronę, licząc, że ryboludź doda coś jeszcze.

– Później, Kat. Jest tyle rzeczy, które chcę ci pokazać przed świtem. Szkoła czasu na rozmowy.

Konik morski porwał Kat głębiej w miasto, gdzie zatraciła się w jego wspaniałości. Uważnie pilnował jednak, aby nie dojrzała zgnilizny tuż pod kolorową powłoką Akwelunu.

\*\*\*

– Dziękuję, panie Linusie. Naprawdę nie wiem, jak się panu odwdzięczę.

– To była sama przyjemność, dwunoga przyjaciółko.

– Czy... – Zawahała się i spuściła oczy, ale kątem oka spoglądała na konika morskiego, czy połknął przynętę. Gestem zachęcił ją, by mówiła dalej.

– Czy nie ma żadnego sposobu, abym mogła zachować buciki i zamieszkać w Akwelunie?

Prosta handlarka oczywiście nie przyznała się do tego, że rozważała ucieczkę wraz z bucikami czy odmowę ich zwrotu. Zdążyła jednak zauważyć, że Linus był znaną postacią w podwodnym świecie. Wiedziała, że byłoby to krótkotrwałe rozwiązanie.

Kat zdecydowała się zatem użyć jedyne go atutu, jaki posiadała – swojej ładnej buzi.

– Ach, przyjaciółko. Chciałbym, aby taki istniał. Każdy nowy mieszkaniec jest rejestrowany, a same buciki... jestem majątym konikiem morskim, ale nawet ja nie mogę ot tak oddać takiego skarbu.

– Odpracuję je! – Kat zerwała się z ławeczki podekscytowana. – Przecież możesz mnie zatrudnić! Wiem, że są takie umowy!

– Mógłbym, ale... wtedy oddajesz się całkowicie mojej władzy na czas umowy, której nie możesz rozwiązać przed czasem. Czy jesteś pewna...?

– Tak! – Kat uklękła przed Linusem i chwyciła metalowe dłonie mecha. Spojrzała na konika morskiego dryfującego w wodzie, ale nie potrafiła wyczytać nic z czarnych oczu. – Ufam panu! Moje miejsce jest w Akwelunie, spłace buciki... albo ktoś zrobi to za mnie!

Mech chwilę milczał.

– Co z twoją matką?

– Jestem dorosła, mogę robić, co chcę. Porozmawiam z nią i...

Zamilkła widząc, jak konik kręci głową i wstaje.

– Przykro mi, Kat. Muszę już wracać. Strój pozwala mi trochę przebywać na powierzchni, ale moje miejsce jest w wodzie. Minie trochę czasu zanim wrócę, ale może wtedy...

– Nie! – Kat rozpaczliwie chwyciła ramię mecha i uwiesiła się na nim.

Uwiedziona wizją wspaniałego życia, zupełnie nie zwróciła uwagi na leciutki uśmiech satysfakcji Linusa.

– Proszę mnie zabrać teraz! Napiszę do niej list, ale proszę mnie tu nie zostawiać. Nie zniosę tego. Zgadzam się na wszystko!

Dziewczę było gotowe przehandlować własną matkę, byle żyć w Akwelunie. Bezgranicznie ufała dobrym intencjom nowego przyjaciela, choć sama postanowiła go wykorzystać – nie zamierzała tak naprawdę pracować, a raczej znaleźć kogoś, najlepiej o miłej aparycji, kto spłaci dług za nią.

– Dobrze, Kat. Tak się składa, że mam ze sobą dokumenty. Wystarczy, że podpiszesz dziesięcioletnią umowę, a zabiorę cię ze sobą. Pamiętaj, nie będziesz mogła się wycofać, chyba, że spłacisz pozostałość długu. Będę za ciebie ręczyć, a ty będziesz musiała być posłuszna.

Wąska klapka opadła, a metalowa dłoń wyciągnęła plik zielonkawych

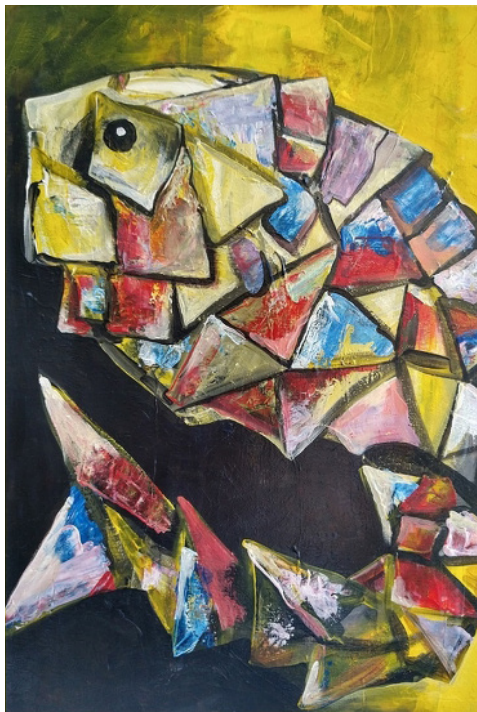
papierów i kawałek ostro zakończzonej muszli.

– Dużo tego... ja – wyjąkała zaskoczona dziewczyna, którą ogarnęło zwątpienie. Spanikowała, kiedy Linus znacząco spojrział na słońce pojawiające się na horyzoncie.

– Nieważne, zgadzam się.

Ukłuła się w palec ostrą muszlą i podpisała zwitek bez czytania. Zgodnie z poleceniem przyjaciela zaparafowała każdą stronę i tym samym całkowicie oddała się w ręce obcego, którego nie znała nawet dnia.

Z Kat było naprawdę głupiotki dziewczę.



\*\*\*

– Ja... nie rozumiem – wyszeptła Kat, gdy lekko podstarzała syrena wepchnęła jej w ręce skąpe szmatki.

– Czego nie rozumiesz, słonko? – Stara westchnęła, ale obróciła się ponownie w stronę nowej dziewczuchy. Mocny makijaż burdelmamy nie ukrywał srebrnych lusek pod oczami, a misterne upięcie siwych pasm we włosach. – Zakładasz to i jazda na górę. Wiem, tańczyć jeszcze nie umiesz, ale Linus od tygodni reklamował stałym klientom, że będziemy mieli nową, maksymalnie ludzką panienkę, więc masz kolejkę do obrobienia dzisiaj w nocy. Lepiej się uwijaj.

– Ale... miałam pracować. Odpracować buciki. Chcę rozmawiać z panem Linusem. To na pewno jakaś pomyłka.

Syrena roześmiała się paskudnie.

– Kolejna zbyt głupia, by czytać umowę. Od teraz pracujesz w burdelu twojego nowego właściciela, takie podpisałaś papiery. Co ty myślisz, że on tak z dobroci serca? Złociutka, nie pierwsza i nie ostatnia.

Kat otworzyła usta, ale nie była w stanie wydusić z siebie choćby słowa. Zbladła i zadrżała.

– No, młoda, przyzwyczaisz się. Miałam litość, nie dałam ci dzisiaj żadnego ryba w mechu. Ci są najgorsi – cmoknęła głośno przerośniętymi wargami – z braku odpowiedniego sprzętu, wynagradzają to sobie inaczej.

Gdyby ryboludzie mogli płakać, Kat utonęłaby we własnych łzach. W końcu ubogie było to dziewczę, głupiutkie, acz o ładnej buzi i powabnych kształtach. Nie chciało się jej pracować i szukała swojego podmorskiego księcia, który miał uratować ją od biedy i pracy. Tymczasem zamiast bogactw i zamku, miała zarabiać dla swojego pana, ciężko harując każdej nocy.

Dała się omamić wspaniałym wizjom, zapominając o starej, acz nadal aktualnej prawdzie: nie ma nic za darmo, a wśród ryb człowiek zawsze będzie poniżany.

# Tak trzeba żyć, stary

Mika Modrzyńska

W petardę żal, że nie przygrzała w nas żadna kometa, bo taka apokalipsa byłaby czysta i pyszna jak piwo zawinięte staremu z garażu. Nie, nawet to musieliśmy spierdolić. Apokalipsa wyszła nam czysta rasowo jak marsz w Białymstoku, naprawdę, wszystkich Polaków wzięło i gwizdnęło na raz. A wiecie, kto ich zabił? Ta ruda idiotka w ołówkowej spódnicy, Klara Markiewicz. Odchodząc, zabrała cały naród ze sobą. Tak trzeba żyć, stary.

Opowiem ci, jak umarła Polska.

\*\*\*

Co tu dużo mówić, na Ziemi mogliśmy już położyć lachę. Lachę mięsistą i ciężką, bo to koniec. Polski wycieczkowiec StańczykStar wypierdolił z tego wysmarowanego gównem i papierkami z pożółkłym Zygmuntem grajdołu w piątek o 9:15, czasu chuj-z-tym-i-tak-wszyscy-umrzemy.

A ja nie mogę nikomu powiedzieć o tym, co wiem, więc morda, jasne?

Lecimy przez cztery wymiary na planetę Harengus. Czaisz, ruskie nazwali planetę śledź. Śledzik. Priorytety, kurwa. Podobno w ich pierwszym transporcie znajdowało się siedemdziesiąt kanistrów wódki.

Amerykańce nazywają Harengus Carstwem Putinowskim, a Ukraińcy Pierdoloną Zarazą. Nasze zadupie ochrzczono Nową Polską. Będziemy sobie wszyscy razem wesoło żyć, tym razem pod butem jednego tylko okupanta. Co za fart jebany.

Tak trzeba żyć, mówię ci, stary.

Jestem Chico, podrzutek z hiszpańskiej Marelli Explorer, trzeci oficer statku sunącego pośród pustki ciemnej i rozległej jak dupa twojej starej. Je-



stem panem i królem tego statku. Słyszę, jak płynie przez galaktyki. Słyszę, jak szeleszczą mijane gwiazdy. Słyszę wszystko i wiem wszystko, kosmos jest moim dzieckiem, a ja jego ojcem.

– Cichocki?! – ryknął Tomasz, który skończył właśnie zmianę i wszystko go jebało. – Chico, cymbale, cho no tu, to do ciebie!

Ostatni raz patrzę przez wizjer na cztery tysiące roztytych, leniwych dup. Kręcą się wokół basenu, tu palemka, tu drink, tam ruchanko w przebieralni, bo tacy są zakręceni.

Wiertarką bym ich przetrzepał, dopiero by się zakręcili. Wiertarką w te ich obmierzłe, oślizgłe poślady. Gardzę nimi. Ludzie, których stać na bilety na StańczykStar, pierwszym i ostatnim wycieczkowcu, jaki opuścił krakowski port międzygalaktyczny, to były obrzydliwie dziane szychy. Cwaniactwo robiące walki od dnia, w którym wyskoczyło z pizd matek.

Wracam do kokpitu, w którym znajduje się jedna z niewielu prawdziwych szybek. Teraz jest zasłonięta, wiadomo. Na białej planszy miga ikonka, że oczekujące połączenie. Ziemia. Dziwka ze Stara, właściciela mojego Stańczyka.

– Trzeci oficer Marek Cichocki, słucham.

Ty taborecie nieruchany, dodaję w myśli, guzikiem podnosząc pokrywę przedniej szyby. Podjeżdża w górę powoli, odsłaniając wielkie czarne nic. Tu już nawet gwiazd nie widać.

– Jesteś sam? – Dziwka nie bawi się w uprzejmości.

Na zewnątrz statku pali się kilka lampek, które rzucają nikle światło w nic. Wyobraź sobie, jak jedziesz samochodem i włączysz przednie światła, a one się ślizgają po wszystkim, takie niewidzialne macki, co muszą dotknąć drzew, dać nura w krzewy i złapać pupcię małolaty w autobusie. Ślizgają i wykrzywają cienie.

Ale cieni nie ma, gdy światło się nie łamie. A światło Stańczyka tonie w czarnej dupie, czyjej, to już sam wiesz, stary.

– Sam jak palec, którym właśnie ryję w nosie – przytakuje.

Kobieta trochę prycha, trochę kaszle.

– Zachorował ostatni zdrowy człowiek na Ziemi – mówi. – To już koniec. Mamy przesrane.

– Macie przesrane – zgadzam się.  
Ale ona jeszcze nie wie tego, co wiem ja.

\*\*\*

Fruniemy przez zadupie, ale najwyraźniej nawet kosmiczne zadupie Wszechświata ma kontakt z paroma galaktykami. Co za czasy.

Do obiadu wiedzą już wszyscy. Nie na pewno, same plotki – ryje im się nie zamykają, a szumi, jakby ktoś ich nadział na ule. Łeb mi pęka. Biegają wokół basenu jak mrówki z okresem.

Liczba zajętych przebieralni wzrasta.

Już wiem, że to będzie ciężka zmiana. W Krakowie ładowali nam taczkami do łbów psychologiczne pierdolenie o żalobie i umieraniu. I o tym, jak te leniwe dupy będą jójceć, gdy do nich dotrze, że mieli może wystarczająco hajsu, by uratować siebie, ale teraz, gdy oni relaksują się pod plastikową palmą, wszyscy ich znajomi plują krwią i rzygają płucami. Kopać w kalendarz będzie ciocia Ala, która psuła im zęby mordoklejkami, sąsiad, który pomógł, jak się zjebali z rowerka i Michał Michalski, buc z podstawówki, z nienawiści do którego zrobili karierę.

Michała mi nawet, kurwa, nie żal. Ta menda jerychońska przejechała sobie w dniu, w którym nazwała mojego ojca śmierdzącym cwelem i nie jest istotne, że mój stary niczym innym nie był i nie będzie. Tak też można żyć, stary.

Kolejne twarze od rana przewijają mi się przez mózg jak wkurwiający bożonarodzeniowy dżingiel, którego nie sposób wyłączyć. Pani Wiesia z podstawówki. Nina, w której durzyłem się całe studia. Dziadek. Białowłosa Irena, kapitan na moim pierwszym rejsie. Już, cicho. Morda.

– Co do ostatniego. – Jakaś baba z trwałą koloru jajeczniczy piszczy, a głos jej drży. – Biedactwa. Skąd mogli wiedzieć, że nie będzie kolejnych rejsów?

– Okropne. Skazali się na śmierć.

Co za kormorany. Wszyscy wiedzieli, bo niby skąd ten pośpieszny chrzest mojego Stańczyka i testy zdrowotne? Polskie szczury spierdalały z tonącej barki pojednania i szkoda tylko, że nie wiedzą tego, co wiem ja, bo wtedy



sami by mi się kładli pod rękę, żeby dostać lepę na ryj na opamiętanie, a ja chętnie zaaplikowałbym im element mojej anatomii między obwisłe pośladki.

Na Ziemi zostały tylko jebane biedaki.

W tłumie ociężałych pasażerów mija ciemna czupryna i serce mi po prostu, niech je szlag trafi wieczysty, staje.

\*\*\*

Zatrzymali mnie w krakowskim porcie galaktycznym po powrocie z rejsu na Marelli i nie pozwolili jechać do domu, do Słonka mojego. Pierdzielili, że strefa skażenia. Już ja bym ich skaził, bo aż się prosili, ale w ustawkach dziesięciu na jednego jestem raczej pizda. Słonka mojego więcej nie zobaczyłem. Gadaliśmy jeszcze kolejnych parę dni, że jak się to wszystko skończy, to się hajtniemy na plaży, aż w końcu skaziło ją na zawsze, na amen.

– Chico, dolny pokład zaczyna rozróbę – mówi Tomasz.

Tomasz jest z tych, co myślą dużo. Nie powinien teraz pracować, ale usłyszał, co się stało na Ziemi i przyszedł pogapić się na żalodne, spanikowane na-

miastki ludzi. Nie może oderwać od nich wylupiastych oczu. Antroposrolog.

– Trzeba coś zrobić – dodaje.

Trzeba, bo sam, mała wielkopolska, nie ma ochoty brudzić pedalskich rączek. Musi zadzwonić po tatusia. Tak trzeba żyć, stary. Wygodnie.

– Przesadzasz – bagatelizuję, ale po chwili zjeżdżam windą na niższy pokład. Trochę tu klaustrofobicznie, u góry mają przynajmniej hologramy emitujące czyste niebo i słoneczny żar. Na dole gnieźdzą się biedaki. Biedaki, o ile można tak powiedzieć o ludziach, którzy zarabiają pewnie kilka razy więcej niż ja, trzeci oficer statku.

A przynajmniej zarabiali.

Robaki nie tyle zaczynały rozróbę, co były w trakcie radosnej napierdalanki z fajerwerkami i trotylem. Jakby Stańczyka miało wysadzić, to nie przez zjebaną uszczelkę, tylko rozpierdol podpokładowy. Ja przepraszam, chyba mi się parę brzydkich słów wymasknęło. Ale nie będę się ograniczać, już nie ma po co. Tak trzeba żyć, stary.

Przez chwilę przyglądam im się z miną kota na pustyni. Niby piękne, ale po chuj, skoro sam nie możesz skorzystać z tego bezmiaru kuwety wpierdolenia? Krzywię ryj.

Tomasz przejmuje moją zmianę dopiero za pięć godzin i dwadzieścia dwie minuty, informuje mnie mój smartmózg po spojrzeniu na zegarek.

Trzeciemu oficerowi zdecydowanie nie wypada angażować się w robacze napierdalando, przekonuję się jeszcze chwilę. Przerzywam, gdy pod pięść nawija mi się jakiś robak. No to go pukam w łeb, aż mu zad wywija na lewą stronę.

– Za co się chlastacie?

– Oni chcą wracać – wyjaśnia koleś. Czarny łeb, cygan jaki. Oczy mu błyszczą jak po szaleju. – Ratować tamtych. Napierdalamy prewencyjnie, żeby im się odechciało.

Pobiegł przed siebie i rzucił się na stos rozedrganego, ludzkiego mięsa.

Spokojnie odpinam guziki mankietów i podwijam rękawy. Szefostwo z pewnością wybaczy mi wpierdol za ideały, prawda? Bo coś ci powiem, choć pewnie się domyślasz. Tak trzeba żyć, stary.

Za Słonko moje!

\*\*\*

Na Półwyspie Iberyjskim pulsuje słońce. Jedno słońce zawieszono nad naszymi głowami, drugie stoi na plaży po kostki w zapachu ryb i trzyma moją dłoń. Jest między nami tylko szczęście i miłość.

– Czy bierzesz sobie mnie za męża? – pytam poważnie.

– Tak – odpowiada Słonko moje.

Morze pachnie solą, plaża pachnie kałamarnicami i ostrygami, których tu pełno. Rybacy co rano wyjeżdżają kutrami i łowią nam najlepsze przekąski. Żadnych ruskich śledzi. Są tylko krewetki, małże i homary. Powietrze, którym oddycham, jest nimi przesycone.

Moja ulubiona przekąska stoi przede mną w białej, powłóczystej sukience. Jest najpiękniejsza.

– Czy ty bierzesz sobie mnie za żonę? – pyta.

Wieloryby wywalone na brzeg robią nam za druhny. Wielkie, sine bestie ledwo oddychają z wrażenia. Ja też. Oto szczęśliwy dzień. Szczęśliwy, wyczekany dzień, pierwszy dzień naszego nowego życia.

– Tak – odpowiadam.

– Możesz pocałować pannę młodą.

\*\*\*

– Ale ty głupi jesteś, Chico – nabija się Tomasz.

Iberyjski sen znika. Znów siedzę na pokładzie Stańczyka i przed sobą mam jedynie paskudny ryj Tomasza. Informuję go, gdzie ma mnie pocałować.

Jestem cały obity, siniaki mam nawet na goleniach. Oczy napuchły tak, że nic nie widzę. Mam wybity staw łokciowy, naganę od kapitana i spokój w sercu.

– Jakbyś się martwił, to już ich uspokoiłi. Załoga statku najechała na nich z gaśnicami.

Gaśnica! W petardę żal, że sam na to nie wpadłem. Ale byłbym król.

– Nie poznają cię, Chico. Zawsze byłeś taki odpowiedzialny, a teraz co?

Widzisz bójkę na kilkadziesiąt osób i... dołączasz do nich?

- To była piękna kuweta. – Wzruszam ramionami.
- Źle się czujesz? Słyszałem, co się stało z twoją...
- Morda.
- Przykro mi.

\*\*\*

Podpokładowe robaki oficjalnie występują o powrót do Polski. Chcą ratować pozostałych. Albo umrzeć razem z nimi, jeden chuj. Przynieśli podanie napisane na wyrwanej z zeszytu kartce z podpisami połowy pasażerów.

Druga połowa, jak wskazywały liczne wygniecenia, z zapalem próbowała kartkę anihilować.

– Idioci – mruczy Tomasz pod koniec mojej zmiany. Przebrał się w mundurek i przylizął grzywkę. – Jesteśmy ostatnimi zdrowymi Polakami. Co z tego, że nie wszyscy umierają od razu? Większość pada jak muchy. A oni chcą ryzykować. No idioci.

Wzruszam ramionami.

- My też padniemy – mówię. – Kwestia czasu. Kojarzysz Klarę Markiewicz?
- Kogo? – Tomasz nie rozumie.

No to mu mówię. Wielki sekret. Mówię mu, czemu byłem wkurwiony od wylotu z Krakowa. Mówię, że to złość. Wściekłość, bo wiem, że lada moment umrę zupełnie tak samo jak te śmiecie, które zostawiliśmy ze sobą.

– Taka ruda, w ołówkowej spódnicy – ciągnę. – Odprawiała załogę. Kojarzysz?

Tomasz nadal nie rozumie.

Oj, Tomasz, niby jesteś z tych, co myślą dużo, a taki mało lotny jakoś.

– Byłem ostatni w kolejce, poganiaли mnie – wspominam z rozrzewnieniem. – I wiesz, co ta suka zrobiła? Ściągnęła maseczkę, żeby podrapać nos i kichnęła mi prosto w ryj.

\*\*\*

Wirus potrzebuje kilku tygodni na rozwój. Nasz rejs miał trwać miesiąc, ale gdy pierwszego dnia poinformowałem o zajściu kapitana, powiedział, że polecimy dłuższą drogą, by wszyscy zdążyli umrzeć. Resztę wieczności Stańczyk spędzi, dryfując w polu grawitacyjnym UDFj-39546284. Zarządzenie z góry.

Tomasz trawi nowinkę przez resztę dnia. Biedaczysko, chyba się trochę zdziwił. Będzie miał o czym myśleć, bo ze służby schodzi dopiero za dwanaście godzin. Nic nie burknie, nic nie zaklnie, tylko gapi się przed siebie jak pierdolony osioł. Tak, to już koniec, przyjacielu. Teatryk skończony, można iść do domu, dobranoc, do widzenia.

Pod koniec dyżuru poklepuję Tomasza na pocieszenie. To wrywa go z marazmu.

– Mówimy im, czy czekamy aż zaczną rzygać krwią? – pyta.

– A co to za różnica?

Wytrzeszcza ślepią.

Myślę o zajętych przebieralniach, drinkach z palemką i dmuchanych kochach dryfujących w basenie. Woda bez zapachu, nawet chloru nie czuć, nieprawdziwa i sztuczna jak te cielska, które się na niej unoszą.

– Nie ma różnicy – zgadza się Tomasz.

Mądry dzieciak.

Zamykam się w pokoju z butelką szkockiej, a w myśli wracam na iberyjską plażę, gdzie czeka Słonko moje. Na plaży jest cisza i spokój, i pachnie ostrygami. Na plaży oboje stoimy po kostki w zapachu ryb i szczęściu, które przyniesie nam nowe życie.

Myślałem, żeby się zabić, naturalnie. Ale co się wtedy stanie z moim Stańczykiem? Kto poprowadzi moją piękną łajbę przez kolejne galaktyki, no kto? Przecież nie ta lachudra, Tomasz, psa bym mu nie powierzył. Nie, zostanie tu do końca.

Tak trzeba umierać, stary.

# Uważaj, co mówisz o rybach

Natalia Klimaszewska

Zdechłe ryby z głośnym plaskiem uderzały o ciała. Walały się pod stopami, zaścierały bruk wielkiego targowiska jak dywany, a do łusek lepiło się kolorowe konfetti, eksplodujące z balonów nad głowami roztańczonego tłumu. Śmiechy, krzyki, kakofoniczna muzyka i przedstawiciele wszystkich ras świata – festiwal letnich połowów trwał w najlepsze.

Zari, ponętna sukkubica, opierała się o słup na skraju placu, nawijając na palec kosmyk włosów. Ostentacyjnie znudzoną miną dawała do zrozumienia, co o tym wszystkim myśli.

– Obrzydliwe miejsce – mruknęła. – Odwołali wszystkie turnusy w elficzych kurortach? Co robimy w tej dziurze?

Ona i grupka jej znajomych stanowili niezwykły widok: trzech chłopaków, dwie dziewczyny, każde innego wzrostu, koloru skóry, a przede wszystkim rasy. Przsadzisty, rudy krasnolud miał na sobie czarną koszulkę: sprany nadruk przedstawiał rysunkowego smoka, dwa kufle piwa i parę dwudziestościennych kostek do gry. Błady i chudy wampir w glanach, skórzanych spodniach i w bluzie z kapturem naciągniętym po sam nos stał na uboczu, garbiąc się i wciskając dłonie w kieszenie. Niebieskoskóry elf był wysoki i smukły, z hipsterską fryzurą i okularach w czarnych oprawkach. Anielica trzepotała przedłużonymi rzęsami i robiła dzióbek do obiektywu smartfona, trzaskając selfiaczki tak, że jej twarz zajmowała przynajmniej osiemdziesiąt procent kadru. Hasztag letnifestiwal hasztag superzabawa. Potem stukwała zawzięcie tipsami w ekranik, odpisując na komentarze. „Ouuu kochana jesteś śliczna!!! <3” „Wiem, ty też bejbe, pozdrów Gabrysia :\*\*\*”.

– Halo! Mówię coś!

– Nie psuj zabawy, Zari. – Krasnolud machnął ręką. – To największa, ta,



no, akacja na wybrzeżu. Trza korzystać i się bawić.

– Atrakcja, Garred – podpowiedział elf.

– No, trakcja, to właśnie powiedziałem!

– Oni obrzucają się rybami – powiedziała sukkubica, krzywiąc usta. – Tylko mi nie mówcie, że wy też chcecie.

– To nie jest „obrzucanie się rybami” – rzekł elf, spoglądając na Zari z politowaniem. Poprawił okulary. – Ta tradycja trwa już od dziesięcioleci i wywodzi się ze święta na cześć udanych połowów. Rozrzucanie ryb ma symbolizować dostatek i nadmiar...

– Chyba marnotrawstwo. Po co zabijać tyle ryb?

– A od kiedy ty taka delikatna, co? – wtrącił się krasnolud. – Demonowi żal paru rybek?

Zari posłała mu zjadliwe spojrzenie. Mgnienie oka później na jej policzku z płaskiem wylądował dorsz. Cała czwórka ryknęła śmiechem. Anielica zdążyła cyknąć fotkę i wrzucić na saintbooka. Hasztag sukkubylubiąryby.

– Jak dzieci – warknęła Zari, z obrzydzeniem ściągając rybę z twarzy.

– Ooch, Anielia napisała w komentarzu, że podobno w trakcie festiwalu pojawia się jakiś potwór! – pisnęła z przejęciem anielica, zapatrzona w telefon i wyskakujące powiadomienia. – Myślicie, że to prawda?

– Mam nadzieję, że tak. I że was zeżre – burknęła sukkubica.

– A ty dokąd? – zapytał elf, kiedy odwróciła się na pięcie i ruszyła wściekła przed siebie.

– Jak najdalej od was! I tych śmierdzących rybami wieśniaków!

Krasnolud Garred wzruszył ramionami.

– Powiedziała ta, co wacha siarkę! – zawołał za nią. Po chwili zmarszczył nos. – Chociaż faktycznie śmierdzi. Chyba trochę zgniły im te ryby. To co, trza się bawić, co nie?

Pozostali pokiwali głowami. Ruszyli w tłum. Uchylona pokrywa studzienki kanalizacyjnej, przy której wcześniej stali, z cichym zgrzytem wsunęła się na miejsce.

(dum dum dumm)

– Ryby! Kurwa, ryby! Co za zjeb to wymyślił?

Sukkubica zrzuciła ubranie wprost na podłogę łazienki. Choć „ubranie” to za duże słowo; bardziej pasowałoby „skrawki odzienia”. Z westchnieniem odkręciła kranik wanny, ustawiając maksymalną temperaturę. Wrzuciła kulę do kąpieli; po łazience rozszedł się ostry zapach dymu i siarki. Z westchnieniem zadowolenia Zari weszła do wody, po czym sięgnęła po odtwarzacz i słuchawki.

– Idealnie.

Przymknęła oczy. Pod wodą przesunęła dłonią po brzuchu w dół, palce wślizgnęły się między uda. Uśmiechnęła się znowu, nieświadoma, że ktoś stoi za drzwiami łazienki...

(dum dum dumm)

– Zajebista sprawa, co nie? Widzieliście tego gościa, co dostał węgorzem elektrycznym, i to jeszcze żywym? He, he! Takie akacje to ja rozumiem!

– Hihihhi – zawtórowała anielica. – Albo jak Faelnirowi płaszczka przysłała się do twarzy, hihhi!

– To była flądra, Andżelo – poprawił ją elf. – Mają podobną budowę ciała, ale nie są spokrewnione. Flądry należą do płastug i...

– Ej, wiara, czy tylko ja mam wrażenie, że coś jest nie tak? – zapytał Garred.

Stanęli pośrodku korytarza. Andżela przestała chichotać. Było za to słychać pstrykanie aparatu jej smartfona. Raz za razem.

– Może ktoś rozlał farbę? – zapytał Faelnir zdawkowo. – Mogą robić remont.

– Rozlał farbę, mądralo? Na wszystkich ścianach, suficie i podłodze?

Elf podrapał się nerwowo w nos.

– Pod wpływem odpowiedniej temperatury i ciśnienia mogło dojść do eksplozji pojemnika...

– Ee, ludziska – wtrąciła Andżela – czy to nie jest, tak jakby, korytarz do naszych pokoi?

Przez chwilę panowała cisza. Cała trójka ocknęła się dopiero, gdy z głę-

bi korytarza dobiegł dźwięk otwieranych drzwi. Jak na komendę spojrzeli w tamtą stronę. Ktoś szedł, właśnie zbliżał się do zakrętu. Nastolatkwowie odruchowo przysunęli się do siebie. Elf poprawiał okulary, anielica trzymała telefon w pogotowiu, krasnolud uniósł suma – pamiętkę z targu – w roli broni.

Chlap, chlap, chlap. Coraz bliżej. Aż w końcu...

Zza rogu wyszła sukkubica niedbale owinięta ręcznikiem, który przy każdym kroku rozsuwał się, pokazując nieco więcej, niż uchodziło za dopuszczalne. Miała zamknięte oczy i kiwała głową, z uśmiechem nucąc coś do muzyki z odtwarzacza. Raczej nie mogła usłyszeć potrójnego westchnienia ulgi, ale chyba wyczuła, że coś jest nie tak, bo zatrzymała się i uniosła powieki.

– Na co się gapicie? – zapytała, wyjmując jedną ze słuchawek z ucha.

Andżela wskazała palcem jej stopy. Demonica spuściła wzrok, patrzyła przez chwilę, po czym powoli wyprostowała się i obejrzała na korytarz za siebie, na ściany i sufit.

– O, ku...

(dum dum dumm)

– To wszystko, co znalazłem.

Krasnolud rzucił na stół zakrwawiony strzęp materiału.

– To jego kaptur! – krzyknęła Zari.

Chłopaki spojrzeli na nią ze zdumieniem.

– Kogo?

– Jak to, kogo? Była nas piątka, nie kojarzycie? Poszliśmy razem na targ! Miał bluzę z kapturem!

Faelnir drapał się w skroń, Garred gładził brodę, Andżela była zajęta pisaniem do przyjaciółek.

– Czaicie, że na saintbooku zablokowali mi posty ze zdjęciami korytarza, bo niby łamią zasady społeczności? – zapytała piskliwie.

– Nie mówcie mi, że go nie pamiętacie! – wybuchła Zari. – Taki ponury typek, zawsze na uboczu, wychodził w nocy, nikt, nic?

– Nie kojarzę nikogo takiego – stwierdził krasnolud.

– Ja też nie – przyznał elf. – Co to był za jeden?

– To był... to był... ee...

– Mortius. – Wszyscy popatrzyli na anielicę, która nie odrywała wzroku od telefonu. Tipy w szaleńczym tempie tańczyły po ekranie. – Rozmawiałam z nim rano. Mówił, że zeszłej nocy, tak jakby, objadł się na mieście. To pewnie stąd tyle... tyle krwi. No wiecie, to jak z komarem, co nie, jak wypije krew i go rozplaszczysz na ścianie...

– Dobra, nie kończ. Co on tu robił? Myślałam, że jest z wami!

– Na mnie nie patrz, nie znam gościa – rzekł Garred.

– I co go, do cholery, zabiło? Zaraz przed drzwiami mojej łazienki!

Przez chwilę panowała cisza. Cała czwórka popatrzyła po sobie niepewnie.

– Anieli pisze, że to na pewno ten potwór – powiedziała anielica cienkim głosem.

– To tylko miejska legenda – rzucił Faelnir, bardzo starając się, aby ton jego głosu brzmiał lekceważąco. – W atmosferze zabawy i pijaństwa komuś zawsze zwidzi się coś dziwnego.

– No... ale co z tym potworem? – zapytał Garred. – Znaczy... o co mu chodzi?

– Podobno w noc festiwalu wychodzi z morza, mścić się za wszystkie złowione ryby. Nie ma żadnych dowodów na jego istnienie. No, może było parę niewyjaśnionych zniknięć, ale przecież podczas masowych imprez takie rzeczy się zdarzają...

– Straszycie Andżelę – warknęła Zari. Anielica patrzyła ogromnymi oczami na elfa. – Idę do obsługi. Niech tu, kurwa, sprzątną. I muszę umyć stopy.

Pozostała trójka popatrzyła po sobie.

– My... my chyba też pójdziemy – uznał Faelnir.

Szybkim krokiem dogonili Zari. Wydawało się, że z tyłu, w korytarzu, wciąż było czuć wrogą obecność.

(dum dum dumm)

– No i? Gdzie ta wasza krew?

Goblińska sprzątaczką popatrzyła podejrzliwie na korytarz, a potem na nastolatków. Szturchnęła elfa mopem.

– Ładnie to tak stroić sobie żarty z goblinów pracy, he?!

– Ale... ale tu naprawdę wszędzie była krew! Widzieliśmy to, wszyscy!

– Tak, tak, i co jeszcze! Zmiatajcie mi stąd, durne dzieciaki!

– Mamy zdjęcia na dowód! – upierała się sukkubica. – Andżela, dawaj telefon!

Wyciągnęła rękę, ale nie doczekała się spodziewanego ciężaru w dłoni.

– Chłopaki? Gdzie jest Andżela?

Garred i Faelnir popatrzyli po sobie.

– Coś chyba wspominała, że rozładowuje jej się bateria...

– I że musi iść do pokoju po ładowarkę...

– Kretyni!

Sukkubica wyminęła ich i, ignorując pomstującą sprzątaczkę, pobiegła korytarzem. Czystym, wypucowanym, bez jednej plamki na tapecie i bez śladu ciężkiego odoru żelaza. Jak w ogóle można tak szybko wyczyścić ściany z krwi? Z każdym krokiem niepokój coraz mocniej dawał o sobie znać.

Drzwi były na samym końcu korytarza. Zari zwolniła. Andżela miała tyle czasu, żeby wziąć ładowarkę, czemu jeszcze nie wróciła? Powoli wyciągnęła rękę do klamki. Serce zabiło jej mocniej. A jeśli...

Klamka nagle się poruszyła. Drzwi się uchyliły.

A potem rozbrzmiał krzyk.

– Och... Zari! Przestraszyłaś mnie!

– Jasna cholera, Andżela, to ty nie strasz mnie. Masz telefon?

– T... tak, ale czemu...

Zari wyrwała jej smartfona. Nie miał blokady, bo na odblokowywanie anieliica straciłaby za dużo czasu, który mogła przecież spożytkować na sain-tbooka, amengrama i co tam jeszcze wymyślono.

Weszła w galerię. Ostatnie zdjęcia były z festiwalu.

– Gdzie one są? Chyba ich nie skasowałaś?

– C-co? Nie, nic nie kasowałam!

Obie pochyliły się nad ekranem. Zari szybko przewijała zdjęcia, tak jak-

by spodziewała się, że te sprzed dwudziestu minut pojawią się wśród tych sprzed dwóch godzin.

– Dawłaś komuś telefon? Pożyczałaś, cokolwiek? – Tamta kręciła głową. – Wypuszczalaś z ręki chociaż na chwilę?

– Um... Tak jakby, musiałam go podładować, co nie? Leżał podłączony na szafce przy łóżku, co nie, a ja musiałam na chwilę do łazienki, ale to tylko parę minut...

Zari pchnęła drzwi i weszła do pokoju. Przez otwarte okno przy szafce wpadał lekki, cuchnący rybami wietrzyk.

(dum dum DUMM)

– Pewnie to tylko głupi żart – powiedział krasnolud. – Tego, jak mu tam...

– Mortiusa – burknęła Zari.

– Ta. No więc chciał nas nastraszyć i mu się udało. Pewnie zaraz wyskoczy z krzaków, krzycząc, że nas nabrał, albo coś.

– Mhm – mruknęli pozostali.

– To... kto chce napić się piwa?

Garred popatrzył po towarzyszach, ale żadne nie kipiało entuzjazmem. Szli w niezręcznej ciszy uliczką blisko targu, skąd wciąż zawiewało rybi smród. Zapadał wieczór, niebo przybrało barwę fioletozowego z błękitem, a mieszkańcy i turyści szykowali się do pochodu zaplanowanego zaraz po zejściu słońca. Rozbłyskiwały już pierwsze lampiony z namalowanymi łuskami i wytrzeszczonymi oczami.

W pewnym momencie nastolatków minęło dwóch satyrów. Zari obejrzała się. Najpierw zwolniła. A potem zawróciła.

– Gdzie ty znowu idziesz? – obruszył się Faelnir.

– Bawcie się beze mnie. Ja muszę się odprężyć.

– W takim momencie myślisz o... – Dalszy ciąg urwało wycie wuwuzeli prawie tuż nad ich uchem.

– Słuchajcie, ktoś dla żartu udawał, że zrobił miazgę z naszego kolegi, to chyba jasne, że chcę o tym zapomnieć – warknęła Zari, nim zniknęła w tłumie.

- Wolałabym, abyśmy, tak jakby, trzymali się razem – pisnęła Andżela.
- Na brodę mojego dziada, mają tu kraftowe piwa! – zawołał Garred.
- Legendarny Lager Spod Góry! Nigdy bym się go nie spodziewał w takim miejscu!

Z tymi słowy krasnolud pomknął na swych krótkich nogach do pobliskiej knajpy, nie rzucając towarzyszom ani jednego spojrzenia.

– Powiedziałam, że...

– Ooch, to słynny elfi kulturoznawca Selvani, czytałem wszystkie jego książki! – Elf mało nie podskoczył z wrażenia. – Pewnie też zainteresował go festiwal! Mam do niego tyle pytań!

Nim Andżela zdążyła zareagować, została sama. Rozejrzała się bezradnie, ściskając kurczowo telefon. Patrzyła na zmianę w każdym z trzech kierunków, w których odbiegli członkowie grupki, nie wiedząc, za kim powinna się udać. Z drugiej strony, nie miała czego się bać, skoro to w hotelu było tylko głupim kawałem, a teraz ze wszystkich stron otaczał ją tłum. Prawda?

Z wahaniem ruszyła w stronę targu, postanawiając przynajmniej obejrzeć pochód. Na ścianę zaułka za jej plecami padł wielki cień...

(dum dum DUMM)

Garred szedł chwiejnym krokiem. Miasteczko okazało się nad wyraz cywilizowane – mieli tu wybór piw dla przedstawicieli niemal każdej rasy, zachwycający nawet dla tak wybrednych smakoszy, jak niskorośli kopacze tuneli. Tutejszy specjał, Oddech Smoka (osiemdziesiąt procent; pijesz na własną odpowiedzialność) potrzepał nawet jego. Momentami miał wrażenie, że jeszcze chwila i zacznie widzieć smoki.

– Hej, ho, było dziesięciu górników, jeden w dziurę wlaź, zostało dz... dziewięciu górników...

Ściany z lewa i prawa kołysały się jak fale na morzu. Krasnolud zaklął pod nosem.

– Hej, hooo, było siewięciu górników, jednemu kamień na łeb spadł, zostało ośmiu górników...





Ciemny kształt zastąpił mu drogę. Z mroku połyskiwały okrągłe, puste ślepia. Ostry smród ryb działał niczym sole trzeźwiące.

– Jes... tef tylko pi... hik! ...pijackim zwidem.

Jak na zwid, kształt był bardzo konkretny, choć szczegóły rozmywały się krasnoludowi przed oczami. Za to Garred dobrze widział długie, podobne do noży pazury. Które po chwili zatopiły się w jego twarzy.

Wysokopromiowa krew chlusnęła na bruk, z gardła wyrwał się ochryply krzyk. Drugi cios rozerwał spraną koszulkę, skórę i wnętrzności. Wrzask przeszedł w bulgot, gdy z gardła został tylko strzép.

– Po... mo...

Świsnęły ostrza. Górna połowa krasnoluda z lepkiem plaskiem wylądowała dwa metry dalej. Nogi stały jeszcze przez chwilę, nim osunęły się na ziemię.

Ciemny kształt, łypiąc ślepiami okrągłymi jak obiadowe talerze, poczłapał w ciemność, zostawiając za sobą kałuże wody.

(dum dum DUMM)



Zari poprawiła krótką spódniczkę, a potem włosy, oblizując z zadowoleniem wargi. Opuściła zaulek, gdzie z dwójką przelotnych znajomych znaleźli nieco prywatności, i poszła szukać reszty przyjaciół. Było pusto, ale w końcu wszyscy oglądali pochód na placu. No i znów śmierdziało rybami, jakby mocniej, niż za dnia.

Coś leżało na bruku. Zwolniła.

Wokół ciała rosła kałuża krwi. Twarz była rozorana jak zdrapka na loterii, ale na strzępach koszulki wciąż dało się rozpoznać nadruk ze smokiem i kufkami piwa.

(dum dum DUMM)

Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Anielica prawie nie oglądała pochodu, a zdjęcia robiła głównie z przyzwyczajenia. Smartfon pikał z każdą nową wiadomością od spragnionych relacji przyjaciółek. Pierwszy raz w życiu nie miała ochoty odpisywać.

Wyły trąbki i grzmiały bębny, gdy tancerze nieśli wielkiego, papierowego węgorza, podskakując do chaotycznej muzyki. Andżela włączyła nagrywanie. W pionie. Łeb węgorza, ozdobiony srebrnymi dzwoneczkami, nieźle łapał się w kadr. Okrągłe źrenice kołysały się przy każdym ruchu, nadając pozoru życia. Andżela uśmiechnęła się do ekranu. Na którym po chwili pojawiła się twarz Zari.

– Andżela! Jesteś sama?!

Sukkubica złapała ją za ramiona i potrząsnęła. Anielica o mało nie upuściła telefonu.

– Zostawiliście mnie, tak jakby – powiedziała z nutką urazy w głosie.

– Garred nie żyje! Coś go... coś go rozerwało.

Anielica gapiła się na nią.

– C-co?

– Flaki ciągną się przez połowę uliczki. Spierdalamy stąd – rzekła Zari stanowczo, łapiąc ją za ramię i ciągnąc za sobą.

– Ale... ale Faelnir...

– Gdzie ten kretyn?

(dum DUMM DUMM)

– Niesamowite. Niesamowite. Absolutnie wspaniałe!

Tak mamrotał elf do siebie, żałując, że nie zabrał żadnej książki, którą mógłby dać wielkiemu kulturoznawcy do podpisania. Tyle wiedzy! Taka erudycja!

– Najlepszy. Dzień. W życiu.

Szedł z powrotem do hotelu – musiał spisać wszystkie złote myśli, zanim umkną mu z głowy! – gdy do nozdrzy dotarł intensywny odór ryb. Dziwne. Czyżby przypadkiem zawrócił na targ?

Przystanął i rozejrzał się. Nie, był pewien, że szedł dobrze. Z tyłu dobiegło jakieś mlaskanie. Zerknął przez ramię, ale niczego nie zobaczył. Woń morza i zepsucia przybierała na sile.

– Jest... tu kto?

Obejrzał się znowu. Na końcu ulicy, na krawędzi mroku ktoś stał. Czy raczej coś. Wzrostem sięgało markizy piekarni obok – i chyba patrzyło prosto na niego. Faelnira opadły złe przeczucia. Ruszył przed siebie. Kształt za nim również.

Zaczął biec, skręcił gwałtownie w uliczkę, przemknęło mu przez głowę, by schować się wśród pojemników ze śmieciami, ale instynkt kazał uciekać, biec jak najdalej stąd. Ścigał go rybi smród, jak od stosów ryb pozostawionych w pełnym słońcu na wiele godzin.

Za sobą słyszał mlaskanie, sapanie, plusk wody. Coraz bliżej. Zmusił się do przyspieszenia, niemal potknął, wyskoczył za róg budynku. Przewrócił z hałasem kubeł, okulary przekrzywiły się na nosie, modna fryzura potargała.

Obrócił się, dysząc głośno. Woń jakby zelzała. Nie słyszał żadnych dziwnych odgłosów... tylko śmiechy i muzykę z targu. Przełknął ślinę, drżącą dłonią poprawił włosy. Tak, lepiej znaleźć pozostałych. Widział już na końcu ulicy tancerzy z wężorzem i tłum z latarniami.

Odetchnął.

Tuż za nim pokrywa studzienki kanalizacyjnej wystrzeliła w górę. Z kanalizacji buchnął obezwładniający smród, a coś oślizgłego chwyciło elfa za

nogę i pociągnęło do otworu. Biedak utknął jedną nogą na krawędzi dziury, ale wtedy to, co go trzymało, szarpnęło mocno, łamiąc wpół.

Faelnir zdążył jeszcze wrzasnąć, zanim pokrywa wróciła na swoje miejsce.

(dum DUMM DUMM)

Pokój Garreda i Faelnira był pusty. Nie w sensie fizycznym, rzecz jasna, bo przez nieziemski bałagan dziewczyny nie miały gdzie postawić stopy, ale odczuwały wyraźny brak lokatorów.

– Myślałam, że widziałam go, jak wraca do hotelu – pisnęła Andżela.

– Zostawimy mu kartkę – uznała Zari. – Na co czekasz? Idź się pakować! Złapiemy stopa i spadamy stąd.

Anielica się nie ruszyła. Stała i patrzyła na koleżankę.

– No co?! – Sukkubica traciła cierpliwość.

– Na targu. Mówiliśmy o rybach i potworze – powiedziała Andżela wysokim głosem.

– Może i tak. I co z tego?

– Powiedziałaś, że masz nadzieję, że potwór istnieje. I że nas zeżre.

Zari spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Słucham? To wszystko to nagle moja wina?

– Najpierw Mortius, potem Garred! A Faelnir zniknął! – krzyknęła anielica ze łzami w oczach. – Kto będzie następny? Ty? Ja?

– Nie wygaduj bzdur! Wyjeżdżamy stąd, a za rok będziemy smażyć się na plaży w jakimś miłym, elfickim kurorcie. – Podeszła do niej, chwyciła za ramiona i potrząsnęła. – Myśl o plaży, Andżela. Piasek, słońce, drinki, przystojni faceci i żadnych ryb!

– M-myślę – wymamrotała.

– Świetnie. Nie przestawaj. I pakuj się, do cholery.

(DUMM DUMM DUMM)

Po uliczkach nie kręcił się nawet bezpieczeństwa pies. Chmury przesłoniły

księżyc i ciemności rozpraszały tylko latarnie, których światła podejrzenie często migotały. Teraz wszędzie śmierdziało rybami, choć Zari i Andżela znajdowały się daleko od targu.

– Czemu tu tak... tak brzydko pachnie? – zapytała anielica cienkim głosem.

– Pewnie nawiewa od wybrzeża.

Szły szybkim krokiem. Chociaż obie przyjechały tutaj z kilkoma torbami, w jakiś magiczny sposób każda na drogę powrotną spakowała się tylko w jedną.

– Zari...

– Co znowu?

– Co to za dźwięk?

Przystanąły i zaczęły nasłuchiwać.

Plask. Plask. Plask.

Jakby coś dużego wdeptywało w kałuże. A potem owo *coś* wyszło z uliczki i stanęło w snopie światła pobliskiej latarni.

– Och – wyrwało się Andżeli.

Na dwóch krótkich nogach osadzone było oślizgłe rybnie cielsko zakończone karykaturalnie dużą, okrągłą głową. Ślepią wielkie jak kołpaki gapiły się w ciemność. Po bładozielonych łuskach spływała woda i szlam. A zamiast płetw...

Cóż, zamiast płetw potwór miał pazury długie jak wiosła.

Przez chwilę patrzyły na bestię, a ona na nie.

– CHODU! – krzyknęła Zari.

Zerwały się do biegu, ścigane przez dźwięk ociężałych kroków. Andżela przewróciła się. Raz. I drugi. Sukkubica obejrzała się, zakłęta i zawróciła.

– Do cholery, on nawet nie biegnie! Weź się w garść!

Pociągnęła anielicę za ramię. Rybi potwór szedł za nimi, powoli, nieubłaganie i złowieszczo. Do pluskotu wody dołączył zgrzyt pazurów ciągniętych po bruku. Nagle bestia się zatrzymała, wydała dźwięk podobny do kota, który zмага się z kłaczkiem... i wypluła obślinioną głowę Faelnira. Zari niemal ogłuchła od długiego pisku przerażenia, jaki wydała z siebie Andżela. Telefon upadł na bruk, ekran pękł z trzaskiem.

– POMOCYY!!!

Anielica odwróciła się na pięcie i ruszyła jak z kopyta. Zaskoczona sukkubica ledwie za nią nadążała.

– W lewo! Skręć w lewo!!!

Andżela uderzyła na prawo. Zari, klnąc pod nosem, pobiegła za nią. Z tyłu ścigał ich odór ryb, a twarze owiewała woń morza. Budynki zniecka przeredzily się, a przed dziewczynami wyrosła ciemna toń. Kutry rybackie po obu stronach moło kołysały się leniwie.

– Stój! Wpadniesz do...

Anielica potknęła się na schodach przystani. Z głośnym sapnięciem sturlała się na dół. Zari zatrzymała się i obejrzała. Potwór – jakimś cudem – wciąż był tuż za nimi. Rozdziawił paszczę, uniósł pazury. Smród przybrał na sile, otulił sukkubicę, aż wezbrały w niej mdłości.

(dum)

– Czy ktoś tu jest?! Pomocy, do jasnej cholery! To coś chce nas zeżreć!!!  
Odór zwałał z nóg. Próbowwała biec, ale ugięły się pod nią nogi.

(dumm)

Przesłonił ją wielki cień. Potwór gapił się swoimi ślepiami zdechłej ryby. Zniecka przypomniał jej się dorsz, którym dostała wczoraj w twarz.

Otworzył paszczę, owiewając ją smrodem. Między zębami miał strzępki niebieskiej skóry i coś, co wyglądało jak połamane oprawki okularów.

– Ja pierdolę – jęknęła.

(DUMM)

– NIE OBAWIAJ SIĘ.

Dudniący, nierealny głos wyraźnie wydobywał się z otworu gębowego potwora. Nie dość, że poźre ją przerośnięta ryba, to jeszcze miała przedśmiertne halucynacje.

– NIE JESTEŚ WROGIEM RYB.

Patrzyła w puste oczy. Wyglądały wciąż tak samo tępo.

– C... co?

Bestia zamlaskała. Kiedy znów rozdziawiła paszczę, na zębach miała trochę mniej skrawków Faelnira.

– ZNISZCZĘ WSZYSTKICH WROGÓW RYB. WSZYSTKICH, KTÓRZY SIĘ Z NAS ŚMIEJĄ. TO JUŻ SIĘ ZACZEŁO. NASI WROGOWIE MUSZĄ...

Po tych słowach na Zari prysnęła fontanna krwi.

Zamrugła. Z paszczy wystawał metalowy grot harpuna. Bestia zabulgotała, przewróciła oczami i osunęła się do wody. Otepiała sukkubica popatrzyła w kierunku, z którego przyleciał harpun.

– To najgorsze wakacje w moim życiu – powiedziała Andżela drżącym głosem, stojąc za wyrzutnią na jednym z kutrów.

\*\*\*

*Rok później. Elficki kurort nad morzem.*

Przystojny elfi barman postawił na ladzie dwa drinki. Sukkubica posłała mu uwodzicielski uśmiech, wzięła kieliszki i skierowała się na plażę. Andżela leżała na ręczniku. Od dwóch dni próbowała się opalić, ale wciąż była jasna jak niedopieczona bułeczka.

– Twój drink. – Zari uśmiechnęła się lekko.

– Ryby! Świeże ryby!

Obie drgnęły i obejrzały się gwałtownie. Po plaży szedł obnośny sprzedawca z jakimiś sardynkami. Zari zaśmiała się nieszczerze.

– Ryby na plaży? Kto to kupuje?

– Aha. Głupi pomysł, co nie – zachichotała Andżela nerwowo. – Przypomina mi się zeszły rok...

– Nie rozmawiamy o tym.

– Nigdy nie znaleźli...

– Nie. Rozmawiamy – zaakcentowała sukkubica. – Pij drinka. Pójdę po jeszcze jednego.

Wstała. Słońce grzało rozkosznie, tłumy na plaży bawiły się w najlepsze.

Nie wiedziała, że z morza sączy się znajoma woń, która już lizała jej kostki.

# Sen życia z miłosnym tańcem dwóch jednakowych Michałów w tle

Marcin Bartosz Łukasiewicz

*Dla wszystkich Michałów świata, nawet tych, którzy nie mają na imię Michał (tylko na przykład Michalina albo Zygmunt)*

Michał uderzył głową o klapę laptopa. Przebił czołem matrycę i pokaleczył się o kawałki plastiku. Jęknął, kiedy kudły zaplątały się w kable, i zastygł na moment w idiotycznej pozycji. W końcu z pomrukiem cierpienia oderwał się od komputera, wyrrywając przy tym kępkę włosów.

Popatrzył podejrzliwie na urządzenie, które wydawało się z niego kpić, po czym wyrzucił je przez okno. Piętnaście pięter to spory dystans. Zresztą, przy jego szczęściu pewnie wyląduje na czyimś balkonie.

Otworzył szufladę w biurku i wyjął nowego, czyściutkiego laptopa. Podpiął go do ładowarki, przeszedł przez krótki proces konfiguracji i otworzył ponownie maila, żeby jeszcze raz przeczytać odpowiedź od złośliwego redaktora.

Słowa wirowały w jego głowie: brak fabuły, niezrozumiałe metafory, język do poprawy. Michał nie przejmował się takimi rzeczami, zawsze mógł puścić tekst w jakimś niszowym zinnie, niskonakładowej antologii starych znajomych czy wygrać nagrodę w konkursie organizowanym przez powiatowy dom kultury. Zdziwił się jednak, kiedy dotarł do uzasadnienia odmowy publikacji tekstu.

*Jest w tym opowiadaniu pewna scena, która... hm... jakby to ująć delikatnie: jest gorsząca. Nie zamierzamy wspierać autorów, którzy pod płaszczykiem przenośni i wartości próbują przemyścić ordynarny, prostacki seks.*

Michał podrapał się z frasunkiem po uszkodzonej głowie. Że co?

*Który konkretnie fragment ma pan na myśli? – odpisał.*

Odpowiedź przyszła natychmiast.

*Z lubością i drapieżnością złapał za pierś, ostrząc sobie zęby na wieczorną ucztę.*

*Ale przecież bohater kupuje kurczaka na kolację – próbował tłumaczyć się Michał.*

*Nie ze mną te numery, zbereźniku.*

No dobra.

Michał stwierdził, że nie może tego tak zostawić. Postanowił napisać dzieło totalne i, chociaż wcześniej naprawdę nie miał ukrytych zamiarów, tym razem za punkt honoru postawił sobie zakpienie z sztydzącego, pustogłowego redaktora. Otworzył nowy dokument, położył obok książkę kucharską i zaczął pisać.

\*\*\*

Jej pomidory były słodkie i obfite, jak gdyby dojrzewały w gorącym słońcu Toskanii, a nie w zrujnowanej, wujkowej szklarni na Podlasiu. Na ich widok pociekła mu ślinka. Myślał już o tym, jak skosztuje dwóch perfekcyjnie posadzonych jajek na czerwonej pierzynie, przysmażonej na samodzielnie sklarowanym maśle, rumienionych przez równo cztery minuty i osiem sekund, z elegancko ściętym białkiem i żółtkiem wylewającym się ze środka niczym magma. Tak, zdecydowanie pomidory tej dziewczyny działały na jego wyobraźnię. Poza szakszuką mógł przecież przygotować krem z grzankami z żółtego sera i świeżutką, chrupiącą pod zębami marchwią.

Nagle Michał spojrzał niżej. Dojrzał coś tak pięknego, coś tak soczystego, że na sam widok opadła mu szczęka. Dziewczyna kryła coś więcej niż obfite, słodkie pomidory, wyglądające jak gdyby Michele, prosty włoski rolnik, wysłał je pierwszym samolotem do Polski: niezwykłej urody, mieniącą się intensywną barwą paprykę. Tak, Michał nie mógł marzyć o takiej papryce, nawet kiedy zwiedzał Węgry. Widział cud świata, paprykę nad papryki, z idealną skórką bez żadnej skazy, niosącą obietnicę delikatnie pikantnego wnętrza. Zamarzył o tym, by ową paprykę do reszty odsłonić, by dotrzeć do samego



środka, by wypełnić go sosem beszamelowym, ale nie takim zwykłym sosem beszamelowym, a sosem beszamelowym wysokiej jakości, zrobionym własnoręcznie, na najlepszym wiejskim maśle, a nie jakiejś zagranicznej margarynie, sosem beszamelowym mieszanym na niewielkim ogniu, by biała, drobno zmielona mąka nie zbiła się w nieapetyczne grudki, sosem beszamelowym na przepysznym, świeżym mleku prosto od krowy. Michał zrobił się naprawdę głodny, lecz wtedy przyszedł mu do głowy pomysł, by papryki nie wypełniać prostackim sosem beszamelowym, który potrafi upichcić byle kucharzyną. On był specjalistą najwyższej klasy, jego doświadczenie mówiło samo za siebie, a umiejętność odróżnienia grana padano od parmezanu sprawiała, że kobiety mdlały. Pomyślał o tym, by do przepysznego, ale wciąż dość pospolitego sosu beszamelowego dodać najwyższej klasy ser gruyere i nieco pięciogwiazdkowej śmietany, by stworzyć francuski sos Mornay.

Pod papryką kryło się jednak coś jeszcze rozkoszniejszego, jeszcze piękniejszego, jeszcze bardziej wzywającego do siebie Michała. Coś, czego jakość potrafił docenić jedynie profesjonalista, szef kuchni światowej sławy, który z pogardą odsuwał od siebie śmieci pichcone w marnych klitkach z dwoma, czy nawet trzema gwiazdkami Michelin. Coś, co powinno być wznoszone pod samo niebo, czemu malarze powinni dedykować obrazy, rzeźbiarze pomniki, a zespoły rockowe tęskne, nostalgiczne ballady, traktujące o zapomnianym smaku dzieciństwa, który już nigdy nie wróci.

Między udami dziewczyny tkwił ziemniak.

Michał wzruszył się na ten widok. Zdawałoby się, iż przed nim widniała prosta, prostacka wręcz poznańska pyra, śląski kartofel, czeski *brambor*, angielski i amerykański *potato*, rosyjska *kartoszka*. Była malowniczo brudna, obsypana ziemią i piachem, brązowo-bura pod skorupą zaschniętego błota. Michał był pewien, mógł postawić na to cały swój majątek i doświadczenie, nawet mały palec u stopy, że ziemniak w środku był doskonale żółty, a więc pozornie zupełnie nijaki. Nie miał przed sobą odmiany o niebieskim, fioletowym czy purpurowym mięszu, tak kochanym przez bogaczy o niewyrobinym guście, stołujących się w prostackich kuchniach Nowego Jorku czy Burdż Chalifa. Nie, to był najpospolitszy przedstawiciel rodziny psiankowatych,

wywodzący się w prostej linii od swoich przodków w Ameryce Południowej, bogaty w skrobię *Solanum tuberosum*.

Michał wyobraził sobie, jak drżącymi dłońmi łapie za dorodną bulwę. W jego głowie ziemniak z jakiegoś powodu był podskórnie ciepły. Zapragnął oddać honor każdej części prostego kartofla: zabrać go ze sobą do wanny, by wilgotnymi palcami zmyć ze skórki brud, a później chwycić za nóż do obierania owoców z tanią rączką, która kiedyś była czerwona, zielona lub niebieska, jednak przez lata używania jej kolor stał się szarobury, a w rękojeści został już tylko ołów, uran i inne rakotwórcze pierwiastki, które chińskie dzieci ze sztucznym uśmiechem na ustach i kaszlem gruźlików umieściły, ku radości przełożonych, w plastikowym stopie. Chciał obierać bulwę z *Lacrimosa* w tle, odtwarzaną z winylu, tak żeby szum niedoskonałej, analogowej płyty chociaż trochę zagłuszył te nieznośne jęki i zawodzenie, którego nie dało się słuchać. Chciał upuścić kroplę własnej krwi na obnażone wnętrze ziemniaka, by na zawsze połączyć się z *bramborem* w wiecznym tańcu miłości. Później zostałyby tylko jedno: delikatne, precyzyjne pokrojenie wszystkiego na grube paski i wpierdolenie tego jebanego ścierwa do chujowego oleju silnikowego po przerdzewiałym, ledwo toczącym się golfie 1.9 TDi, żeby to żółte gówno nabrało jakiegokolwiek normalnego koloru. Po obróbce cieplnej Michał zamierzał przygotować idealny sos holenderski tylko po to, by pokazać go ziemniakowi i wykurwić przez okno, a potem zalać belgijskie fryty mieszanką majonezu, keczupu i octu, siąść na dupie przed telewizorem, włączyć mecz, otworzyć czteropak Harnasia i wpierdolić wszystko, plamiąc tłuszczem starą, wypierdzianą kanapę, brudny podkoszulek i nieprane od dwudziestu lat dziurawe gacie.

\*\*\*

Michał z satysfakcją zamknął laptopa. Wiedział, że tym razem się uda, że twardogłowy redaktor, wychowany na *Gali*, *Naj* oraz *Głosie Rawy Mazowieckiej i Okolicy* niczego nie zrozumie. Przeciwnie, zachwyci się kwiecistymi metaforami, bo przecież połowa idiotów w małych wydawnictwach to

niespełnieni poeci po polonistycy, którzy i tak mają szczęście, że nie muszą pracować w bibliotece gminnej. Z satysfakcją położył się spać.

Wtedy jego alter ego, również Michał, wstał po cichu i przekradł się do komputera, by załogować się na tajne konto mailowe i sprawdzić odpowiedź od redaktora niszowego, fanowskiego szmatławca.

Okazało się, iż jego praca nie została doceniona. Cóż, zawsze mógł puścić taki tekst w innym niszowym zinnie, niskonakładowej antologii starych znajomych czy wygrać nagrodę w konkursie organizowanym przez powiatowy dom kultury. Ale redaktor zdeptał jego ambicję, a to domagało się krwi. Zasiadł więc wygodnie, złączył kostki i otworzył Worda.

\*\*\*

– Spacer? Tak? Azor? Łapajmy szarpaka! Aport!

Poranek był chłodny, ale człowiek z radością machał rękami, podekscytowany nadchodzącą zabawą. O ósmej, właściwie każdego dnia, jego właściciel zabierał go na trawnik, by mógł w spokoju opróżnić pęcherz i jelita oraz pobiegać za piłką. Kiedy już Kazimierz wylatał się po trawie, zaczynało się szarpakowanie. Opiekun brał solidny kawałek sznura w zęby i przeciągał z człowiekiem. Siłowanie bywało czasem trochę od niechcenia, ale Kazimierz bardzo poważnie podchodził do zabawy. Traktował każdą sekundę z wdzięcznością. Kiedy tylko właściciel dawał mu wygrać, skakał z radości na jednej nodze. I Azor, szpakowaty border collie nawet nie wyciągał telefonu, żeby nagrać filmik i rozesłać po znajomych.

– Wracamy?

Zabawa zawsze musiała w pewnym momencie dobiec końca. Azor nie dyscyplinował Kazimierza, nawet gdy ten był nieco zbyt rozbawiony i brykał radośnie po trawie. Parę razy człowiek przegiął nieco, ale border collie był dobrym właścicielem i nie stosował kar fizycznych. Angażował się mocno we wspólną relację, która miała oparcie w zaufaniu i więzi, a nie bólu.

– Chodźmy! Hop, hop!

Uruchomiona winda jechała przez jakiś czas. Rozbawiony Kazimierz po-



wcisnął kilka dodatkowych przycisków, ale skulił głowę.

– Yh! – warknął Azor.

Bujnęło nieco, jak miską z wymiocinami podczas sztormu, ale winda zachowała swój bieg.

\*\*\*

– Co robisz? – zapytał nagle przebudzony ze snu Michał.

– Piszę – odparł Michał piszący opowiadanie.

– Człowieku, to nie twój laptop w ogóle! – zaperzył się Michał, widząc, co się święci.

– Oczywiście, że mój! – wzburzył się Michał po okrutnych słowach.

Michał wskazał na naklejkę z imieniem Michał.

– To weź sobie chociaż załóż osobny profil! – zażądał Michał, odpuszczając kwestię laptopa.

– I co, ma być też Michał? Będą dwa Michały? A co, jak się pomylisz i mi

coś skasujesz? – zdenerwował się Michał.

– To zrób sobie Michał2! – Michał błysnął pomysłem.

– Czemu Michał2? Ja nie chcę być Michał2! – zdenerwował się Michał.

– Kto to widział, żeby we własnym domu, przy własnym laptopie mieć profil o nazwie Michał2?

– To Michał3 – zażartował Michał.

– Michał3? Chyba ty! – wściekł się Michał.

– Dobra, to nie wiem, dasz sobie inny avatar – zaproponował Michał.

– Nadal będziesz mógł grzebać w moich rzeczach! – wytknął Michał groźnie.

– A ty w moich! Hasło se załóż! – rzucił Michał z irytacją.

– To akurat niegłupie. Tak zrobimy – odparł Michał po krótkim przemyśleniu.

– Co ty w ogóle pisesz... Azor, Kazimierz? Ale odwrotnie? Co ty, redaktora chcesz wykiwać? – zainteresował się Michał.

– No – odpowiedział Michał. – Tekst mi odrzucił.

– Pokaż maila – poprosił Michał.

Po chwili patrzyli na odpowiedź od redaktora.

– Bufon i ignorant, nic nie czai – skomentował Michał.

– No, dlatego smażę coś, żeby puścił i ludzie się z niego śmiali – odparł Michał.

– Ty, to może połączymy siły? – zapytał Michał.

– A dawaj! Tylko o czym napiszemy? – Michał patrzył wyczekująco.

– Czekaaj, skoczę tylko do kibla... o, wiem, daj taki tytuł: Życie ma sens – rzucił Michał przez ramię, wchodząc do łazienki.

– Dziwnie, ale może być. – Michał nie dosłyszał wszystkiego, ale udał, że mu pasuje.

\*\*\*

Życie ma sen.

Snem życia było samo życie, a samo życie było życia snem. Życie śniło

o życiu, ale również o posiadaniu, gdyż w jego ekwipunku znajdował się sen, sztuk jedna, i bez prawa do posiadania sen nie mógłby znajdować się w ekwipunku, chyba, że życie komuś by go ukradło. Gdyby jednak nie istniało prawo posiadania, nie byłoby również mowy o kradzieży.

Życie założyło więc, że ma (w sensie: posiada, jest właścicielem) sen (w sensie: takie coś, co przychodzi do ludzi w nocy).

Życie zasepilo się. Skoro sny przychodzą do ludzi, to czy w takim przypadku jest człowiekiem? A może sny przychodzą też do innych stworzeń?

Życie popatrzyło na swojego psa. Spał, ale jego łapki delikatnie się poruszały, jak gdyby dokąś biegł. Życie usłyszało też cichutki szczek. Ha! Psu ewidentnie coś się śniło.

Czy życie było więc psem? Nie, chyba nie.

Życie nie mogło dojść do odpowiednich wniosków, a to przecież był dopiero początek opowiadania. Zapowiadało się ciężko, ale życie jako bohater musiało się przejmować wyłącznie fabułą. A i tym nie do końca, bo być może autor szykował w fabule coś, co nie dotyczyło życia jako takiego, tylko kogoś innego. Na przykład psa.

Życie doszło też do wniosku, że „mieć sen” to fraza mocno nieostra. Być może źle do tego podchodziło? Być może wcale nie chodziło o sen w kontekście marzeń sennych? Być może „sen” występował tu w znaczeniu ogólnym, czyli cytując Wikipedię, jako „stan czynnościowy ośrodkowego układu nerwowego, cyklicznie pojawiający się i przemijający w rytmie dobowym, podczas którego następuje zniesienie świadomości i bezruch”? Ale czy jeśli taki sen znajdował się w ekwipunku życia, czy ktokolwiek mógł spać?

Przecież pies życia spał. Coś było nie tak.

Życie postanowiło wybrać się do baru na drinka. Może alkohol pomoże w znalezieniu odpowiedzi, w końcu historia pełna jest przypadków, w których wódka pomagała w zawieraniu sojuszy, studziła gorące głowy i zażegnawała konflikty.

Za kontuarem stał Michał. Spojrzał z ukosa na życie i zapytał:

– Człowieku, co ty piszesz? Miało być: życie ma SNES, a nie SEN!

– Życie ma konsolę Nintendo z lat dziewięćdziesiątych? – zdziwił się dru-

gi Michał, wyrosły jak spod ziemi.

– Nie, SENS. Przepraszam, litrówka.

– To ja poproszę jedną! – dorzuciło życie.

– Ten żart nigdy nie był śmieszny. Nie jest nawet teraz, kiedy się go powtarza jako suchar. Przecież sam wiesz, co mówi Michał Walkiewicz...

Do baru wbiegł zdyszany Walkiewicz, wypił duszkiem litrową flaszkę wódki i przybrał odpowiednią pozę:

– Ale trawestowanie nie jest żadną wartością, jeśli nie chodzi o nic więcej! – powiedział Michał (Walkiewicz).

– Spierdaj! – Michał, opętany przez Barbarę Białowąs, opluł go.

– Chciałbym tylko dodać, że wszelkie podobieństwo postaci do żyjących osób jest całkowicie przypadkowe. Pani Barbaro, panie Michale, prosimy nas nie pozywać.

– W razie czego i tak nie będą wiedzieli, którego Michała pozwać. – Życie błysnęło rozsądkiem.

– Gorzej, jak pozwą po prostu autora tekstu.

– Byłoby słabo – dodał Marcin.

– No, nic, wracajmy do fabuły. Co tam miało być? – zapytał Michał.

– Życie miało mieć sens – odparł Michał.

– No, teraz to ma sens! – dodało życie. – Z tym snem to mi coś od początku nie pasowało.

– Dobra, daj klawiaturę, nie umiesz. – Michał próbował wyrwać narzędzie z rąk Michała.

– Chyba ty! – krzyczał Michał.

Starli się w walce, w której tracili kolejne elementy garderoby. W końcu zapasy stały się o wiele bardziej intymne, osobiste, kiedy obaj spleli się w nagim uścisku...

\*\*\*

– Michał, co ty piszesz?! – Michał złapał się za głowę.

– No co, do kontekstu mi pasowało – odparł Michał.



– Ale poczekaj, poczekaj! – Michał sięgnął do klawiatury.

Palce obu Michałów dotknęły się po raz pierwszy.

– Właściwie to niemożliwe – dodał Michał – bo skoro jesteś moim alter ego, to mamy te same palce...

– Cicho, sam wcześniej poszedłeś do kibla – odparł Michał, po czym sięgnął wargami do ust Michała.

Michał dotykał Michała, a wtedy Michał dziwnie ucichł, ale nie protestował. Michał ściągnął Michałowi bluzę, a potem koszulkę, po czym zaczął dotykać go po podrażnionej od golenia klatce piersiowej i wiszącym na smętym pasku skóry sutku, który po traumatycznym spotkaniu z maszynką stracił nieco zdolności kredytowej. Drugi Michał początkowo patrzył na wszystko z fascynacją, ale fala pożądania powaliła go na podłogę, na którą upadł brzuchem w dół, więc przez moment nic nie widział. Kiedy wstał, poczuł dłoń Michała wędrującą odważnie po dżinsach. Zgrabne, pisarskie palce odnalazły pasek i odpięły klamrę. Michał strzelił się z rozmachem w pysk, wiedząc, że Michał to poczuje, a potem zwarł się sam ze sobą w fizjologicznie nieprawdopodobnym pocałunku, który trwał i trwał. Palce obu Michałów toczyły boje o niepodległość, ale powstanie listopadowe przebiegło w taki sam sposób, jak w XIX wieku. W końcu jeden z Michałów skutecznie wykroił dla siebie fragment autonomii, którą poparł odważną akcją Legionów Polskich, dzięki czemu już po chwili przejął kontrolę nad ciałem Michała, od teraz suwerennym i niezawisłym. Spodnie uderzyły o podłogę niczym cząsteczki w Wielkim Zderzaczcu Hadronów, w absolutnej ciszy i z hukiem tornada o mocy czterdziestu gigaton. Michał rozdarł bokserki Michała, a potem złapał za twardą, zdrewniałą dynię, którą Michał nosił przy kolanie na wypadek napadu rabunkowego. Soki dyni pociekły obficie, kiedy zderzyła się ze ścianą i rozprysnęła na dwa kawałki. W tym czasie Michał dotykał Michała, a Michał był dotykany przez Michała, więc Michał dotykał Michała mocniej, widząc, że Michał nie tylko nie protestuje przeciwko dotykowi Michała, ale wręcz dyszy z pożądania pod jego dotykiem.

Wtedy do akcji wkroczyła dziewczyna z pomidorami. Jej warzywa falowały zalotnie, a kiedy jeszcze otworzyła okno i pierwsze od lat promienie słońca



wpadły do pracowni Michałów, czerwone skórki niemal zablęskły z oczekiwaniem. Michał nie zauważył jednak, jak z laptopa wychodzą jego poronione pomysły, ponieważ drugi Michał zajmował go inteligentną rozmową i flagelacją.

Michały zajmowały się sobą tak intensywnie, że nie zauważyły nawet życia, które również postanowiło opuścić cyfrową krainę i udać się na mały spacer. Życie rzuciło spojrzenie na splecionych w miłosnym uścisku mężczyzn, a potem sięgnęło do kieszeni i wyciągnęło sens.

– No, tak mi się wydawało, że gdzieś jednak jest – powiedziało życie.

– Kurwa, nie – powiedział krytyk, który wyszedł z monitora i zastanawiał się, co tu robi – żadnego sensu, bo zepsujesz wydźwięk całej pracy jako metafory.

Ponieważ opowiadanie nagle zyskało status sztuki wysokiej, Michał zaprosił wszystkich na wernisaż, podczas którego nic się nie działo, jak to na wernisażach, po prostu ludzie pili wino i patrzyli na gówniane obrazy, które nikomu się nie podobały i szły w świat za zawrotne sumy, przy czym jeden z obrazów nie był zły, bo nie istniał, to znaczy nie istniał fizycznie, tylko metaforycznie, jako performance, żeby jeszcze mocniej udupić prostych, szczerych ludzi, którzy po całym tygodniu siedzenia na produkcji w strefie ekonomicznej chcieli tylko wrócić do domu i napić się piwa, ale zamiast tego muszą truć się wykręcającym bebechy szczochem po sto złotych za butelkę i udawać fascynację nieistniejącym obrazem.

A potem Michał się obudził, ale okazało się, że on sam jest swoim własnym snem, należącym jednakowoż do życia, więc po prostu zniknął.

## Podziękowania

Miałem w tym miejscu napisać coś zabawnego albo ogólnie zacząć z czymś dziwnym. Jeśli ktoś mnie zna to wie, w jak nietypowe rejony moglibyśmy zajść; zresztą, jako jedyny uznałem, że zrealizuję hasło przewodnie antologii poprzez ustawienie pierwszych liter zdań w jednym z akapitów.

Osobna sprawa jest taka, że zazwyczaj podziękowań nie czytam, bo są strasznie nudne.

Ale popatrzyłem na listę, naprawdę długą listę osób, które przez ponad rok zechciały użyzyć swoich umiejętności, czasu, dobrego słowa, zapachu, chęci oraz mnóstwa innych niewymienionych rzeczy. I pomyślałem sobie, że zamiast kombinować (miałem napisać krótkie opowiadanie, w którym wszyscy wystąpią) albo zlecać napisanie podziękowań komuś innemu muszę po prostu usiąść, otworzyć Worda i wymienić po kolei wszystkich, którym ta antologia coś zawdzięcza. Bez których by jej nie było, albo była gorsza, albo mniej dopracowana. I tak dalej.

Kolejność jest kompletnie i całkowicie przypadkowa.

Chciałbym podziękować Michałowi Rybińskiemu za pomysł: bierzemy hasło i coś z nim robimy (Michał jeszcze wróci w podziękowaniach, bo czemu nie?). Wszystkim, którzy zobowiązali się, że napiszą, nawet jeśli nie dali rady. Wszystkim, którzy napisali: Aleksandrze Bednarskiej, Sandrze Dąbrowskiej, Lidii Grędzie, Piotrowi Gruchalskiemu, Grzegorzowi Kałużnemu, Natalii Klimaszewskiej, Paulinie Klimentowskiej, siebie tu nie wymienię xD, Krzysztofowi Marcińskiemu, Wiktorowi Matyszkiewiczowi, Mice Modrzyńskiej, Mateuszowi Pawlakowi, Radkowi Puchale, Iwonie Serej i Marcinowi Ściburze. Dziękuję pięknie Paulinie

Klimentowskiej, która od samego początku słuchała o moich wątpliwościach i pomagała mi się z nimi uporać. Dziękuję zespołowi redakcyjnemu: Sandrze Dąbrowskiej i Paulinie Klimentowskiej. Udało Wam się wydobyć z każdego tekstu to, co najlepsze. Dziękuję Mice Modrzyńskiej za korektę oraz rozmowę o podwójnych spacjach. Weryfikację robiłem później ja, więc biorę na siebie wszystkie pozostawione błędy, powtórzenia i cokolwiek takiego się znajdzie.

Dziękuję Natalii Klimaszewskiej za skład oraz zrobienie okładki. Szczerze mówiąc, ja bym się do siebie nie odzywał po ilości marudzenia, które musiała w związku ze składem znieść Natalia. W sensie, z mojej strony. Obawiam się, że mogło nie być zabawnie.

Dziękuję Krzysztofowi Bendingerowi za użyczenie nam wspaniałych obrazów jako ilustracji, w tym na okładkę. Dziękuję Lidii Grędzie, która również zrobiła ilustrację do jednego z opowiadań, wspaniale je przystrajając. Dziękuję też Grzegorzowi Kałużnemu, który pomógł mi przy kontaktach z Krzysztofem Bendingerem i podpowiedział, że te wspaniałe obrazy mogą świetnie korespondować z hasłem antologii.

Dziękuję Radkowi Puchale za pomoc z ISBN. Dziękuję Michałowi Rybińskiemu za zajęcie się dystrybucją, umowami, wersjami na czytniki i pewnie wieloma innymi sprawami, których dalej już nie wymieniam. Ale było tego mnóstwo. Michał też musiał słuchać marudzenia.

Dziękuję Marcinowi Opolskiemu za audiodeskrypcję oraz Magdalenie Rutkowskiej za konsultację ekspercką.

Chciałbym też bardzo podziękować Weronice Borek-Marciniec, Lidii Grędzie oraz Iwonie Serej za zajęcie się promocją, podpowiedzi, dobre słowo oraz wszystkie działania, których się podjęły.

Jako, że mam to szczęście oraz przywilej pisać te podziękowania, to na sam koniec chciałbym również podziękować prywatnie mojej żonie, Beacie, oraz naszym wspaniałym psom, za długoletnie wsparcie podczas pisania, słowa otuchy oraz po prostu obecność.

*Marcin Bartosz Łukasiewicz*

*Grudzień 2022*